

Rafał Dębski

GOŚCIUN



Rafał Dębski

Gościun

Gościun

Redakcja i korekta: Paweł Dembowski
Ilustracja na okładce: Iwan Bilibin
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Copyright © by Rafał Dębski
Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 978-83-65074-55-3

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39
02-495 Warszawa
<http://www.bookrage.org>

Przedmowa — krótka, bo i książka nie za długa.

Opowieść, którą mam przyjemność przedstawić, zawiera elementy nawiązujące do różnych dziedzin i gatunków literatury fantastycznej — od baśni przez fantasy po science fiction. Teoretycznie mogą ją czytać obywatele od lat czterech do stu czterech. Lecz tylko teoretycznie, co podkreślam. Bo o ile ci starsi mogą bez ryzyka zapoznać się z całością, o tyle w przypadku dzieci radziłbym się ograniczyć do czytania im ewentualnie do snu jedynie wyjątków z tej historii. A jakich wyjątków, każdy się bez trudu sam zorientuje, kiedy zapozna się z powieścią.

Po tym jakże istotnym ostrzeżeniu, życzę wszystkim miłej lektury!

Prolog

Biegli przez las — na czele Wszebór, za nim Mściwój, na końcu Radko. Giętkie gałązki chłostały zarośnięte twarze, po policzkach ściekał pot. Pędzili na oślep, aby znaleźć się jak najdalej od niebezpieczeństwa.

Za sobą słyszeli okrzyki, ujadanie psów. Książęcy pachołkowie pod wodzą synowca palatyna ścigali ich jak dzikie zwierzęta. A wszystko przez to, że porywczy Radko, nie mogąc patrzeć, jak siekiery rąbią posąg Swaroga, wyciął w pysk pierwszego z brzegu męża. Jeno że mężem tym okazał się nie zwykły drwal, lecz ciemno odziany człek, który przewodził intruzom.

I był to jeden z tych, co to kazali na nich mówić — ksiądz. Dawniej tytuł ten przynależał kniaziowi jeno, a nie byle przybłędzie nie wiadomo skąd. Ów ksiądz miał wzrok natchniony i gdy pachołkowie niszczyli posąg, odczytywał z księgi słowa w obcym języku. Pięknie wprawdzie brzmiał ten język, gdy słuchało się go w kościelnej nawie, lecz dla trzech wojów, patrzących na zagładę chramu, zdawał się teraz pochodzić z czeluści, na której dnie czekał nie Weles, łaskawie przeprowadzający dusze na łąki Nawii, ale jakiś stwór czarny i cuchnący, o zębach wielkich, ociekających jadem i żabim języku.

Kapłan Dago — kiedy go odwiedzali w leśnej komyszy — powiadał, że przywlekli owego potwora ze sobą wyznawcy nowej wiary, zasiedlili go w dawnych przyjaznych czeluściach, gdzie po śmierci człek znajdował ukojenie, a jeśli był dość śmiały, za życia mógł się tam nawet wyprawić, aby uszczknąć coś z nieprzebranych bogactw surowego, lecz sprawiedliwego władcy podziemi.

Nie taka była wiara ojców. Nie musieli się oni obawiać Złego wcale bardziej niż słonecznych, ognistych bóstw, jak choćby Swaroga czy Dadźboga. Wadzili się bogowie, czynili sobie różne krzywdy, albo i zwykłe psoty, jednakowoż nie trzeba się ich było lękać zabobornie.

A ci, co przywlekli wizerunek nieszczęsnego, umęczonego człowieka, kazali się bać zarówno światła, jak i ciemności. W dodatku ten rozpięty na krzyżu człowiek miał być synem stwórcy świata, najwyższego boga. Wszeborowi, najstarszemu z trójki uciekinierów, w głowie się nie mieściło, jak też ojciec mógł zaniechać syna, aby ktoś go ukrzywdził w taki sposób. Zresztą, przedtem na ogół się nad tym nie zastanawiał. Kazali się kniaź ochrzcić, to się ochrzcił, podobnie jak inni. Kazali co niedziela chodzić do gontyny przynależnej nowej wierze, to chodził. Jak inni.

Szedł zaraz po owym nabożeństwie w las, pokłonić się też dawnym bogom. Skoro ten, co przybył, miał być najwyższy, nie powinien mu wadzić dobry, życzliwy ludziom Swaróg i pomniejsze bóstwa.

A jednak wadziły mu. Bo nowy bóg okazał się bardzo zazdrosny, a jeśli nie on, to jego kapłani. Chramy padały jeden po drugim, uchowały się tylko te ukryte gdzieś w głębi lasów, których nikt nie wyzdradził.

Nowe porządki zaś polegały na niszczeniu posągów i podpalaniu gontyn.

Wszebór wraz z towarzyszami nieraz byli wyznaczani na przystawów, ale zawsze niszczone chramy gdzieś w oddalonych miejscach, gdzie nie jeździli ani nawet chadzali. Lecz tego dnia przyszła pora na świątynię, do której byli mocno przywiązani. Gdyby

wiedzieli, kto zdradził jej istnienie i położenie, nie dożyłby wieczora.

Kiedy Radko strzelił w pysk księdza i ten pokocił się na ziemię niby ścięta trzcina, jego kompani nie czekali, aż podniesie się larum. Wszebór rąbnął nadzorcę drwali prosto w otwierające się do krzyku usta, a Mściwój otwartą ręką trzepnął w czubek głowy przybocznego kapłana, który okazał się tym, na kogo od samego początku wyglądał, to znaczy rzezimieszkiem i zapewne ściganym przez prawo zbójem, bo Wszebór pierwszy raz w życiu widział, żeby ktoś tak szybko wydobył nóż. Zresztą, sam nóż też mówił wiele o właścicielu, bo ostrze miało długość półtorej dłoni, zadbane było i wyglądało morderczo.

Niemniej źle zbój trafił, Mściwój bowiem słynął nie tylko z ogromnej siły, ale i równie wielkiej szybkości. Aż dziwne się zdawało, że tak potężny mężczyzna potrafi poruszać się zwinnie niczym kot.

W każdym razie śmiałek skończył z własnym ostrzem wbitym w trzewia, skulony na ziemi i milczący, gdyż Mściwój pchnął w miejsce, w którym ból jest tak silny, że odbiera dech w piersiach — z boku, tuż nad biodrem.

A potem musieli już uciekać, bo tumult się zrobił, ksiądz zaczął wrzeszczeć do spółki z nadzorcą. Wszebór w życiu by nie powiedział, że można się tak wydzierać, jednocześnie obficie krwawiąc z gęby.

Gorzej, że woje nie mogli dostać się do własnych koni, pozostała im więc tylko ucieczka w głąb lasu. Jeszcze gorzej, że strażnicy grodowi wzięli psy. Chcieli odnaleźć kapłana, ale Dago był mądrzejszy, niż książe siewacze. Odgadł niebezpieczeństwo zawczasu i rozsypał wokół chramu takie ingrediencje, że wachacze straciły ślad. Jeden z nich, widać o wrażliwszym od innych nosie, kichał co chwila podczas całego obrządku przed niszczeniem posągu, kiedy ksiądz mamrotał, a pacholki niszczyli niewielką świątynię.

Wszebór doskonale pamiętał, jak po cichu przenosili posąg bóstwa do tego marnego chramu, który zdawał się niegodny wielkiego pana nieba, stwórcy Słońca. Jednak lepszy wydawał się dla niego taki los, niż gdyby miał się stać kupą drewna i wiórów, jakie kapłani nowej wiary palili triumfalnie, radując się z upadku kolejnego pogańskiego bożka.

— Nie dam już rady! — wykrztusił Mściwój.

Był największy i najcięższy, do biegania zupełnie nie stworzony. W siodle mógł spędzić parę dni, w marszu również, ale bieg...

— Wytrzymaj! — rzucił Radko z tyłu.

— A gdzie niby pędzimy? — wydyszał olbrzym. — Wszebór...

Najstarszy w grupce woj nie odpowiedział. Przecież nie miał najmniejszego pojęcia...

— Wszebór! — warknął Radko.

Myśleli, że ich doświadczony towarzysz wie, co robić.

— Dajcie...

Już zamierzał powiedzieć „Dajcie mi spokój”, kiedy nagle poczuł, że powinni skrócić w prawo, wprost w gęste krzaki.

— Tędy! — krzyknął, wpadając w gąszcz.

Mściwój i Radko o nic nie pytali. Obaj zdawali sobie doskonale sprawę, że Wszebór jest tak samo skołowany i ogłupiały, jak oni, naciskali na niego raczej z przekory i złości, chociaż przecież nie był niczemu winien. Może tylko temu, że nie powstrzymał Radka przed uderzeniem księdza, chociaż widział, co się święci, bo na tyle znał druha.

Ale teraz w jego okrzyku usłyszeli taką pewność, że bez wahania podążyli za

prowadzącym. Przedzierali się przez zarośla, choć wydawało się to szaleństwem, bo musieli bardzo mocno zwolnić. Tylko Mściwój był z tego zadowolony, bo mógł wreszcie złapać oddech.

— Co chcesz... — zaczął Radko, ale zamilkł, zaskoczony.

Nagle wypadli z zarośli i znaleźli się na niewielkiej polanie. Słońce właśnie górowało, więc trawa była skąpana w jego łaskawych promieniach. Ale to nie urokliwy widok jasnej zieloności zaparł dech w piersiach wojom. Na środku polany stał posąg. Niezbyt wysoki, wystawał zaledwie o dwa lub trzy palce nad głowę najwyższego w grupie Mściwoja.

Mężczyźni znieruchomieli i wpatrywali się w wyrzeźbioną z dębowego pnia postać. Twarz miała rysy zdecydowanie męskie, nieco grube, ale przyjemne, budzące wspomnienia ciepła ogniska, słodczy miodu i zapachu chleba. Pod wystającym czołem rzeźbiarz umieścił osadzone głęboko oczy. Patrzyły życzliwie i pogodnie. Gdyby ktoś potem zapytał Wszebora, czy posąg miał zaznaczone ręce i nogi, nie potrafiłby powiedzieć. Skupił się wyłącznie na tej dobrej, przyjaznej twarzy.

I nagle woja ogarnął spokój. Poczł pewność, że w tym miejscu, pod opieką tego boga nic złego się zbiegom stać nie może. Nie miał pojęcia, skąd to się wzięło, bo podobnych figur można było znaleźć po lasach bardzo wiele. Czasem stanowiły pozostałość po dawniejszych czasach, znajdowały się pośród szczątków starych świątyń, czasem ponoć strzegły skarbów, wyznaczając miejsce, z którego człowiek wtajemniczony mógł dokonać odpowiednich pomiarów, aby wiedzieć, w którym miejscu rozpocząć kopanie. Czasem były to rzeźby pokutne, stanowiące zadośćuczynienie za zbrodnie, ale wówczas zazwyczaj sporządzano je z kamienia, a czasem ktoś zamożniejszy fundował figurę jako podziękowanie za łaskę bogów.

Lecz rzeźba, przy której stanęli, nie przypominała żadnej z wymienionych. Zdawało się, że jest tu od zawsze i trwa w tym miejscu najbardziej, jak można. Zupełnie jakby nie stanowiła dzieła rąk ludzkich, ale wyrosła wprost z ziemi.

Odgłosy pościgu zbliżały się. Woje popatrzyli po sobie.

— Położmy na nim ręce — rzekł Wszebór, wiedziony myślą własną, ale jakby jednocześnie cudzą.

Jego druhowie nie zamierzali deliberować. Słysząc już było przedzierających się przez zarośla zbrojnych, szczekanie psów. Woje oparli się z trzech stron o posąg i spoglądali z niepokojem w stronę, z której przybyli, a skąd dobiegały hałasy.

Na polanę wypadł nagle pachołek z toporem na długim drzewce, za nim drugi, potem następni. Strażnicy nie śpieszyli się tak bardzo, ale psy również już się zjawily. Wszebór chciał sięgnąć do miecza, ale usłyszał nagle „Ani drgnij!”. Głos rozległ się prosto w głowie. A w zasadzie nawet nie głos, lecz po prostu nakaz. Myśl, tylko tym razem na pewno już cudza.

Zastygł więc posłusznie, zdając sobie sprawę, że przeciwko wielkiej przewadze we trzech sobie nie poradzą. A poza tym, jakoś nie lza zabijać książęcych ludzi. Chociaż, jeśli przyjdzie do walki...

Lecz zbrojni tylko stali na skraju polany. Psy również zatrzymały się w jednej linii z nimi. Zdawało się, jakby czuli lęk przed uczynieniem choćby jednego więcej kroku w głąb.

— Tu nikogo nie ma — odezwał się jeden z pachołków. — Na pewno tędy nie przeszli.

— Jeleń by nie przeskoczył takiego jaru. A z urwiska nie zleźli. Za stromo.

Wszebór, zdumiony, spojrział najpierw na przyjaciół, a potem pod nogi. Widział tylko zwyczajną trawę, czuł promienie słońca, słyszał ptaki.

Z całą pewnością ci ludzie oglądali jednak zupełnie inny widok. Zaczęli się ostrożnie cofać, jakby oddalali się ostrożnie od przepaści. Gdyby któryś odważył się i uczynił krok...

No właśnie, co by się wtedy stało? Wszebór potrząsnął lekko głową. Zapewne przekonaliby się, że głęboki parów to tylko ułuda. Ale też kto przy zdrowych zmysłach poszedłby ku pewnej śmierci?

— Musieli pobiec dalej rzadszym lasem, a tutaj krzaki poniszczyły zwierzęta.

Woje czekali, aż pogoń oddali się poza zasięg głosu.

Wszebór pierwszy zdjął ręce z drewnianego bożka.

— Mieliśmy szczęście — mruknął. — Ale kim jest nasz wybawca?

— Właśnie — rzekł Mściwój — kim jest ten, kto nas uratował?

Radko wzruszył tylko bezradnie ramionami. Wszyscy trzej ustawili się naprzeciwko rzeźby.

— Gościnny las, to i gościnne duchy go zamieszkują. — Wszebor pokłonił się przed figurą. — Dziękujemy ci, kimkolwiek jesteś.

Posąg, rzecz jasna, nie odpowiedział. Patrzył tylko głęboko osadzonymi, życzliwymi oczami na trzech uratowanych i uradowanych druhów.

Rozdział 1

Ranek łaskotał Tomasza po twarzy beczelnym promieniem słońca. Ten promień wdarł się w głąb namiotu, bo ktoś wczoraj nie raczył zasunąć do końca zamka błyskawicznego przy wejściu. Albo drugi Tomek, zwany Małym, albo Mirek. Wszystko jedno, kto.

— Barany — burknął pod adresem obu kumpli, wychodząc z założenia, że nikt nie powinien zostać pominięty w podobnej sytuacji. Na wszelki wypadek.

Zresztą, tym dwu było i tak wszystko jedno, bo spali snem sprawiedliwych. Tomasz pociągnął nosem. W sumie... Może ten, kto zostawił otwarte wejście nie był taki głupi, zważywszy na fakt, że Miras trochę się nabombał piwerkiem i zaniedbał wieczornych ablucji, w dodatku wywalił teraz na świat stopy w skarpetach co najwyżej drugiej świeżości. Bo zamek w śpiworze miał zupełnie otwarty.

Tomasz, mamrocząc pod nosem, wypełznął z namiotu. Wstrzymał na chwilę oddech, przemieszczając się nad wspomnianymi Mirosławowymi stopami, a potem nabrał w płuca rześkiego powietrza, wciąż jeszcze stojąc na czworaka. Potrząsnął głową jak budzący się do życia pies, a potem spojrzął na jezioro. Brzeg był oddalony o piętnaście kroków, woda połyskiwała złotawo w promieniach czerwcowego słońeczka. Gładką, poranną tafłę zaczęły właśnie marszczyć pierwsze drobne fale.

Siódma — ocenił, ale nie kierował się przy tym wysokością słońca nad horyzontem, lecz odgłosami dzikiego pola namiotowego i dźwiękami dobiegającymi z ośrodka wypoczynkowego za płotem. Przede wszystkim tymi drugimi. W chłopskiej zagrodzie, umiejscowionej pośrodku tegoż ośrodka zarżał koń. To oznaczało, że staruszek Jaś skończył codzienny poranny obchód w poszukiwaniu butelek i innego surowca wtórnego, a teraz zajął się wreszcie ulubieńcem.

Ta zagroda była wrzodem na tyłku władz ośrodka, a jednocześnie wspaniałą atrakcją turystyczną dla wczasowiczów. Dawniej cały teren za płotem należał do pana Jasia. Oddał go państwu jeszcze w latach sześćdziesiątych w zamian za świadczenie emerytalne, a inwestorzy urządzili naprawdę przyjemny ośrodek rehabilitacyjno-wypoczynkowy, przystosowany również dla osób niepełnosprawnych. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych należał do centrali związkowej, a potem ktoś go przejął. Ale kto, Tomasza nie bardzo obchodziło.

Znów spojrzął na jezioro i wstrząsnął się. Z jednej strony miał ochotę popływać, z drugiej myśl o wejściu do chłodnej wody budziła sprzeciw, chociaż wiedział, że jeśli zdoła się przemóc, nagroda będzie wspaniała. Początkowo zimna woda szybko okaże się jedwabnym całunem, okrywającym ciało bajecznymi splotami.

— A niech to! — dodał sobie animuszu. — Raz maty rodyła!

Zerwał się z czworaków, pognał w stronę kuszącej i odpychającej zarazem tafli. Wpadł do wody, rozpryskując ją radośnie. Grube krople kojarzyły się z czystymi brylantami. Klejnoty zataczały krótkie łuki, kończąc swoją jubilerską karierę w zetknięciu z powierzchnią. Na początku dno schodziło bardzo łagodnie, o dziesięć metrów od brzegu sięgało ledwie do połowy ud, ale potem już nie dało się biec. Tomasz siłą rzeczy zwolnił, ale brnął jak mógł najszybciej, pchając przed sobą wodny wał.

Po kilku następnych metrach rzucił się do przodu szczupakiem, zanurkował krótko i

popłynął. Nieco dalej na wodzie unosił się kawałek styropianu. Tomasz podpłynął do niego i nakrył pianką ręką. Była przymocowana do sznurka, na którego drugim końcu znajdowała się reklamówka.

Z piwem.

— Piwko z rana jak śmietana — zrymował banalnie i zaczął wydobywać cenny ładunek na powierzchnię.

Tego lata upał dawał się we znaki wyjątkowo. W sklepie przy ośrodku zaopatrzenie było niezłe, ale po bursztynowy nektar z lodówki trzeba było zapisywać się w kolejce. Dlatego kupowali piwo jak leciało i chłodzili w jeziorze. Na siedmiu, ośmiu metrach panowała całkiem przyzwoita temperatura. Może nie jak w lodówce, ale zawsze płyn był o wiele chłodniejszy niż gdyby go trzymać tylko w cieniu.

Po chwili zobaczył pod wodą biel zbliżającej się reklamówki. Trzy piwa. Akurat na miłe rozpoczęcie dnia. Zaraz trzeba będzie skoczyć do sklepu i zaopatrzyć się na później.

Wrócił na brzeg, ciągnąc torbę. Styropian z owiniętym wokół niego sznurkiem przywiązał do nadgarstka.

Chłopcy już wstali. Mały przecierał zaspane oczka, Mirek właśnie zdejmował skarpety. Odrzucił je o dobre dwa metry.

— Kurde, nie cierpię kłaść się niemyty — burknął.

— To włącz do wody, nadrób zaległości — poradził Tomasz.

— Jeszcze bardziej nie cierpię kąpać się o poranku! Trzeba być wariatem, żeby to robić.

— To nie jęcz. — Mały wzruszył ramionami, zrzucił koszulkę i w samych kąpielówkach powłókł się w stronę brzegu.

Nie zamierzał jednak pływać. Zanurzył się do kolan, ochlapał twarz wodą, spryskał się pod pachami. Dzięki tak dzielnej postawie był już po toalecie porannej.

— Daj piwerko — poprosił Mirek.

Widać było po nim pewne zużycie po wczorajszym dniu, więc Tomasz się zawahał. Nie był pewien, czy dawka chmielowego napoju przed śniadaniem nie zetnie kumpla.

— Daj, no! — zniecierpliwiał się Mirek. — Sam zamierzasz wypić, czy kisić, aż przestanie być zimne?

Tomasz machnął ręką, rzucił przyjacielowi butelkę. Ten zręcznie ją chwycił, a w dłoni miał już otwieracz. Mirosław normalnie mógł sobie być życiową sierotą, ale kiedy rzecz szła o piwo, wykazywał się wprost nieludzkim sprytem.

Przyssał się do butelki niczym wygłodniały niemowlak, na jego twarzy odmalował się zresztą podobny wyraz błogości, jak u dziecięcia, zachwyconego bliskością matczynej piersi. Tomasz patrzył na kumpla z mieszaniną politowania i podziwu. Gdyby on tyle wypił poprzedniego dnia, na pewno nie miałby ochoty nawet na swoje ulubione pszeniczne piwo.

Tymczasem Mały wrócił z porannych ablucji, również sięgnął po butelkę. Tomaszowi nie pozostało nic innego, jak przyłączyć się do towarzyszy. Przebywali nad Soleckiem dopiero cztery dni, a on już miał wrażenie, że obejmują go drapieżne szpony nałogu. W przeciwieństwie do tych dwóch, nie był przyzwyczajony do codziennego intensywnego spożycia.

— Trzeba dzisiaj po niego pójść — mruknął Mały.

— Chyba tak, wreszcie — odparł Mirek.

— Po kogo? — Tomasz nie miał pojęcia, o czym ci dwaj mówią, chociaż gdzieś na

granicy świadomości opanowało go poczucie, że wiedzieć powinien, a przynajmniej mgliście się orientować.

— Po tego miejscowego bożka, którego zakopaliśmy w korzeniach dębu w zeszłym roku — wyjaśnił Mały.

Dopiero teraz Tomasz przypomniał sobie opowieść przyjaciół. W ubiegłe wakacje również tu przyjechali, tyle że z panienkami. Te panienki okazały się niewypałem. Jak to je określił Miras? Cukrowe lalunie. Wszystko im przeszkadzało, a najbardziej igliwie w jedzeniu, stanowiące normę podczas biwakowania w lesie. Ale nie tylko to. Łazienki za daleko — zresztą należące do ośrodka, którego zarząd nie robił ceregieli z tym, że korzystali z nich mieszkańcy dzikiego pola namiotowego. Wieś za daleko. Sklep za mały. A przede wszystkim nastawiły się chyba na ciągłą adorację ze strony kolegów, pod czas gdy ci proponowali im wprawdzie różne atrakcje, ale nie zamierzali rezygnować z męskiej wolności.

W efekcie po trzech dniach zostali sami. Tomasz musiał wracać po dwóch tygodniach, bo zaczynał nową pracę, ale Mirek z Małym zostali jeszcze parę dni. Nudzili się bez przyjaciela, który wnosił sporo ożywienia, choć bywał też irytujący. W pewnej chwili Mały zaczął z gałęzi coś rzeźbić. Siedział i siedział, i dłubał nożem w drewnie, aż wreszcie Mirek zainteresował się, co tak pochłonęło towarzysza.

— O w mordę, jaki fajny! — wykrzyknął, kiedy ujrzał dzieło. — Trzeba mu tylko zrobić włosy i jakieś oczy...

Figurka otrzymała więc pęczek suchej trawy w charakterze fryzury i jarzębinki jako wypełnienie oczodołów. Tak przynajmniej opowiadali chłopcy.

— Jesteś pewien, że tylko wam się to nie przyśniło w delirce? — spytał Tomasz z krzywym uśmiechem. — Podobno po moim wyjeździe dawaliście w palnik tak, że w okolicy wyczerpały się złoża alkoholu.

— Tak powiadają co starsi górale — potwierdził z powagą Mały. — I nie mamy powodu im nie wierzyć, bo dlaczego mieliby opowiadać nieprawdę o wydarzeniach na Pojezierzu Gorzowskim? Ale fakt, że w okolicy zabrakło alkoholu nie oznacza, że od razu byliśmy nieprzytomni. Zobaczysz, jaki fajny jest ten nasz Gościun.

Tomasz machnął ręką. Wiedział już, że takim imieniem ochrzcili dzieło Małego, na zasadzie skojarzenia z najbliższą wsią — Gościem. Chociaż termin „ochrzcili” wydawał się sporym nadużyciem, zważywszy na fakt, że obaj traktowali figurkę jako symbol tradycji pogańskiej. Rzecz jasna, podchodzili do tego skrajnie niepoważnie.

Jak zresztą do większości spraw w życiu.

*

To był stary dąb. Bardzo stary, nawet jak na drzewo słynące z długoletniości. Stał nad brzegiem jeziora od przeszło pięciuset lat, a może nawet dłużej. Czerpał życiodajne soki z zawsze bogatego w wodę gruntu, może dlatego wyglądał młodziej, niż jego rówieśnicy, rozsiani gdzieś w głębi lasu. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy w te strony ludzie zaglądali bardzo rzadko, a w pewnych okresach wcale. Pamiętał rybaków, którzy pomieszkiwali w szałasach w czasie ciepłych, letnich dni. Gdzieś na dnie jeziora spoczywało kilka stareńkich łódek i sporo doczesnych szczątków nieostrożnych ludzi. Krótco żyjące istoty szybko o nich zapomniały, ale dąb pamiętał. Jego korzenie sięgały o wiele dalej niż korona, były rozległe i mocne, a ich najmłodsze odgałęzienia, przypominające delikatne palce, łaskotały pobliskie sosny, świerki i brzozy.

Właśnie do tego dębu podeszło trzech młodych mężczyzn. Z punktu widzenia drzewa porzucili już wprawdzie stadium żółędzia, ale jeszcze nie zdążyli się dobrze zakotwiczyć w ziemi. Lecz dąb wiedział, że te stwory żyją żałośnie krótko, zapewne dlatego otrzymały od stwórcy możliwość poruszania się — aby mogły zyskać w trakcie błyskawicznej egzystencji te wiadomości o świecie, które on zdobywał przez setki lat.

— Niesamowity jest ten pień — mruknął Mały, kładąc ręce na szorstkiej korze i przyciskając je mocno. — Czuję, jak w środku płyną soki...

Dąb również czuł wodę krążącą w ciele człowieka. Taki dotyk sprawiał mu przyjemność. Nie wiedział, czy tak już jest to urządzone i przyrodzone, czy też więź z tymi istotami brała się skądinąd, może z tego najstarszego wspomnienia pochodzącego z czasów, kiedy był jeszcze niewielkim krzaczkiem? Przychodził wówczas do niego człowiek i gładził jego liście oraz rachityczny jeszcze pień, podobniejszy do gałązki raczej niż zwartego ciała prawdziwego drzewa. Miał dobre ręce, nawykłe do pracy, lecz nie do zabijania. Dąb oczywiście nigdy nie dowiedział się, kim ów człowiek był, ale wspomnienie pozostało. Do dzisiaj, kiedy jakiś człowiek gładził jego korę, soki zaczynały żywiej krążyć.

— Niesamowity — zgodził się Tomasz, kładąc dłonie z drugiej strony.

Mirek jęknął tylko i przycisnął do pnia pulsujące bólem czoło. Poranne piwo ulżyło mu tylko na chwilę, potem przyszedł jeszcze większy kac.

— Jezu Chryste... — wymamrotał. — Mam migrenę.

Tomasz spojrział na niego, wydał lekko wargi i rzekł pouczająco:

— Migrenę, jak powiedział do szewca pewien lekarz w brzemienny w skutki poniedziałek, to może mieć pani hrabina, może pan hrabia, jeśli jest, ten teges, nieco ciepły. Księżna może mieć migrenę. Królowa to na pewno. Ale ciebie, człowieku, łeb po prostu napiernicza!

— Ale suchar — burknął Mirek. — Przynieś do niego mleka, bo bez płynu się nie przełknie.

— Suchar nie suchar, trzeba było tyle nie chlać. — Tomasz wzruszył ramionami.

— Wiesz co? — Mirek oderwał czoło od szorstkiej kory. — Trzeba było zostać księdzem, tak jak marzyła o tym twoja matka. Bo kazania prawieć umiesz.

Tomasz nie odpowiedział. Nie miał ochoty na przepychanki słowne z kimś, kto nie był w szczytowej formie intelektualnej. Zbyt łatwo wtedy o obrazę. A poza tym, Miras miał trochę racji. Mama chciała, żeby poszedł do seminarium, a i on przez jakiś czas rozważał taką drogę życiową. Gdyby nie poznał Sabiny, może by skończył jako katabas w koloratce. Ale poznał tę dziewczynę, która złamała mu później wprawdzie serce, ale jednocześnie pokazała, że jest coś piękniejszego na tym świecie, niż powołanie kapłańskie.

Może został sam, ale wszelkie myśli o karierze duchownej uleciały bezpowrotnie, ku rozpaczycy mamy i radości kolegów.

— Powiedz, że już ci lepiej — powiedział Mały, patrząc na nabierającą kolorów twarz Mirka.

Ten spojrział na niego spod zmarszczonych brwi, potrząsnął lekko głową.

— A wiesz, że faktycznie? Kurde mol, to musi być święty dąb!

— Każdy dąb jest święty, nie wiedziałeś? — Mały wzruszył ramionami. — A jeśli nie święty, to co najmniej błogosławiony. Nie na darmo Celtowie czcili te drzewa. Niektórzy nawet wywodzą od nich nazwę druid.

— To już prędzej od iryjskiego słowa oznaczającego czarownika — mruknął Tomasz. Obaj interesowali się mitologią celtycką i uwielbiali muzykę z tamtego kręgu kulturowego. Mirek wolał inne klimaty, lecz teraz spoglądał na drzewo z prawdziwym zainteresowaniem.

— To lepsze niż sposób na kaca przedwojennych ułanów — powiedział i znów potrząsnął głową. — Jakby mi ktoś zdjął głowę i wstawił nową.

— W sumie przydałoby ci się coś takiego — zaśmiał się Mały. — Łeb jak łeb, ale mózg można by ci spokojnie wymienić. Na dowolny. Nic byś nie stracił, a my zyskalibyśmy w końcu kogoś inteligentnego do rozmowy.

— Spadaj — rzucił pogodnie Mirek. Czuł się w tej chwili jak młody bóg, więc łatwo mu było nie zwracać uwagi na docinki. — Teraz już wiem, co robić, jak przyplącze się kac grzechotnik.

Mały oderwał dłonie od drzewa, spojrzał na kumpla.

— Jeszcze wpędzisz w alkoholizm tego staruszka — poklepał korę.

Tomasz wciąż stał, oparty rękami o pień.

— Miras wpędziłby w alkoholizm nawet aktywistki z Armii Zbawienia — mruknął. — Mnie czasem od samego patrzenia na jego facjatę zaczyna łupać w skroniach.

— Pitolicie, Hipolicie — Mirek nie tracił znakomitego humoru. — Nie słyszałeś nigdy, co powiedział Alosza Awdiejew na temat picia? Nie należy zwalczać alkoholizmu, zwalczać należy kaca!

Tomasz westchnął ciężko, odszedł do dębu.

— No dobra, pokażcie tego... jak mu tam?

— Gościuna — podpowiedział Mały. — Ciekawe, czy się przechował. Owinęliśmy go w zwykły papier i w liście paproci, więc po całym roku mógł spróchnieć, jeśli coś go nie wykopało.

Zaczął oglądać uważnie pień tuż nad ziemią, w miejscach, gdzie grube korzenie zagłębiały się w grunt, tworząc istną płataninę twardych, zdrewniałych macek. Tomasz opanowało nagle wrażenie, że oto za chwilę te nieruchome korzenie ożyją i zaczną siec, oplątywać i dusić śmiałków, którzy przybyli wydrzeć drzewu jej tajemnicę. Zupełnie jak wypełnione magią drzewo ze starej opowieści o duchu ukrytym w butelce, zakopanej pod nim. Zaśmiał się w duchu na tę myśl. Tymczasem Mały badał grunt.

— Nie pamiętam dokładnie, w którym rozwidleniu kopałem — powiedział. — Nie, nie byłem narąbany — uprzedził złośliwą uwagą Tomasza. — Byłem właśnie trzeźwy jak świnia... Drasnąłem nawet korę nad tym miejscem, ale już nie ma śladu... O, chyba tutaj!

Wziął patyk i zaczął nim grzebać w ziemi. Odgarniał urobek drugą ręką, a Mirek stanął nad nim i patrzył.

— Tak, to będzie tutaj — rzekł. — Tylko ostrożnie, żebyś go nie uszkodził...

Tomasz spojrzał na przyjaciela, zaskoczony troską w jego głosie. Zachowywał się jakby mieli wydobyć jakiś cenny skarb, a nie ostrugany rok wcześniej patyk.

— Pamiętasz, co było, gdy nadaliśmy mu imię? — spytał Mirek.

Mały w odpowiedzi tylko pokiwał głową.

— Wyjaśnisz? — spytał Tomasz. Tej części historii nie znał.

— No bo się zastanawialiśmy, jak go nazwać — odparł Mirek. — I wtedy Mały wpadł na pomysł, żeby jakoś na cześć tego miejsca. Ale jezioro to Solecko, trudno od niego coś wymyślić...

— Streszczaj się, to wszystko wiem — przerwał mu Tomasz. — Co się niby stało, kiedy nadaliście mu już imię?

— Widzisz, jak doszliśmy do słowa „Gościun”, nagle przez korony drzewa przedarł się promień słońca i padł na figurkę.

— I przysiągłbym, że widziałem jego uśmiech — dodał Mały.

— A potem Mały wpadł na pomysł, żeby położyć przed nim czapeczkę żółdzia i nalać piwa jako ofiarę.

— No! — zapalił się drugi Tomasz. — A jak mu nalałem, znów przez korony drzew przedarło się słońce!

Tomasz pokręcił głową i westchnął. Jego przyjaciele mieli czasem różne jazdy, ta przynajmniej była niezbyt groźna. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Zachowywali się w miarę normalnie, a nie jak wtedy, gdy podczas wycieczki na Ślężę zaczęli opowiadać historie o krwawych ofiarach składanych na tej górze, a potem udawali, że poświęcą na najbliższym kamieniu koleżankę, która nieopatrznie się z nimi wybrała. Dziewczyna tak się przeraziła, że uciekła z piskiem na dół, a potem nie odzywała się do nich aż do magisterki. Inna rzecz, że mieli z tego całkiem niezły ubaw. On też, co musiał przyznać uczciwie. Gorzej, że ta dziewczyna bardzo mu się podobała i miał nadzieję...

— Jest! — przerwał mu rozmyślenia okrzyk Małego.

— Pokaż? — Mirek natychmiast się nad nim pochylił.

Mały ostrożnie wyciągnął z jamy pod korzeniami zawiniątko. Liście paproci były nieco pożółkłe, ale o wiele mniej, niż Tomasz się spodziewał. Wyglądały, jakby przeleżały w ziemi nie rok, lecz kilka, najwyżej kilkanaście dni. Być może była to kwestia bliskości jeziora. Wprawdzie dąb stał na dość wysokim brzegu, dobre siedem metrów nad powierzchnią wody, ale wilgoć w glebie na pewno panowała większa niż w głębi lasu. To mogło wyjaśniać doskonały stan liści.

Papier również wyglądał, jakby przebywał pod korzeniami bardzo krótko. Tu już trudniej byłoby się doszukiwać zbawionego wpływu wilgoci, bo na ten produkt cywilizacji powinna akurat działać destrukcyjnie.

— No już, rozwijaj! — popędził przyjaciela Mirek.

Wyglądał w tej chwili jak niecierpliwy chłopczyk, czekający na rozpakowanie prezentu, na który przez cały dzień patrzył, kiedy ten sobie leżał pod choinką. Aż przytupywał z emocji. Tomaszowi przeleciało przez głowę, że kumpel w ogóle od samego rana kojarzy mu się jakoś dziwnie z dzieciakami. Inna rzecz, że zachowywał się nie jak dorosły już gość, tylko radosny szczeniak. Wyglądało na to, że korzysta z chwil wolności. Przyszła żona, Agata, nie pozwalała mu na szaleństwa, pić przy niej też nie mógł tyle, ile lubił i był zawsze gotów.

Mały ostrożnie odwinął liście, potem rozchylił papier.

— Ty, patrz! Wygląda, jak nowy! — powiedział z zaskoczeniem. — Myślałem, że się prawie będzie rozpadał! Albo chociaż osypią się niego włosy i wylecą mu oczy!

Tomasz również pochylił się nad figurką. Musiał przyznać, że Mały miał talent w palcach. Ze zwykłego patyka wyrzeźbił postać przywodzącą na myśl wizerunki starych, słowiańskich bóstw. Niby nic wielkiego — prosty kawałek gałązki, w której wyciął coś w rodzaju twarzy o nieskomplikowanych, grubych rysach, a jednak dzieło przemawiało do wyobraźni. Co więcej, głęboko osadzone oczy połyskiwały jarzębinkami umieszczonymi tak, aby zwińczenia owoców wyglądały na źrenice. Tomasz mógłby przysiąc, że te oczy

obserwują go z wyrazem życzliwości, może nawet miłości.

Potrząsnął głową. Co mu się roi? To tylko cholerna jarzębina! Powinna być pewnie pomarszczona i zwiędła, ale zachowała świeżość. Natura jest pełna dziwnych, a nawet dziwacznych zjawisk. Ale pod tymi jarzębinowymi oczami wyraźnie odznaczał się zdecydowany, orli nos, a jakby lekko uchylone usta, których wyraz można było spokojnie określić jako uśmiech. A przynajmniej półuśmiech. Życzliwy. Może nawet pełen miłości.

Nad jarzębinowymi oczami sterczał wiechetek trawy, wyglądający nieco jak fryzura emerytowanego punka, który przestał już dbać o pełną sztywność włosów. Wszystko to wyglądało bardzo sympatycznie, Tomasz miał wrażenie, że od figurki płynie wprost do jego serca pozytywna energia.

— Fajne to — wyrwało mu się odruchowo.

— Co nie? — Miras aż podskoczył z ekscytacji. — Wygląda jak nowy...

— Gościun — mruknął Mały.

Tomasz sam nie wiedział, dlaczego, ale zabrzmiało to bardziej jak zaklęcie niż zwyczajne wypowiedzenie krótkiego imienia. Mały podniósł na przyjaciela wzrok i uśmiechnął się.

— Tomaszu równie niewierny, jak twój biblijny imiennik, poznaj proszę boga okolicznych lasów, pól, łąk i jezior, Gościuna.

— Bardzo mi miło — odparł Tomasz. Miało to wypaść ironicznie, wręcz szyderczo, ale wyszło tak, jakby zwracał się do kawałka drewna z prawdziwym szacunkiem.

W tej chwili promień słońca przedarł się przez listowie i padł prosto na figurkę. Łagodnie czerwone oczy błysnęły, uśmiech stał się nagle szerszy i jeszcze bardziej serdeczny...

— Widzisz? — zawołał podekscytowany Mirek. — Uśmiechnął się!

Tomasz nie odpowiedział. Wpatrywał się w Gościuna ze zmarszczonymi brwiami. Kiedy promień słońca znów ugrzązł w koronie dębu, wstrzymał oddech.

— Cholera — szepnął po chwili. — Też do widzicie?

Jego przyjaciele również wpatrywali się w figurkę. Zapanowała zupełna cisza, przerywana jedynie śpiewem ptaków.

— Ten uśmiech trwa — powiedział po długiej chwili Mały. — Widzicie? On trwa, jakby istniał sam z siebie...

— To jakieś szaleństwo! — Tomasz wyprostował się, pokręcił mocno głową, podskoczył dwa razy. — Jaki niby uśmiech? Odbiło ci?

Ale wiedział doskonale, że przyjaciel ma rację.

— Co teraz? — spytał Mirek. Wyglądał na nieco zagubionego.

— Jak to co? — Tomasz wzruszył ramionami. — Bierzemy Gościuna i wracamy. Trzeba mu zbudować jakiś chram... I złożyć obiatę.

Popatrzył na osłupiałych kumpli, dopiero w tej chwili zdając sobie sprawę, co przed chwilą powiedział.

— Chram? — spytał Mirek.

— No chram, kację, kątynę, gontynę, czy jak to nazywali nasi przodkowie — wyjaśnił zniecierpliwiony Tomasz.

I znów zamilkł. Wiedział, że te słowa padły z jego ust, ale nie miał pojęcia, skąd się w nich wzięły. Niby były nieoczekiwane i obce, a jednak zdawały się płynąć z głębi duszy.

— Chyba trzeba się napić piwa — ocenił trzeźwo sytuację Mały. — A może nawet

czegoś mocniejszego.

Rozdział 2

Jego Ekscelencja biskup pomocniczy Stanisław Wyzimek czekał na podwładnego, stukając niecierpliwie palcami w blat okrągłego, secesyjnego stolika na giętych nogach. Tak naprawdę nie cierpiał tego mebla, podobnie jak rokokowego biurka, dziwnie do stolika pasującego i wielkiej gdańskiej szafy, która nie pasowała absolutnie do niczego. Nawet serwantka wydawała mu się nie na miejscu w tym wypełnionym cennymi antykami wnętrzu. A przecież serwantkę sam kazał postawić w kącie, w nadziei, że zdoła rozjaśnić, urozmaicić to nudne aż do mdłości wnętrze. Nic z tego.

Biskup wstał, zaczął przemierzać nerwowym krokiem gabinet. Jeszcze bardziej niż tego przesyconego bogactwem wnętrza nie cierpiał czekać. Ale wiedział, że czekać będzie musiał. Bo człowiek, który miał przybyć na pilne wezwanie, mieszkał daleko. Bardzo daleko, dobre pół tysiąca kilometrów. Sam biskup zesłał tego osobnika tak daleko, na obrzeża Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. A zesłał go na rozkaz suzerena, kardynała Kongregacji do spraw Edukacji Katolickiej. Uczynił to bez przyjemności, a nawet wbrew sobie. Zastanawiał się tylko, czy ksiądz, którego wezwał, zdaje sobie z tego sprawę. Gdyby tak było, rozmowa okazałaby się łatwiejsza. Ale wikary Gołąbka wcale nie musiał wiedzieć, że jego biskup wykonywał tylko rozkazy.

Jego Ekscelencja Wyzimek skrzywił się. Wykonywał rozkazy — tak przecież tłumaczyli się hitlerowcy w czasie procesów norymberskich. Tak wyjaśniali własne zbrodnie również pomniejsi wykonawcy woli führera.

Co miał jednak zrobić świeżo upieczony biskup pomocniczy ze swoim protegowanym, który nie przypadł do gustu Jego Eminencji? A tenże Eminencja kazał się pozbyć człeka, który sprawiał dostojnikowi przykrość samym swoim istnieniem. Parafia pod Przemyślem była najlepszą rzeczą, jaką Wyzimek mógł znaleźć ulubieńcowi. Bogata, ludna i wierna. Na jedyne słuszne cele szły z niej okazałe datki, większe niż z innych miejsc w dekanacie. Lecz biskup zdawał sobie doskonale sprawę, że wikary, który powinien być już co najmniej proboszczem, ma prawo żywić urazę do Świętej Matki Kościoła, jakkolwiek obrazoburczo by to brzmiało.

A teraz musiał prosić tego człowieka o przysługę, o jaką prosić absolutnie nie miał prawa. Jednak co kardynał nakazał, biskup wykonać musi, nieważne, czy jest metropolitą, czy tylko hierarchą pomocniczym.

— Wasza Ekscelencjo — odezwał się interkom miękki, jedwabistym głosem księdza sekretarza. — Ksiądz wikariusz parafialny Sebastian Gołąbka zameldował swoje przybycie przy wjeździe. Brat dyżurny pyta, czy może go wpuścić.

— Oczywiście, ośle jeden! — warknął biskup Wyzimek. — Przecież wydałem wyraźne polecenia!

— Tak jest. — W głosie sekretarza zabrzmiała wyraźna uraza.

Zrobiło mu się przykro. To był dobry chłopak, lojalny i wierny przełożonym oraz własnym ideałom, chociaż chodziły słuchy, że wykazuje nadmierną predykcję w stosunku do oazowych moderatorów. Wyzimek wiedział jednak, że kto jak kto, ale jego sekretarz absolutnie nie gustuje w chłopcach. Jeśli traktował ich szczególnie, musiał mieć ku temu ważne powody. Jak na przykład wtedy, gdy swego czasu pobił się z własnym najlepszym

moderatore. Biskup do dzisiaj wzdragał się na myśl, ile energii kosztowała go sprawa bójk Romana z przewodnikiem licealnego stadka. Wcale nie poszło o to, że przyszły sekretarz biskupa w jakikolwiek sposób napastował chłopca. O nie! To właśnie moderator koniecznie chciał naruszyć nietykalność osobistą kapłana za uwiedzenie narzeczonej. Roman znalazł się nawet na izbie przyjęć w szpitalu z rozciętym łukiem brwiowym, gdyż agresor okazał się nie tylko oazowcem, ale również adeptem szkoły bokserskiej.

Dziewczyna, o którą wszczęto awanturę nic o tym nie wiedziała. Ani Roman nie zamierzał się chwalić przegranym pojedynkiem, ani moderator nie miał ochoty na opowieści, przekupiony zresztą sowitą łapówką.

Tak — łapówką, w dodatku wręczoną przez samego biskupa pomocniczego Wyzimka, wówczas jeszcze dziekana diecezjalnego. A suma była na tyle pokaźna, aby moderator miał za co wziąć ślub, zorganizować wesele i wpłacić pierwszą ratę kredytu mieszkaniowego.

Po tym incydencie sekretarz stał się na jakiś czas persona non grata w kurii, i choć nie otrzymał wilczego biletu, wydawało się, że jego kariera została złamana. Od czego jednak upór, determinacja w dążeniu do celu, a przede wszystkim wysoko postawieni przyjaciele? Kiedy stary arcybiskup przeniósł się na łono Abrahama, ksiądz dziekan został przy nowym księciu kościoła biskupem pomocniczym, a Roman jego sekretarzem.

Rzecz jasna, Wyzimek nie bardzo lubił tego awanturnika, ale wiedział o nim jedno — że będzie wierny jak pies. Do końca życia zapamięta, dzięki komu nie skończył na dnie, a nawet poza łonem Kościoła.

Po kilku następnych minutach rozległo się ciche pukanie, drzwi uchyliły się i wszedł sekretarz.

— Wikary Gołąbka oczekuje na posłuchanie — oznajmił. Wciąż patrzył na przełożonego spod byka.

— Poproś go i zrób nam herbaty... Nie, nie herbaty. Kawy. Sebastian lubi mocną, czarną, bez dodatków. Chyba że masz kardamon...

— Nie mam — odparł sekretarz, zanim dostojnik skończył mówić. — Nikt z gości nie pija tak zaprawianej. Jak jakiś Arab — mruknął pod nosem, ale biskup dosłyszał.

— Nie wszystko u Arabów jest złe — rzekł Wyzimek pouczająco. — Miewają dobre jedzenie i niektóre napoje. Życzę sobie, żebyś kazał nabyć kardamon.

Osobiście również nie lubił kawy ze wschodnimi dodatkami, ale musiał dać prztyczka Romanowi. Sekretarz wyszedł, jeszcze bardziej urażony, a po chwili przez szparę w okazałych drzwiach wśliznął się wikary Gołąbka. Rozejrzał się czujnie po gabinecie, jakby spodziewał się zbrojnej zasadzki, nie audiencji. Na widok secesyjnego stolika skrzywił się z wyraźnym niesmakiem. A potem przeniósł wzrok na biurko i zdawało się, że za chwilę chwycą go mdłości. Na serwantkę próbował nawet nie spoglądać.

Sebastian Gołąbka był esteta. Może nie posiadał gustu wysmakowanego jak prawdziwy koneser sztuki, ale na pewno posiadał większą od przeciętnej wrażliwość. Większą nawet od biskupa Wyzimka. On na pewno by nie trzymał takiego zbioru mebli, dostałby od tego nerwicy i oczopląsu. Zapewne wołałby już proste biurko i byle jakie krzesła. Biskup przypomniał sobie, że na dodatek w kącie, za chińskim parawanem, stoi empirowa otomana. Na szczęście była niewidoczna, ale sam parawan pasował do tego wnętrza dokładnie tak samo, jak nieszczęsna gdańska szafa.

— Dziękuję, że ksiądz przybył — odezwał się biskup i podszedł do gościa.

Wikary przyklęknął na jedno kolano, całując pierścień.

— Skoro Wasza Ekscelencja wzywa, powinnością sługi bożego jest wykonać polecenie.

— Zaprosiłem cię, synu, nie wezwałem — powiedział łagodnie Wyzimek. — Mogłeś odmówić. Podlegasz przecież zupełnie innemu metropolicie.

— Odmówić Ekscelencji? — Gołąbka zaśmiał się krótko, z goryczą. — Wszyscy wiedzą, że biskupowi Stanisławowi Wyzimkowi się nie odmawia. Marnie kończą ci, którzy o tym zapominają. Nawet jeśli służą w zupełnie innej diecezji.

Wciąż miał żal. Lecz biskup nie zamierzał się tłumaczyć byle katabasowi, a poza tym, gdyby opowiedział Gołąbce prawdę, nikomu by to nie wyszło na dobre. A przede wszystkim, teraz ta cała sprawa nie miała najmniejszego znaczenia.

Wszedł naburmuszony Roman z tacą, na której stały dwie parujące filiżanki, rozsiewając aromat doskonałej kawy.

— Etiopska — ocenił natychmiast wikary. — Zapewne Sidamo.

Biskup spojrzał pytająco na sekretarza. Ten miał minę, jakby chciał zaprzeczyć, ale kiwnął głową.

— Tak, Sidamo. Bardzo droga.

— Bardzo droga? — Gołąbka zaśmiał się. — Sto, może sto dwadzieścia złotych za kilogram to nie jest droga kawa. Droga kosztuje cztery, pięć razy tyle.

— Następnym razem zaparzę kopi luwak — syknął Roman.

— Nie, dziękuję — odparł z powagą wikary. — Mam zbyt wybujałą wyobraźnię, żeby to pić.

Biskup zupełnie nie znał się na kawie, jedne gatunki lubił bardziej, inne mniej, ale nie zwykł się delectować aromatycznym naparem do tego stopnia, by się interesować jego specjalnymi odmianami. Dlatego teraz zapytał:

— Nie rozumiem?

— Kopi luwak pozyskuje się z odchodów pewnego niewielkiego ssaka, który zjada owoce kawowca, ale nie trawi nasion. Podobno dzięki przejściu przez przewód pokarmowy zwierzęcia ziarna tracą gorycz i zyskują łagodny smak. To najdroższa kawa świata, kilogram kosztuje przeszło cztery tysiące złotych...

— Obrzydliwe — skrzywił się dostojnik. — Też bym do ust nie wziął.

— No to zakupię Blue Mountain — rzucił znów złośliwie sekretarz.

— Jak dla mnie, jest przereklamowana. Ale gdyby tak zdobyć inne ciekawe gatunki afrykańskie, na przykład...

— Zejdz na ziemię, księże wikary — prychnął ksiądz Roman. — Myślisz, że dla ciebie będę tutaj zakładał kafeterię?

— Dość tego! *Pax, pueri!* Zachowujecie się jak rozwydrzone szczeniaki! Możesz odejść, Romanie.

Sekretarz skłonił lekko głowę przed dostojnikiem, a wikaremu posłał mordercze spojrzenie. Postawił filiżanki na okrągłym stoliku.

— Ta jest dla ciebie — wskazał palcem naczynie. — Zrobiłem mocniejszą.

— Możesz ją od razu zabrać, księże sekretarzu.

Biskup spojrzał ze zdziwieniem, a ksiądz Roman ze złością.

— O co chodzi? — spytał Wyzimek. — Odkąd pamiętam, przepadałeś za kawą... Miałem wrażenie, że jej zapach sprawił ci przyjemność. Coś się zmieniło?

— Ależ skąd, Wasza Ekscelencjo. — Gołąbka spojrzał prosto w oczy sekretarza. —

Jednakowoż nie gustuję w kawie zaprawionej jadem.

— Obawiam się, że nie rozumiem. — Biskup zmarszczył brwi.

— A ja się obawiam, że ksiądz Roman napluł do mojej filiżanki — wyjaśnił wikary.

— No wiecie państwo! — oburzył się sekretarz, ale zamilkł, uciszony gestem przełożonego.

— Wcale bym się nie zdziwił — powiedział biskup, uważnie wpatrując się w poczerwieniałą twarz Romana. — Co więcej, obawiam się, że ksiądz wikary ma słuszość. Przynieś jeszcze jedną kawę, swoją oddam gościowi.

Sekretarz odwrócił się na pięcie i prawie wybiegł z gabinetu.

— Nigdy się nie zmieni — mruknął Gołąbka. — Jego wysokość sekretarz biskupi ksiądz Roman Rebiega. W seminarium nazywaliśmy go Fimus.

— Fimus? — Dostojnik potrząsnął głową. — To po łacinie znaczy... — zastanawiał się przez chwilę, szukając w pamięci.

— Gnój — odpowiedział wikary. — Nawóz, obornik w ogólności, ale przede wszystkim gnój.

— No tak. Chociaż jego nazwisko aż się prosi, żeby przekształcić je na Lebiega... — zauważył Wyzimek.

— Lebiegą nigdy nie był — zaprotestował Gołąbka — ale gnojem zawsze. Wysoko zaszedł. Wróżyłem mu co najwyżej probostwo na wiosce zabitej deskami, a i to dopiero po pięćdziesiątce. Tymczasem on jest tutaj, podczas gdy ja trafiłem... — zamilkł i spojrzał czujnie na biskupa, nie wiedząc, jak ten zareaguje na przytyk.

Dostojnik westchnął ciężko. Powinien się spodziewać, że w pewnym momencie ksiądz wspomni o swoim losie, którego nikt mu nie zazdrościł. Gołąbkę w seminarium nazywano Columbinusem, na zasadzie skojarzenia z nazwiskiem. Wykładowcy widzieli przed nim świetlaną przyszłość. I taka by zapewne była, gdyby niepokorny kapłan nie wdał się w spór teologiczny z samym kardynałem. A ponieważ okazał się lepszym szermierzem w filozoficznej dyspucie, Jego Eminencja rzucił w przyływie złości, że zgniecie bezczelnego śmiałka jak robaka i słowa dotrzymał.

— Różnie się plotą człowiecze losy, różnymi ścieżkami podążamy do wielkości — rzekł sentencjonalnie Wyzimek. — Pan nasz, Jezus Chrystus, zapowiedział, że ostatni będą pierwszymi...

Przerwał, bo wszedł ksiądz Roman. Postawił nową filiżankę na dębowym blacie.

— Usiądźmy wreszcie — zaproponował dostojnik. — Zapowiada nam się dłuższa rozmowa.

Zajęli miejsca po przeciwnych stronach stolika. Biskup w zamyśleniu wrzucił do filiżanki dwie kostki cukru, zamieszał delikatnie.

— Co sprawiło, że ksiądz biskup mnie wezwał? — zapytał Gołąbka.

Hierarcha oparł się wygodniej na poduszce krzesła, potarł palcami skronie.

— Słyszałeś zapewne o odradzaniu się ruchów pogańskich? O tych, którzy nazywają siebie rodzimowiercami?

Wikary również postodził kawę, ale trzema kostkami. Brakowało mu jednak czegoś w smaku naparu.

— Nie dość, że zaparzył ją turecku — burknął — to jeszcze zalał wrzątkiem. Profan... Ale biskup miał dość rozmów o kawie i swoim poronionym sekretarzu.

— Słyszałeś, czy nie?

— Każdy chyba słyszał, prawda? Te ruchy zrobiły się ostatnio modne. Ale to pewnie minie. U mnie w parafii nie mam takiego problemu.

— W tej twojej parafii — przerwał mu biskup — chyba jeszcze nie wiedzą, że Związek Radziecki już jakiś czas temu uległ rozwiązaniu.

— Nie mogę wykluczyć takiej ewentualności — odparł z powagą wikary. — Zważywszy na to, że mój proboszcz uważa lefebrystów za odłam islamu, a ostatnio bąknął coś o buddystach szytach...

— Twój proboszcz to zacy człowiek, znak go z dawnych lat... Chociaż rzeczywiście żyje w niego innej epoce.

— Ten zacy człowiek ma trójkę dzieci z różnymi kobietami i jest skończonym alkoholikiem — rzekł ostrym tonem wikary.

— Cóż, każdy ma jakieś słabości...

Tym razem to Gołąbka miał dosyć roztrząsania tematu.

— Zaczął Wasza Ekszelencja mówić o tych rodzimowiercach.

— A właśnie. — Biskup z ulgą powrócił do zasadniczej kwestii. Sprawa proboszcza z odległej parafii była przykra, ale dość typowa. Kościół składa się z ludzi, a ludzie błędzą. Nawet księży. — Otóż mamy w Polsce już trochę tych ruchów. Nie uważaliśmy ich do tej pory za wielkie zagrożenie. Owieczki zawsze buntowały się przeciwko pasterzom, nieraz kończyło się to nawet krwawymi zamieszkami. Czasem trzeba było brutalnie tłumić ruchawki ze względu na dobro Świętej Marki Kościoła i państwa. Ale od setek lat nic podobnego się nie zdarzyło. W Polsce nawet komuniści nauczyli się szanować Kościół i doceniać jego rolę.

— Wiem to wszystko doskonale. — Wikary strzepnął niecierpliwie palcami. — Może ksiądz biskup przejść do sedna?

Wyzimek pokręcił w duchu głową. Nie pamiętał, żeby ten kapłan był kiedyś taki śmiały, chwilami wręcz bezczelny. Zesłanie go na tę zapomnianą parafię sprawiło, że stracił nadzieję na wielką karierę. A człowiek pozbawiony nadziei albo zupełnie się załamuje, albo przeciwnie — twardnieje i nawet w nieśmiałym chłopaczku budzi się brutalne zwierzę, nieskore do ustępowania innym z drogi czy ucieczki.

— Widzę, że trzeba cię nieco utemperować, chłopcze — powiedział spokojnie, ale z tym spokojem, który sprawiał, że podlegli mu proboszczowie i dziekani kładli uszy po sobie i zanosili modły do Najwyższego o ratunek. — Zbiesiłeś się na tym zadupiu.

— Trudno nie zbiesić się w miejscu, w którym diabeł mówi dobranoc — odparł śmiało wikary. — Ale niech Wasza Ekszelencja zrozumie, że trudno przestraszyć człowieka, mającego niewiele, albo i zgoła nic do stracenia. Więc to utemperowanie może się okazać nieco problematyczne.

— Tak ci się wydaje? — Biskup uśmiechnął się. — W takim razie rozważ teraz w duchu jedno określenie, które wypowiem. Molinea Cadora.

Wikary drgnął i spojrzał na biskupa. Dostojnik położył palec na ustach, na znak, że nie chce w tej chwili nic słyszeć, a ksiądz powinien się zastanowić nad tym, co usłyszał.

— Tam się wysyła za najcięższe zbrodnie przeciwko posłuszeństwu — wymamrotał Gołąbka po kilkudziesięciu sekundach.

— Zgadza się — odparł pogodnie dostojnik. — Jednak to tajny trybunał decyduje o tym, co jest zbrodnią, a co tylko przestępstwem lub wykroczeniem. A w tym akurat trybunale zasiadają zasadniczo najmniej tolerancyjni dla różnych wybryków biskupi.

Gołąbka wydał lekko wargi.

— Jeszcze nie wiem nawet, jaką misję mi ksiądz biskup przeznaczył, a już podlegam szantażowi.

— Nie szantażowi. Po prostu cię ostrzegam, chłopcze. Przestań się zachowywać jak skrzywdzona niewinność i nadstaw ucha. Inaczej znajdę kogoś innego, a ty wrócisz na swoją parafię, i to bez szansy na wyrwanie się stamtąd do końca życia na inne miejsce niż ta wyspa trędowatych.

— Słucham i jestem posłuszny — burknął wikary.

— I niech tak lepiej zostanie — rzekł surowo biskup. — Może wreszcie będzie mi dane powiedzieć to, co mam ci do przekazania. Pozwolisz, księżo Sebastianie?

Wikary skinął głową.

— Wróćmy zatem do zagadnienia rodzimowierców. Jak już ustaliliśmy, ruchy neopogańskie nie spędzają nam snu z powiek, podobnie zresztą jak w przypadku satanizmu muzyka metalowa, różne tam „Behemoty” i inne „Dimmu Borgir”, chociaż na nich grzmimy. To zabawa, ci sami ludzie, którzy w kapelach udają wielkich synów księcia ciemności, w życiu codziennym nader często są zwykłymi ludźmi. O ile artysta może być w ogóle zwykłym człowiekiem, oczywiście. Jednak ostatnio wydarzyło się coś, co wprowadziło niejaki niepokój, a w pewnych kręgach episkopatu wywołało wręcz panikę.

Biskup zamilkł.

— W dodatku ktoś życzliwy doniósł do Watykanu o tym, co się dzieje i odezwał się do nas prefekt Kongregacji Doktryny Wiary. Jeśli sami nie zrobimy u siebie porządku, możemy się spodziewać delegacji z Kurii Rzymskiej. Mocnej delegacji. Ja bym to nazwał ekspedycją karną.

Wikary słuchał z niedowierzaniem. Skoro wmieszała się w sprawę Kongregacja Doktryny Wiary, rzecz musiała być niezwykle poważna.

— Wyjawi mi ksiądz biskup, o co chodzi?

— Mamy problem, chłopcze. Całkiem spory problem, a może się z czasem okazać ogromny.

Dostojnik podszedł do serwantki, wyjął dwa pękate kieliszki i butelkę koniaku.

— Zaraz wszystko opowiem, ale, jak powiadają Rosjanie, bez pół litra nie rozbierosz. Wprawdzie nie godzi nam się nadużywać alkoholu, jednak odrobina na pewno nie zawadzi.

W milczeniu nalał do kieliszków, wcale nie na dno, tylko szczerze. Gołąbka zrozumiał, że to nie tylko poczęstunek, ale dawka, która powinna go chociaż odrobinę znieczulić, dlatego nie delectował się aromatem, nie mieszał płynu kolistymi ruchami, tylko przechylił naczynie i wlał całą zawartość do gardła.

Biskup skrzywił się, widząc takie barbarzyństwo, ale sam postąpił tak samo. Odetchnął głęboko, czując jak paląca mieszanka alkoholu, wody i garbników spływa mu do żołądka.

— No cóż, mój drogi — powiedział i odchrząknął. Nie był przyzwyczajony do takiej techniki picia. Wikary najwyraźniej na dalekiej placówce nabrał wprawy, bo nawet nie dał po sobie poznać, żeby potężny haust zrobił na nim wrażenie. — No cóż, mój drogi — powtórzył Wyzimek. — Jak już powiedziałem, mamy naprawdę poważny problem.

*

Kapłan Bożyn szedł pośród drewnianych domów, krytych słomą. Uśmiechał się pod

nosem, słysząc wieczorną krzątaninę w obejściach. Ktoś rąbał drwa na opał, gdzieś skrzypiał żuraw. Dzień kończył się pięknie — czerwone słońce zniżyło się nad pasmo lasów przeciwległego brzegu.

Mężczyzna podszedł nad samo lustro wody, żeby popatrzeć na wspaniałe zjawisko. Na środku jeziora toń kłębiła się i pieniała. Bożyn uśmiechnął się. Ludzie powiadali, że to wodnik Rybomił urządza sobie gonitwy z topielicami.

I mieli świętą rację.

Przez chwilę zastanawiał się czy nie huknąć na pana wód, ale zrezygnował. Wodnik nie lubił, żeby wchodzić zanadto w jego sprawy. Jeszcze jako człowiek wyróżniał się wielką niezależnością i umiłowaniem swobody. Dlatego właśnie wybrał sobie na siedzibę mokrą otchłań, wolał obcować ze stworami wodnymi, niż ludźmi. A przynajmniej ludźmi na stałym lądzie, bo nie miał nic przeciwko temu, aby od czasu do czasu wciągnąć kogoś pod powierzchnię i przemienić w swojego sługę.

Bożyn przysiadł na zwalonym drzewie, przy łagodnym zejściu do jeziora. Pomyślał, że trzeba by wreszcie usunąć ten wielki pień ale zaraz potem nadleciała myśl, że cieśla mógłby z niego sporządzić bardzo wygodną ławkę. Kapłan odetchnął pełną piersią, chłonąc rześką wilgoć, przesyconą upojnym zapachem jeziora — wody i szuwar, z delikatną domieszką woni mułu. Kochał ten zapach i tę porę dnia. Zsunął się z pnia, usiadł wygodnie na ziemi, oparł się plecami o szorstką powierzchnię.

Przymknął oczy, i zaczął zapadać w płytką drzemkę. Godzinę po zapadnięciu ciemności czekało go odprawienie obrzędu w chramie, powinien więc nieco wypocząć. Na samą myśl, że świętowanie potrwa co najmniej do północy, a może i dłużej, czuł zmęczenie. Ale radosne zmęczenie, bo i uroczystości były radosne. Składanie obiaty panu lasów, pól, łąk i jezior wiązało się z uctowaniem co się zowie.

Wyciągnął się wygodnie, wzdłuż drzewa, na miękkiej trawie, podłożył dłoń pod głowę.

Lecz ledwie zaczął przysypiać, usłyszał kroki i szczebiotanie dziecka. Z westchnieniem pokręcił głową. Nie odpocznie tutaj. Ale przenosić się też nie miał ochoty. Może sobie zaraz pójdą.

Ale przybyli zatrzymali się z drugiej strony pnia. Nie widzieli kapłana.

— Tatu — odezwał się srebrzysty głosik.

— Co, synku?

— Opowiesz mi coś?

— Znów? — jęknął mężczyzna. Bożyn bez trudu poznał głos Radosława, zwanego Dębem, który sływał w grodzisku z umiejętności snucia historii i dla dziatwy, i dla starszych.

— Znów, znów! — upierał się chłopczyk. — Opowiedz, bo powiem matuli, żeś ukradkiem wypił piwa, co je na obiatę macie dziś zanieść.

— Niewdzięczny z ciebie pachol — powiedział Radosław niby surowo, ale bez złości. — To biorę cię na przechadzkę, choć mógłbym siedzieć sobie na przyzbie i fajeczkę kurzyć, a ty mi tak robisz? Matula przecież wie doskonale, żeś próbował z kadzi.

— Opowiedz — w głosie chłopczyka brzmiała taka serdeczna prośba, że kapłan sam miał ochotę zawołać „No opowiadaj, człeku oporny, nie męcz dziecka”.

— Niech ci będzie — westchnął Dąb. — Tylko o czym ci rzecz?

— Już ty mądry taki jesteś, coś wymyślisz — przymilał się chłopczyk.

W tej chwili w pobliskich szuwarach rozległ się głośny plusk, a potem kwakanie.

— Wiem, o czym ci opowiem — ucieszył się Radosław. — O Duszku Szuwar!

— Tak, tak, o Duszku Szuwar! — Bożyn słyszał, jak chłopiec podskakuje z radości.

— A co to jest ten Duszek?

— Nie co, tylko kto. Właśnie o tym chcę opowiedzieć.

Kapłan przycisnął się mocniej do pnia. Nie chciał płoszyć tej pięknej chwili. Bardzo lubił opowieści Radosława, szczególnie te, które wymyślał dla najmłodszych słuchaczy.

— Posłuchaj więc — rzekł Dąb. — Usiądźmy sobie tutaj, na tej kępie, która jest wyżej od innych. Ta historia zdarzyła się dawno temu, ale mogłaby się zdarzyć także dzisiaj, bo dobry duch, o którym opowiem z pewnością mieszka także dzisiaj pośród szuwar.

— No już, tatko, opowiadaj! — zażądał chłopczyk.

— Aleś ty niecierpliwy.

Radosław roześmiał się, a potem zaczął snuć opowieść.

Duszek Szuwar

Zdarzyło się to w czasach kiedy na naszej ziemi żyły plemiona porozumiewające się co prawda jedną mową, ale jeszcze mało ze sobą związane, toczące wojny, nie widzące zupełnie potrzeby stworzenia wspólnego państwa. Dopiero narodził się przyszły książę Siemowit, który zapoczątkował złączenie owych ludów, jednak leżąc jeszcze w kołysce i głośno domagając się matczynej piersi, sam nie mógł mieć pojęcia o własnej przyszłości i doniosłej roli, jaką odegra, kładąc podwaliny pod budowę kraju.

W tych odległych czasach pośród lasów i jezior rozłożyła się osada — nie za duża, nie za mała, w sam raz, żeby pomieścić się w niej mogło kilkanaście rodzin starających się żyć w zgodzie. Osiedle otoczono porządnym częstokołem, a jej mieszkańcom nieobce było wojenne rzemiosło, bowiem zamieszkali na szlaku wypraw, jakie od zachodniej strony podejmowały co roku prawie zarówno wojownicze plemiona połabskie, jak i ludy germańskie.

Bednarz Radzim, pełniący tego wieczora pośród obejść obowiązki strażnika, wybrał się właśnie na obchód grodziska, by sprawdzić, czy mieszkańcy mogą w spokoju ułożyć się do snu — a to czy kowal należycie wygasił palenisko i nie wywoła pożaru jak dwa miesiące temu; a to czy niezguła Ostrzew, zwany Kołkiem, nie próbuje karmić swoich kóz blekotem, co nieraz mu się już zdarzyło i całe osiedle postawiły oszalałym bydłem na nogi; a to czy mały Miłek przestał już ganiać z patykiem za swym psem, którego ścigał w zabawach jako dzikiego wikinga. Słowem — czy osada wygląda tak, jak powinna wyglądać o wieczornej porze.

Nagle, przechodząc obok chaty drwala Mirosława, postyszał płacz dziecka. Wydało mu się niesprawiedliwe, żeby w tak piękny wieczór, kiedy zachodzące słońce barwi zwiewnym całunem purpury wody jeziora, a las odzywa się odgłosami życia, ktoś mógł mieć choćby najmniejszy powód do narzekania.

Zajrzał zatem do wnętrza domostwa i zobaczył kilkuletnie dziecko. Zalane łzami siedziało na posłaniu z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Gdzież to podziali się twoi rodzice, Miłko? — zagadnął Radzim.

Dziecko podniosło na niego zapłakane spojrzenie.

— Mamusia wyszła poszukać mojej wiewiórki — odparło głosem przerywanym przez szloch — bo zginęła gdzieś przed wieczerzą jeszcze. A tatuś z sąsiadem na łowy poszli i do jutra pewnie nie wrócą. A ja tak się martwię, co z Milusią stać się mogło... Nigdy jeszcze mi nie zaginęła. Oj! — Dziewczynka znowu ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się.

Radzim przysiadł na zydlu obok posłania, pogładził dziecko po główce.

— Nie martw się, malutka — powiedział ciepło — wiewiórka znajdzie się na pewno, a gdyby nie, to zajmie się nią Duszek Szuwar.

Dziewczynka spojrzała mu z nadzieją w oczy.

— Duszek Szuwar? A kto to taki?

— Ano Duszek Szuwar, tak go zwą. Jeśli chcesz, opowiem ci, czym się w naszym lesie zajmuje. Nie dalej niż niedzielę temu sam byłem świadkiem, jak służył pomocą małemu stworzeniu. Opowiedzieć ci o tym?

— O tak, tak. opowiedz, opowiedz — dziewczynka klasnęła w rączki, zapominając na chwilę o rozpacz.

— Posłuchaj zatem. W szuwarach, na przeciwległym brzegu jeziora, rozlegało się rozpaczliwe łkanie, chwilami przeradzające się w cieniutkie a przenikliwe zawodzenie. To Duszek Szuwar płakał nad truchelkiem małej kaczuszki. Jego drobne ramionka drżały, usta wygięły się w podkówkę, broda trzęsa się niczym liść osiki, a z oczu ciekły strumienie łez.

— To tak jak mnie! — pisnęła zasłuchana dziewczynka.

— Zupełnie tak samo — potwierdził Radzim. — Słuchaj dalej. Kaczuszka spoczywała w dłoniach Duszka, a łzy skapywały na nią tak gęsto, że całkiem już była od nich przemoczona.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby beznadziejna rozpacz Duszka, gdyby naraz w powietrzu tuż przed nim nie pojawił się pogodny uśmiech. Sam uśmiech, bez postaci, ale taki dobrotliwy, że nikt by się go nie przeraził, nie wiedząc nawet, do kogo należy. Duszek podniósł ku niemu oczy, jednak płakać nie przestał. Przeciwnie, łzy polały się jeszcze gęstszym strumieniem, a las oddawać począł jego wyrzekanie podwójnym echem. A nad ziemią popłynął głos niski, głęboki, chrapliwy nieco, ale bardzo przyjemny:

— Cóż to ci się przygodziło, drogi Duszku, że tak bardzo rozpaczasz?

— Kto to był, strytku? — Dziewczynka znowu przerwała opowieść.

— Jakże kto? Nikt inny jak nasz Gościun, pan lasów, pól, łąk i jezior, dobrotliwy i wszelkiemu stworzeniu przychylny.

— Ach tak, Gościun! Opowiadaj dalej, strytku.

Radzim westchnął, uśmiechnął się lekko i opowiadał dalej:

— Cóż to ci się przygodziło? — zapytał tedy głos.

Duszek Szuwar bez słowa wyciągnął rączki, w których spoczywała martwa kaczuszka.

— A jakaż to krzywda stała się temu stworzeniu?

— A bo — Duszek przestał na chwilę płakać i siąknął nosem. — A bo szczupak jeden paskudny na kaczuszki się zasadził, co to się wylęgły niedawno starej kaczce, tej z której wszystkie inne się naśmiewały, że już jajek znieść nie potrafi. Małe to stworzonko, głupie wszak jeszcze i nieostrożne, ku toni ciemnej się zapędziło miast za matką przy brzegu płynąć... Tak i rybsko niedobre ucapiło, ledwo z pyska wyrwać mu zdołałem... ale to zaduszone nie żyło już całkiem... Uuuu!

Duszek znowu zaniósł się płaczem.

— Hm — Gościun odchrząknął, by przemoc wzruszenie. — Wiesz przecież, że i szczupak żyć musi, a taką ma już naturę, że zjada słabszego od siebie zwierza. Wszak nie mogę zabronić rybie polowania, gdy głodna. A że łapie, co tam popadnie, na to rady nie ma...

— Jeno dlaczego kaczuszkę moją ulubioną?! — zawył zrozpaczony Duszek.

Gościun znowu chrząknął, tym razem jakoś niepewnie.

— Ale Duszku, jak to jest, że co się jakiemu stworzeniu stanie, mówisz zawsze, że to właśnie twoje ukochane...

Przerwało mu łkanie tak wielkie, jakby Duszkowi z małej piersi miało się wyrwać jego wielkie serce.

— A bo ja wszystkie kocham!!!

— Kłopot z tobą zawsze, oj kłopot! — zamruczał pan lasów, pól, łąk i jezior.

— Kiedy ja tak pięknie proszę! Doprawdy to moja ulubiona była! — płakał Duszek. — Nawet imię jej dałem, tak mi do serca przypadła.

— Imię? — zainteresował się Gościu. — A jakież to, jeśli wolno wiedzieć?

— No — Duszek zmieszał się wyraźnie. — Ten... — spojrzał niepewnie na truchelko w dłoniach. — Gdniadka! — wykrzyknął w olśnieniu. — Gniadka jej dałem na imię! Tak właśnie! O moja ukochana Gniadko! Buuu!

I znowu zaczął się zanosić.

W powietrzu pojawiła się dłoń, uniosła ku górze, by podrapać niepewnie miejsce, gdzie nad uśmiechem domyślić się było można czubka głowy. Widząc to, opiekun okolicznej drobnicy nie przestał płakać, jednak płacz jego nie był już tak beznadziejnie rozpaczliwy.

— Nie wiem, doprawdy — mruknął Gościun. — Niby mógłbym, bo kto mi zabroni... ale... sam nie wiem..

— Kiedy ja tak proszę! — nie dawał spokoju Duszek.

— I szczupak żyć jakoś musi — upierał się pan lasów, pól, łąk i jezior, ale znać było, że łamie się w sobie.

— Ja tak pięknie proszę! — łzawił Duszek przyciskając kaczuszkę do piersi z taką mocą, że gdyby żyła, udusiłby ją niechybnie.

— Hm, nie wiem — głos Gościuna zdradzał rozterkę, ale nie wydawał się jeszcze do końca przekonany.

— Tylko tę kaczuszkę — Duszek aż podskakiwał z niecierpliwości. — Po co ma nie żyć, gdy żaden z tego pożytek dla ryby, bo jej koniec końców nie zjadła?

— Nie zjadła, boś jej wyrwał zdobycz z pyska, niecnoto! — Gościun w końcu nie wytrzymał i roześmiał się na cały głos.

— A bo jak sobie pomyślałem, że będą się wszyscy w szuwarach naigrawać ze starej kaczkki, bo nie potrafiła młodego dopilnować... Kaczuszka mała, biedna... — Łzy na powrót pojawiły się w oczach Duszka.

— Ależ ty jesteś uparty — westchnął Gościun. — Jak ta pchła na psim ogonie.

— To jak będzie? — Opiekun zwierzątek był już pełen nadziei.

Gościun machnął ręką.

— Niech ci już będzie, choć doprawdy niepowinienem. Ostatni już raz podobnej prośbie daję posłuch — znowu westchnął i mruknął do siebie — Co dzień prawie mówię do ciebie to samo...

Uszczęśliwiony Duszek uniósł ku Gościunowemu uśmiechowi twarz lśniąca jeszcze od łez, po czym wyciągnął przed siebie dłonie ze zmaltretowaną kaczuszką.

— Ostatni raz tak czynię. — Nie wiadomo czy bóg chciał przekonać tym stwierdzeniem siebie, Duszka Szuwar, czy całą okolicę. Westchnął po raz trzeci i dotknął palcem zwierzątką.

Kaczuszką zadrżała od tego dotyku, po czym otworzyła dziobek wydając cichutki pisk, zaraz powstała na łapki, zrazu niepewnie, potem otrzepała się rześko i zeskoczyła z duszkowych dłoni. Kołysząc kuperkiem i wydając z siebie gniewne syki i popiskiwanie, drobnym truchtem podążyła do jeziora. Po chwili rozległo się wśród szuwarów radosne kwakanie kaczej matki.

— Dzięki ci, panie lasów, pól, łąk i jezior, niech wszelkie stworzenie ciepło w sercu chowa, gdy o tobie wspomni — piał zachwycony Duszek Szuwar. — Za twoją przeogromną dobroć, za twe...

— Przestań mi już kadzić — burknął Gościun, ale w jego głosie nie było znać gniewu.

Widoczna jeszcze w powietrzu dłoń skinęła w pożegnalnym geście, by po chwili rozwiać się niczym pasemko mgły. Niedługo potem rozmył się też przyjazny uśmiech, a mały Duszek Szuwar został sam ze swą radością i wdzięcznością.

Radzim zakończył opowieść. Miłka z otwartymi usteczkami wpatrywała się intensywnie w jego twarz.

— To moją wiewiórkę Duszek Szuwar też może ocalić? — spytała z nadzieją.

— Z pewnością — odparł Radzim — Jeżeli tylko ją napotkał, na pewno się nią zaopiekuje jak należy.

— Eee, ale to tylko bajka... — Dziewczynka posmutniała i opuściła głowę. — Nie ma przecież tak naprawdę żadnego Duszka Szuwar, prawda? Wymyśliłeś go, żeby mnie pocieszyć. Gdyby był, to mamusia i tatuś wiedzieliby o nim i na pewno by mi opowiedzieli.

Radzim już zbierał się do odpowiedzi, kiedy do chaty weszła młoda kobieta niosąc w dłoniach puszysty, rudy kłębuszek. Dziewczynka podskoczyła do niej piszcząc z radości. Kobieta skłoniła się lekko Radzimowi i powiedziała z uśmiechem:

— Dzięki wam, bednarzu, żeście się zaopiekowali moją pociechą. Tak ci za tym swoim ukochanym zwierzątkiem łkała, że serca nie miałam, by nie wyjść i nie poszukać, choć przecież bez nadziei.

Tymczasem dziewczynka pieściła wiewiórkę jednym uchem tylko słuchając, co mówią dorośli.

— I dziwna rzecz mnie spotkała — ciągnęła dalej matka. — Gdym szła przy brzegu jeziora, stworzonko owo z nagłą prosto z krzów pod nogi mi wyskoczyło, jakby je ku mnie jakaś siła wypchnęła. I usłyszałam coś jakby drobne kroczyki w przybrzeżnej gęstwie i cichutki śmiech. Ale to pewnie tylko tak mi się przywidziało...

Dziewczynka poderwała głowę, spojrzała bystro na Radzima i otworzyła buzię, żeby coś powiedzieć. Zamilkła jednak natychmiast, gdy bednarz pokręcił lekko głową i położył palec na ustach.

*

— Ale to ładne, tatku! — zawołał chłopiec. — Teraz to wymyśliłeś? Przyznaj się.

— Nic nie wymyśliłem — odpowiedział Radosław z pełną powagą. — Sam kiedyś

się przekonasz, że Duszek Szuwar istnieje.

— Naprawdę? — spytał chłopczyk. W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

— Zobaczysz. — Radosław nadal był poważny. — A teraz chodź już, pora się obmyć i położyć.

Bożyn uśmiechnął się, nasłuchując oddalających się kroków i głosów tej dwójki. Był bardzo zadowolony. Wprawdzie nie zdołał zdrzemnąć się przed trudami nadchodzącej uroczystości, ale miał okazję wysłuchać pięknej opowieści.

— Trzeba by to spisywać — mruknął. — Szkoda marnować takiego talentu. A i nic tak nie lepi społeczności jak podobne historie.

Rozdział 3

Wikary Gołąbka podążał leśnym duktem, zalany słońcem, które właśnie sięgało zenitu. Zieleń drzew, śpiew ptaków, zapach lasu, wszystko to atakowało zmysły, ale kapłan nie miał nastroju, aby sycić je bogactwem przyrody. Zresztą, nasycił się naturą dostatecznie przebywając na zesłaniu w zapadłej wiosce pod ukraińską granicą.

Jednak nie mógł tego braku pozytywnych doznań zrzucić tylko na karb niemiłych wiejskich wspomnień. Jasny dzień zdawał się wręcz ponury, kiedy wspominał rozmowę z Jego Ekscelencją.

Złe załęgło się na nad jeziorem niedaleko Drezdenka, w bezpośredniej bliskości wioski Gościm.

— Już czterech egzorcystów pochłonęło to diabelstwo — mówił biskup pomocniczy Wyzimek, ściskając mocno kielich z koniakiem. — Czterech, rozumiesz, Sebastianie? Dwóch posłaliśmy osobno, ale kiedy przepadli, wyruszyła cała ekspedycja. Dwóch doświadczonych ojców jezuitów z eskortą. W sumie dziesięciu ludzi. Żaden nie wrócił!

— Zginęli śmiercią męczeńską? — Gołąbka poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż pleców.

Był to dreszcz przerażenia i rozkoszy zarazem. Od kiedy wstąpił do seminarium, marzył właśnie o takim zwieńczeniu swojej drogi duchownej i duchowej. „Ciało to tylko naczynie, do którego Bóg wlał wasze człowieczeństwo — nauczał ksiądz profesor Roman Kolczużny. — A do czego służy naczynie? To tylko rzecz, w której przechowuje się treść, esencję. W godzinie próby pamiętajcie zatem, że wasze ciała to tylko naczynia. Czy ktoś żałuje wyrzuconej butelki, kiedy wleje w siebie ożywczą wodę?”

— Nie zginęli żadną śmiercią. — Biskup potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. Doskonale wiedział, co się roi w głowie młodego księdza. — Zostali tam. Rozumiesz?! Najtwardsi nasi bracia, o najmocniejszym morale i tytanowych kręgosłupach dali się uwieść i sprowadzić na manowce!

— Ekscelencjo, ależ to niemożliwe! Jacyś rodzimowiercy nie mogli...

— Problem w tym, że to nie są jacyś zwykli rodzimowiercy. Tam się dzieje coś niesłychanie dziwnego. Zawodzą nie tylko ludzie, ale i maszyny! W pobliżu zgromadzenia tych, tych... — Biskup nie mógł znaleźć odpowiednio dobitnego, a jednocześnie mało wulgarnego określenia. — W pobliżu grodziska, jakie sobie ci ludzie pobudowali spadają drony, milkną silniki samochodów. Nadleśniczy, będący członkiem Bractwa Czarnego Szkaplerza, zameldował archiprezbiterowi, że również broń palna przestaje działać w tamtym rejonie.

— Jak duży jest ten rejon? — zapytał natychmiast wikary.

Biskup zacisnął zęby, potem odetchnął głęboko i dopiero odpowiedział:

— Trudno to określić precyzyjnie i z całą pewnością. Jednak, wnioskując z raportów, można przyjąć, że sukcesywnie się powiększa...

— Jak zaraza — mruknął wikary.

— Jak zaraza — zgodził się hierarcha. — A zarazę trzeba zwalczyć, najlepiej w zarodku, zanim rozpełźnie się po całym narodzie.

— Najlepiej wypalić rozgrzanym żelazem i poćwiartować ostrym mieczem wiary!

— Sebastianie — rzekł łagodnie biskup Wyzimek — skąd u ciebie taka krwiożerczość? Jesteśmy ludźmi Kościoła, a nie jakimiś bojownikami! Żołnierzami Bożymi, Pan jest naszym generałem, a On uczy, że powinniśmy działać miłością i miłosierdziem..

— I właśnie z tej miłości oraz miłosierdzia posłano tam najlepszych egzorcystów? — Gołąbka nie mógł się powstrzymać od drwiny. — Trzeba było wyekspediować jakieś dzieciaki z Oazy, najlepiej natchnione dziewczęta z gitarami i śpiewem..

Przerwał mu gniewny gest przełożonego. Wikary sam jednak już się zorientował, że na zbyt wiele sobie pozwolił.

— Przepraszam, Wasza Ekscelencjo — bąknął.

— Powiniennem w tej chwili zdrowo cię objechać, Sebastianie. — Biskup upił łyk koniaku. — Objechać i odesłać do tej zapyziałej parafii na resztę twoich dni. Ale nie zrobię tego, bo masz trochę racji. Nawet sporo racji. Wysyłanie egzorcystów okazało się pomyłką, w dodatku bardzo kosztowną i upokarzającą dla Świętej Matki Kościoła. Lecz tamtych ludzi jest zaledwie garstka, a Bóg ma na swoje usługi całą armię wiernych.

Wikary Gołąbka miłosiernie zaniechał dzielenia się z przełożonych własnymi obserwacjami na temat tej bożej armii. Niejedno widział sprawując posługę na wsi i niejedno raz jego wiara została wystawiona na próbę. Ludzie są tylko ludźmi, zawsze i wszędzie. Liczyć na to, że będą poczuwać się do jakichś zobowiązań względem Kościoła byłoby skrajną naiwnością. A o brak realizmu wikary biskupa nie posądzał. Wyzimek najwyraźniej chciał wlać w niego otuchę, zachęcić do podjęcia misji. Niepotrzebnie. Książd Sebastian zrobiłby wszystko, żeby tylko wyrwać się z tej zapyziałej wiochy.

Skoro nie mógł liczyć na śmierć męczeńską, to może chociaż zdoła powrócić do normalnego życia duchownego, zamiast męczyć się z pochutliwym, rozpijaczonym i rozpróżnionym proboszczem. Miał dość płacziwych cotygodniowych spowiedzi przełożonego, jego czerwonej, wiecznie spoconej gęby i wielkiego bandziocha. Miał dość wysłuchiwanie w konfesjonale wciąż tych samych grzechów tych samych ludzi. Deklarowali mocne postanowienie poprawy, czynili pokutę, a potem robili dokładnie to samo, co już tysiące razy wcześniej obciążało ich sumienie.

Tacy są ludzie i zapewne nigdy się nie zmienią. Nie można przemienić ołowiu w złoto, a człowieka w anioła. Można tylko udawać, że to możliwe.

— Co trzeba zrobić? — spytał biskupa i wychylił od razu całą zawartość kieliszka.

Doszedł do wniosku, że cały ten elegancji, niesłychanie drogi koniak nie jest wcale lepszy od pędzonego z miodu bimbru starego Pastuszki. A może gorszy nawet.

— Wyprawimy cię z misją. Musisz udawać zwykłego turystę. Żadnej ostentacji wiary, znaku, że jesteś kapłanem, to chyba jasne.

— Mam się wkręcić w tę społeczność? — uściślił wikary, czując obrzydzenie na samą myśl o takim zadaniu.

— Tak. — Biskup dolał mu trunku. — Jednakowoż nie na stałe, synu, o nie. Chcemy zdobyć jak najwięcej informacji, bo bez należytego rozpoznania trudno będzie podjąć konkretne kroki. Pobędziesz tam i uciekniesz.

— Wyciągnięcie takich wniosków kosztowało nas czterech dobrych egzorcystów — mruknął z przekąsem wikary.

— To wiem bez ciebie — rzucił ostro biskup. — Nie potrzebuję pouczeń. Mogę obiecać jedno — dodał łagodniej. — Jeśli dobrze się spiszesz, nie tylko wrócisz z

obecnego miejsca posługi, ale postaram się dla ciebie o jakąś spokojną, bogatą parafię w dobrym miejscu. Zresztą, gdzie tylko zechcesz. Do Rzymu na studia pojedziesz, jeśli wola, a jak nie chcesz tam, to gdzie indziej.

Wikary potrząsnął głową, odganiając wspomnienia. Pamięć ostatnich słów przełożonego sprawiła jednak, że świat wydał się nieco piękniejszy, nawet ta znienawidzona w ostatnich latach soczysta zieleń polskiego lasu nie była tak przygnębiająca. A także świadomość, że znalazł się już na obszarach zakażonych herezją.

Młody ksiądz odruchowo pomacał przewieszoną przez ramię torbę. Miał w niej zaszyte maleńkie pudełka z drogich gatunków drzew, w których znajdowały się fiołki ze święconą wodą, krzyżmem, kilka opłatków i wino do misterium przemiany. Wszystko to na wszelki wypadek i dla wzmocnienia własnej wiary. Namawiał biskupa, aby przydzielił mu także jakąś relikwię, ale dostojnik tylko się skrzywił. Egzorcystom nie pomogły bardzo mocne artefakty, więc przydzielanie cennych przedmiotów samotnemu misjonarzowi byłoby zwykłym marnowaniem świętych dóbr. Tym bardziej, że nie było wiadomo, jaki los spotkał relikwie przejęte przez neopogan. Aż dreszcze chodziły po plecach na myśl, że święte szczątki mogły zostać zbezczeszczone przez tę dziką tłuszczę.

Trudno, musiał sobie radzić z tym, co miał. Czuł się w tej chwili jak święty Wojciech wchodzący między plemiona Prusów. Ale tamten miał przy sobie chociaż towarzyszy, w tym brata Radzima, przydzielono im przewodników. I mógł głosić wiarę otwarcie, a nie poszedł na zwykłe przespiegi.

Nagle wikary zapragnął całą duszą usłyszeć ludzki głos. Głos kogoś życzliwego, pragnącego powodzenia jego misji.

Wstydząc się sam przed sobą tej chwili słabości, wyjął telefon satelitarny, jedyny który powinien działać w tej okolicy. Wybrał numer gorącego połączenia z kurią.

Cisza.

Dopiero teraz spojrzał na wskaźnik mocy sygnału. Wskazywał zero. W dodatku ikona stanu baterii wskazywała, że energia wycieka dosłownie w oczach. Wikary natychmiast wyłączył urządzenie, nie mając pewności, że to cokolwiek da.

Przestraszony ksiądz stanął i rozejrzał się, jakby oczekiwał, że lada chwila zostanie zaatakowany, jeśli nie przez ludzi, to jakieś leśne bestie, duchy obudzone przez pogańskie obrzędy.

Wiedział, że to bzdura, ale nie mógł nic poradzić na ogarniający go lęk. Dopiero teraz poczuł się naprawdę samotny, odcięty od znanego mu świata. Zdał sobie sprawę, że to miejsce jest zupełnie inne, niż wszystko, co znał od urodzenia. Nie pamiętał nawet mgliście czasów sprzed ery wszechobecnych komputerów i telefonii komórkowej. Nie miał pojęcia, jak strasznie można się poczuć, kiedy zabraknie techniki.

Oczywiście, w głuszy, do której go zesłano często nie miał zasięgu, a dostęp do sieci bywał problematyczny, jednak stanowiło to tylko irytującą niedogodność, a poza tym zazwyczaj i tak nie miał wiele czasu na własne rozrywki, gdyż musiał pracować zarówno za siebie, jak i rozleniwionego proboszcza. Jednak sama świadomość, że to wszystko jest na wyciągnięcie ręki towarzyszyła mu, odkąd pamiętał.

Odetchnął głęboko kilka razy, podskoczył w miejscu, a potem ruszył dalej. Musiał sobie poradzić w tej nowej sytuacji, po prostu musiał! Nie mógł zawieść tylko dlatego, że stracił zupełnie łączność z Kurią. W końcu ci rodzimowiercy jakoś potrafili żyć w takich warunkach!

Spojrzał na zegarek i znów drgnął. Wskazówki zatrzymały się na godzinie dziesiątej trzydzieści dwie. Pamiętał dokładnie, że właśnie wtedy wysiadł z unieruchomionego samochodu. Zastanawiał się przez chwilę, czy gdyby miał czasomierz mechaniczny, a nie kwarcowy, też by przestał pracować. To należałoby sprawdzić. Przecież w tym miejscu nie mogło zawodzić dokładnie wszystko! Coś działać musiało! Chyba...

Wikary znów włókł się noga za nogą, jakby przy każdym kroku musiał pokonywać ogromny opór, jakby przedzierał się przez potwornie mocne poddmuchy huraganu.

„Czy mam zostać drugim świętym Wojciechem? — myślał. — Czy też Brunonem z Kwefurtu?”

Inaczej niż przed wyruszeniem w drogę, teraz myśl o męczeńskiej śmierci nie wydawała się już tak kusząca. Wikary zacisnął zęby. Być może przywołani przez niego święci w godzinie próby również modlili się o ratunek? Jak Pan w Ogrójcu, błagający Ojca, aby odsunął od niego Kielich...

Ksiądz spojrzał w górę, oceniając, ile mogło upłynąć już czasu jego wędrówki. Słońce stało w zenicie. W radio zapewne nadano ostatni krótki sygnał i grał już hejnał z Wieży Mariackiej. A on na leśnej drodze... Samotny wędrowiec, zmierzający prosto w paszczę lwa. A może raczej hieny? Bo lew to przecież zwierzę utożsamiane z majestatem królewskim, w książkach C. S. Lewisa o Narnii pokrewne Chrystusowi.

Nagle poczuł mrowienie na karku. Czuł się, jakby ktoś go obserwował. Ktoś mało życzliwy, a nawet wrogi. Rozejrzał się ostrożnie, lecz nikogo nie dostrzegł. W to jasne, rozgrzane słońcem południe przeszedł go dreszcz grozy, jakby nagle znalazł się w starej ciemnej piwnicy. Nawiedzonej piwnicy. O północy...

Ruszył zwawiej, myśląc, że lepiej już chyba znaleźć się między ludźmi, choćby ci ludzie byli śmiertelnymi wrogami prawdziwej wiary. Zawsze to istoty znane i przynajmniej do pewnego stopnia obliczalne.

To, co czuł było tym dziwniejsze, że przecież niejednokrotnie przemierzał samotnie lasy, zdarzało mu się nawet chadzać po zmroku w gęstwinie drzew. Nigdy jednak nie czuł takiego niepokoju. Owszem ogarniały go irracjonalne lęki, związane z ciemnością i całkiem racjonalne też, gdyż położone w okolicy parafii lasy obfitowały w różne zwierzęta, także groźne dla człowieka, lecz nie pamiętał, by kiedykolwiek aż tak się lękał.

Przeżegnał się i zaczął modlić do Anioła Stróża, lecz modlitwa nie pomagała. W panującym skwarze, czuł ogarniający go chłód.

Wszedł pod zadaszenie gałęzi. Przed nim jaśniała kolejna plama rozświetlonej drogi, w miejscu świeżej poręby. I właśnie tam nagle zamajaczyło coś, jakby mgła.

Nie, nie mgła, ale wir powietrzny, unoszący się nad samym środkiem drogi.

„Południca — zaśmiał się w duchu wikary i poczuł ulgę. — Zwykłe zjawisko. Chociaż miejsce dla niego cokolwiek niezwykle”.

Na wsi nieraz widywał te wiry, przemierzające nawet spore odległości, jednak nie w lasach, ale nad polami. Podobno niektóre bywały na tyle potężne, że mogły porwać nawet rosnącego mężczyznę i uderzyć nim o ziemię. Stąd wzięły się legendy o południowych duchach, prześladowających rolników i podróżnych. Ludzie, nie rozumiejąc zasad funkcjonowania sił przyrody, tłumaczyli je sobie w mistyczny sposób. Tak zawsze jest łatwiej, bo człowiek woli, żeby niezrozumiałe było raczej groźne, niż zupełnie tajemnicze.

Lecz teraz wikary miał przed sobą znajomy wprawdzie wir powietrzny, ale ten wir tkwił pośrodku drogi, jakby właśnie na niego czekał. I poprzednia ulga zamieniła się w

niepokój narastający z każdym uderzeniem serca.

*

Major Siergiej Adamowicz Wazulin z niedowierzaniem spoglądał na zdjęcia satelitarne. Przesłano mu je na komputer kilka minut wcześniej z sygnaturą „Pilne/ściśle tajne/spec-znaczenia”.

— Stiopa! — wywołał przez interkom adiutanta. — Do mnie, na jednej nodze!

Po dosłownie dwóch sekundach drzwi otworzyły się i wszedł młody żołnierz. Zasalutował słuźbiście, wyprężył się w pozycji zasadniczej, z końcami środkowych palców „po szwam”. Przypominał pomnik posłuszeństwa i kompetencji.

— Nie wydurniaj się — syknął Wazulin. — Nie jesteś na defiladzie, tylko w pracy.

Major nie cierpiał tego całego wojskowego ceremoniału. W głębi duszy był niepoprawnym cywilem, któremu wystarczyłoby zwykłe „dzień dobry” zamiast salutowania pięć kroków przed wyższym rangą i dwa po jego minięciu, a stare pocziwe „rozumieć”, albo „tak” zamiast szczekliwego „tak jest”. Lecz adiutanta przydzielono mu takiego, jakby służył w korpusie jęgrów Piotra Wielkiego.

— Słucham, towarzyszu majorze! — huknął radośnie lejtnant.

Wazulin zastanowił się przelotnie, czy aby na pewno ten tępak jest człowiekiem, a nie jakimś cholernym cyborgiem. Nie poprawiał nawet tego „towarzysza majora”. Siergiej Adamowicz Wazulin nigdy nie był członkiem partii. Żadnej. Do KPZR nie zdołałby wstąpić z racji wieku, a zresztą nigdy by nie przyjął legitymacji partyjnej. Nawet do pionierów nie należał. A do żadnych prorządowych stronnictw wstępować nie zamierzał. Jego mało ideowa postawa skutkowała tym, że wciąż był majorem, choć jego koledzy z kursów mieli już stopnie podpułkowników, a nawet pułkowników. Lecz, co ciekawe, nie im powierzano największe tajemnice państwowe, lecz właśnie jemu.

Widać tak już jest, że władza ufa tym, którzy bywają niepokorni. Nie lubi ich, ale im ufa. Bo wiadomo, że aby być niepokornym w kraju z założenia wiernopoddańczym, trzeba posiadać twardy charakter i żelazny kręgosłup moralny. Tacy ludzie nie zdradzają, nawet jeśli każe im się czasem wypełniać zadania kłócące się z ich sumieniem. Mogą odmówić, mogą się nawet zbuntować, ale nie zdradzą.

— Stiopa, polecisz natychmiast do sekcji obserwacji satelitarnej i przyniesiesz materiał, który przysłali ostatnio, tylko tym razem ma być w najlepszej dostępnej rozdzielczości. Czeka! — warknął, widząc, że lejtnant zamierza salutować i oddalić się „dla wykonania rozkazu”, jak by to określił prawdziwy trep. — To ma być dokładnie skopiowany plik źródłowy, a nie te flury, które zwykli mi przysyłać. Do tego zdjęcia tego samego obszaru z ostatnich dwóch miesięcy. Również najlepsze, jakie mają.

Porucznik skrzywił się.

— Będzie trudno. Gabriel Filipowicz przy każdej tego typu prośbie twierdzi, że podobnych rzeczy robić im nie wolno. Gdyby wróg przechwycił...

— Zasuważ! — syknął major. — Zadzwoń do pułkownika. Ty już tam nic nie gadaj, tylko weź, co ci dadzą.

Gdy adiutant zniknął, podniósł słuchawkę i wystukał numer szefa sekcji obserwacji.

— Słuchaj uważnie, Gabrielu Filipowiczu — powiedział. — Wysłałem do was mojego chłopaka. Tak, słusznie się domyślasz. Chcę mieć na biurku jeśli nie oryginały, to najlepsze kopie plików. Za ostatnie sześćdziesiąt dni. To mają być takie pliki, które nie różnią się od zapisów bezpośrednich. O nie, przyjacielu, tym razem nie zbędzisz mnie

paranoicznymi opowieściami o wrogach ludu rosyjskiego. Jesteśmy wewnątrz najlepiej strzeżonego kompleksu w całym kraju. Nawet tajne kwatery prezydenta nie mają takiej obstawy. Jeśli więc zaplątałby się tutaj jakiś wróg Rosji, oznaczałoby to, że powinniśmy wszyscy, co do jednego, ustawić się w kółko i jeden drugiemu na komendę strzelić w tył głowy. Tak, jak to się robi ze zdrajcami i szpiegami. Nie ma się co oburzać. Żądam tych materiałów dlatego, że mam powody ich się domagać, a nie po to, żeby pokazać, który z nas jest tu większą szychą. Jeśli chcesz, przypnę sobie na drzwiach kartkę, że sekcja obserwacji jest ważniejsza od analitycznej. Może być? W końcu to ty jesteś najstarszym oficerem w wydziale. Ale jeśli odprawisz mojego porucznika z kwitkiem, następny telefon wykonam do ministra obrony. Na gorącą linię! A jeżeli przez twój upór nie wykonamy na czas analizy i nie sporządzimy raportu jak należy, obaj polecimy ze stołków! Tylko że ja mam w życiu co robić, zajmę się obsługą sieci informatycznych, a ciebie wyślą z gołą dupą do jakiegoś syberyjskiego okręgu! Może nawet do kurortu zwanego Madaganem. Nie dociera do ciebie, że to, co jest na tych fotografiach, a raczej to, czego nie ma, może być niesłychanie ważne dla bezpieczeństwa państwa?!

Odłożył słuchawkę i pokręcił głową. Malinin był człowiekiem układu. Miernota postawiona na czele zespołu naprawdę znakomitych fachowców. Naczelnik Brestinych nie miał wyboru, musiał dać wysokie stanowisko pociotkowi samego marszałka. Takiej szarzy nie powinien odmawiać nawet generał armii, a szef był tylko generałem majorem. Niemniej, pułkownik obawiał się nieco ministra obrony, który pozostawał w wieloletnim konflikcie z marszałkiem. Wazulin starał się nie nadużywać tego straszaka, tak naprawdę tylko raz kiedyś mgliście napomknął o rozmowie z kimś reprezentującym kręgi rządowe, ale dzisiaj stracił cierpliwość, słysząc jęczenie, jąkanie i pełne protestów dukanie pana pułkownika.

Rzucił okiem na wydruki i ekran. Pierwszy raz widział takie braki w materiale pochodzącym z satelitów. I to dwóch na raz, bo akurat nad tym rejonem przelatywały maszyny zarówno w płaszczyźnie równoleżnikowej, jak i południkowej. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest jak należy, to był obszar lasów i jezior, dość monotony obserwacyjnie. Lecz wprawny wzrok doświadczonego analityka od razu dostrzegł, że coś tu nie pasuje. Znał ten teren doskonale, dawniej właśnie w tych lasach Armia Czerwona rozmieszczała mobilne systemy raketowe, mające stanowić straszak dla imperialistów z Zachodu, a jednocześnie przypomnienie Polsce i Niemcom Wschodnim, kto panuje na tym obszarze.

Oczywiście, rozmieszczanie rakiet balistycznych było sprawą ściśle tajną i dlatego wszyscy zainteresowani doskonale wiedzieli, co robią Rosjanie, chociaż niekoniecznie dokładnie, gdzie to robią. Na tym polegała, polega i zawsze będzie polegać polityka zastraszania.

Chociaż armia sowiecka opuściła Polskę wiele lat temu, pewnym terenom wciąż poświęcano więcej uwagi. Tak na wszelki wypadek i dlatego, że wojska wprawdzie się wyprowadziły, ale zostały po nich pewne rzeczy, niekoniecznie takie, o których należałoby wspominać na oficjalnych politycznych salonach. W rzeczonych lasach w największej — tym razem nieprzeniknionej swego czasu dla kogokolwiek niepowołanego tajemnicy — zostały zbudowane podziemne instalacje, pozostające obecnie w uśpieniu, ale zakonserwowane i gotowe do działania, gdyby zaszła taka potrzeba.

Tymczasem na zdjęciach, które otrzymał dzisiaj major lasy zdawały się obejmować o

wiele większy obszar niż kiedyś. Nie mogły przecież rozrosnąć się w ciągu niecałego miesiąca, kiedy ostatni raz przeglądał materiały z tego rejonu! Nie widział też charakterystycznych śladów w miejscach, gdzie znajdowały się urzędnicy. Zupełnie jakby puszcza wzięła wszystko w niepodzielne władanie. Jakby tam zupełnie nic nie było...

Tylko że to było niemożliwe. Po prostu wykluczone!

Jednak skoro kamery satelitów nie uległy uszkodzeniu, a nic na to nie wskazywało, słowo „niemożliwe” należało pominąć. Coś się wydarzyło. Pozostawało tylko pytanie — co?

*

Wikary Gołąbka wił się na ziemi niczym wściekła kobra przyciśnięta bezlitosnym, ciężkim butem. Wykręcał się na wszystkie strony, starał się wyrwać za wszelką cenę. Wszystko na próżno. Jego biodra utkwiły w żelaznym uścisku nagich kolan. Jego ręce uwięzły i przycisnęły do ziemi mocne palce.

W ogóle ta kobieta okazała się straszliwie silna. Absolutnie nieoczekiwanie silna, biorąc pod uwagę jej pozorną ulotność i wiotkość.

Kobieta? Przecież wyłoniła się z tego wiru, więc pewnie była jakąś istotą demoniczną, przywołaną do życia przez obrzydliwe obrzędy odstępców.

— Apage! — jęknął wikary. — Apage, Satanas! Kobieto, narzędzie diabła, przepadnij! W imię Pana, odejdz ode mnie, kusicielko!

Napastniczka znieruchomiała na moment, a ksiądz uznał, że jego słowa przyniosły efekt, dlatego szarpnął się z całych sił. Lecz południca nie zamierzała go wypuścić. Zaśmiała się tylko gardłowo, a w tym śmiechu duchowny usłyszał zarówno groźbę, jak i obietnicę. Co gorsza, nie obietnicę śmierci, lecz największych rozkoszy świata. Wbrew sobie poczuł, jak przechodzi go dreszcz. I nie był to wcale dreszcz przerażenia. Albowiem ten śmiech pobudził zmysły mężczyzny uspiętego w czarnej sutannie. Wprawdzie ksiądz Sebastian podróżował po cywilnemu, miał na sobie kraciatą koszulkę i szorty, ale przecież jego serce wiecznie spowijał ten sam kir oddania Bogu, co i ciało, kiedy wkładał zwykłe ubranie duchownego.

Tak przynajmniej myślał do dzisiaj. Bo ten śmiech...

Ta twarz...

To ulotne, gibkie ciało...

— Nie! — wychrypiał. — Nie! Nie poddam się.

I podjął nierówną walkę. Wiedział, że zмага się nie tylko z przemocą fizyczną, ale przede wszystkim z własnymi słabościami. Ta istota nie mogła być przecież aż tak silna, więc jeśli umiała powalić całkiem rosnącego mężczyznę, problem musiał tkwić w nim właśnie.

Chociaż z demonami przecież nigdy nic nie wiadomo...

— Puszczaj! — warknął. — Na Boga, zaklinam cię, puść!

Jednak ona nie zamierzała usłuchać. Znow rozległ się zmysłowy śmiech, a wikary poczuł, jak jego wola gwałtownie słabnie. Południca pochyliła się nad nim, jej pełne, karminowe wargi zbliżyły się do ust księdza. Szarpnął się aż zatrzeszczały stawy i przekręcił głowę w bok najdalej, jak tylko mógł.

Lecz jej usta już tam były. Gdy dotknęły jego ust, poczuł, jakby go przeszedł prąd. Jeszcze nigdy nie doświadczył kobiecej bliskości, a to zjawisko miało w sobie na dodatek nieodparty urok demona.

Walczył jednak. Walczył z całych sił, a ona z każdą sekundą wyciągała z niego pokłady silnej woli tym grzesznym pocałunkiem. Już nie czuł bólu w biodrach, które tak mocno ścisnęły jej kształtne kolana, przygniecione dłonie nie mrowiły przykro. Wszystkie te doznania stawały się coraz przyjemniejsze, nie budziły niepokoju, ale zupełnie inne, nieznanne do tej pory uczucia.

— Odejdź! — jęknął jeszcze ostatkiem sił.

Aby wzmocnić własny strach, a zarazem wolę przeciwstawienia się demonowi, przypomniał sobie, jak ta postać wyłoniła się z powietrznego wiru.

Zbliżył się do niego nieopatrznie, wiedziony ciekawością. A przecież stare porzekadło uczy, dokąd ciekawość może zaprowadzić...

Niewczesne był o to jego zaciekawienie, to wiedział już w chwili, gdy stanął o pięć kroków od zjawiska i zobaczył przez woal wiru niewieścią postać. Zwiewną, odzianą w lekką szatę, targaną mocnym powiewem. Rozcięte wysoko boki sukni odsłaniały co i raz pyszne biodra, oblepiająca ciało materia więcej odkrywała, niż zasłaniała. W tamtej chwili powinien odwrócić się na pięcie i uciec.

Powinien. Lecz przecież miał do wypełnienia misję! Wyszarpnął więc z zanadrza zabraną wbrew zaleceniom biskupa osobisty krucyfiks i skierował go w stronę wiru. Nic się nie wydarzyło, chociaż przez chwilę ksiądz miał wrażenie, że lej nieco się zachwiał. Namacał w kieszeni dodatkową fiolkę z wodą święconą, również zabraną wbrew napomnieniom, którą zamierzał ukryć gdzieś pod mchem, zanim dotrze do grodziska, wyjął zębami korek, podszedł dwa kroki i szczerze chlusnął w zjawisko.

Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania! Wir nagle zastygł, jakby skuł go lód, kobieca postać w środku wykrzywiła twarz w przykrym grymasie, a potem struktura znieruchomiałego powietrza pokryła się gęstą siatką pęknięć, po czym eksplodowała z brzękiem setek rozbijanych kryształowych waz. Wikary zasłonił odruchowo twarz, spodziewając się gradu siekających odłamków, ale otrzymał tylko mocny podmuch, wyraźnie składający się z tysięcy niewielkich powiewów. Kryształy musiały się zamienić po prostu w powietrze.

Opuścił przedramię. Spodziewał się, że przed nim będzie tylko pusty trakt, jednak przeliczył się. Kobieta stała i uśmiechała się drapieźnie. A potem nagle rzuciła się na księdza, przewróciła go i dosiadła wprawnie, niby doświadczony dżokej znanego sobie doskonale wierzchowca.

A teraz nieszczęsny duchowny czuł, jak pod wpływem pocałunku topnieje jego opór.

— Odejdź... — powtórzył słabym głosem.

Czuł, że to koniec. Magnetyzm południcy musiał zwyciężyć. Powaliłby na łopatki nawet Szymona Słupnika, który służył ze świętego uporu, a co dopiero zwykłego katabasa z dalekiej prowincji...

— Nie... — wychrypiał jeszcze i szarpnął się z całych sił.

I w tej chwili przeklął chwilę, w której podkusiło go, by zamiast długich spodni założyć szorty. Bo to ułatwiło znacznie zadanie przeklętej południcy. Zaśmiała się znowu, czując doskonale, jak reaguje ciało tego szalejącego pod nią mężczyzny.

Wikary zawył jak wilk, kiedy dotarło do niego ostatecznie i z całą ostrością, że czeka go raczej los Piotra Abelarda niż Brunona z Kwefurtu.

*

Generał Arthur S. Milling przeglądał raporty sekcji obserwacji satelitarnej z

kamienną twarzą i zaciśniętymi zębami. Nacisnął czerwony guzik na interkomie. Po dwóch sekundach wszedł porucznik Rollins, zasalutował.

— Tak, sir?

— Wezwij do mnie pułkownika Inglesa i kapitana Sargensa. Mają się stawić w ciągu pięciu minut! Z dokumentacją fotograficzną dotyczącą obszaru Europy Środkowej pięć-trzy-osiem-sześć. Zapamiętasz?

— Tak jest, sir!

Kiedy adiutant-sekretarz zniknął, pułkownik znów spojrzał w raport. Kapitan Jason Sargens był jednym z najlepszych analityków w Pentagonie. To właśnie jego notatka spowodowała, że sprawa trafiła na biurko Millinga. Zrozumiał z niej tyle, że przekłeci Rosjanie znów zaczęli skutecznie mieszać w tej części świata, która zdawała się od dwudziestu lat wyłączona spod ich przemożnych wpływów. Czyżby Polacy poszli na układ z siłowikami kremłowskimi? To wydawało się generałowi niemożliwe. Spędził pewien czas jako attaché wojskowy ambasady w Warszawie i wiedział, że niezależnie od układów politycznych, Polska nie pozwoliłaby sobie na takie alianse z Putinowskimi neosowietami.

Oficerowie zjawili się po trzech minutach.

— Co to jest?! — Milling postukał palcem w papiery. — Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?!

Pułkownik Ingles zacisnął szczęki, spojrzał wściekle na kapitana.

— Nie chciałem zawracać głowy panu generałowi takimi drobiazgami.

— Drobiazgami?!

Szef wywiadu wojskowego aż wstał z fotela, obszedł biurko i stanął przed pułkownikiem tak blisko, że prawie stykali się nosami. Wyglądało to nie jak rozmowa dwóch wyższych oficerów, ale spotkanie wściekłego sierżanta z żołnierzem, który zgubił broń osobistą.

— To według pana są drobiazgi?! — wrzasnął wyprowadzony ostatecznie z równowagi generał. — Ruscy znów coś kombinują na zachodzie Polski, jednego z naszych najważniejszych sojuszników w pieprzonej Europie, a pan opowiada o drobiazgach?

— Pozwolę sobie zauważyć, panie generale — odezwał się pułkownik, mrużąc oczy, kiedy owiewał go gorący, wściekły oddech przełożonego — że to nie musi być robota Kremla.

— A czyja, biedny idioto?! — ryknął Milling. — Kto jeszcze ma dostateczne środki, żeby oślepić nasze satelity? A najprawdopodobniej zaingerować w nie nawet na poziomie programowania?! Może jakiś wściekły Arab, co?

Pułkownik starał się zachowywać spokój i nie zwracać uwagi na stłumiony chichot kapitana. Jeszcze się z nim policzy, kiedy przyjdzie pora. Ten stary, wrzeszczący pierdziel z trzema generalskimi gwiazdkami nie będzie wiecznie siedział w swoim skórzanym fotelu.

— Nie tylko Rosjanie... — zaczął Ingles, ale dowódca mu przerwał.

— To może Chińczycy, co? Zapewne bardzo ich interesuje rejon jezior, rozlewisk i lasów. Zechcą tam sobie jak nic wybudować nowy Pekin. Co pan w ogóle wie o tym rejonie Europy?

Pułkownik milczał przez chwilę, a usta otworzył o pół sekundy za późno, żeby uchronić się przed atakiem furii generała.

— Gówno pan wie, pułkowniku! Panu się wydaje zapewne, że Polska to jakaś część Syberii południowo-wschodniej, w której osiedlają się masowo Chińczycy! Otóż

informuję pana uprzejmie, iż jest to kraj graniczący z Rosją od zachodu. Od zachodu, rozumie pan?! I nawet nie z samą Polską, bo między nimi leży cały wianuszek krajów dawnego Związku Sowieckiego!

Pułkownik ledwie się pohamował, żeby nie trzasnąć w tę czerwoną, wykrzywioną gębę. Doskonale wiedział, gdzie leży Polska i nie myliła mu się z Holandią, jak wielu innym, nawet niezłe wykształconym Amerykanom. Zapewne miał większą wiedzę o tym kraju nawet od samego generała, który zasłynął swego czasu tym, że wyraził przekonanie, iż Praga, czyli prawobrzeżna część stolicy Polski i czeska Praha mają ze sobą coś wspólnego.

Ale przywilejem generała było wrzeszczeć na podwładnych, nawet jeśli te wrzaski nie miały wielkiego sensu.

— Kapitanie Sargens. — Generał porzucił ofiarę, spojrzał na drugiego z oficerów. — Kiedy zorientował się pan, że na zdjęciach satelitarnych jest coś nie w porządku?

— Ponad miesiąc temu — odparł Sargens. — Zgłosiłem to natychmiast pułkownikowi, jednak zlekceważył meldunek. — W głosie kapitana słychać było zarazem urazę, jak i satysfakcję.

— Jak dobrze zna pan tereny, o których mowa? — spytał generał.

— Zajmuję się tą częścią Europy od dwóch lat. Prawdę mówiąc, gdybym nie miał opatrzonych tak dobrze zdjęć tych obszarów, sam bym pewnie zlekceważył pewne drobne zmiany.

— Ale pan nie zlekceważył i proszę mi tutaj nie próbować usprawiedliwiać przełożonego.

— Nie miałem takiego zamiaru, panie generale, ale muszę postępować uczciwie...

Pułkownik zgrzytnął zębami. Ten skubaniec nie dość, że złożył osobny raport, poza wiedzą dowódcy, to jeszcze wychodził teraz na jedynego sprawiedliwego, na faceta, który jest tak lojalny, że gotów byłby poświęcić własną karierę, żeby ratować dowódcę. Co za wesz! Przecież chodziło mu właśnie o coś wręcz przeciwnego!

— Co pan o tym sądzi? — spytał generał.

— Wydaje mi się, że Rosjanie wynaleźli jakiś nowy sposób maskowania, sir — odparł kapitan. — Oczywiście chodzi mi o maskowanie elektroniczne, bo przecież doskonale wiemy, że nie mogli w tamtym rejonie podjąć fizycznych działań. A przynajmniej takich, które można dostrzec.

— Tylko po co im to? Możesz powiedzieć, kapitanie? — odezwał się pułkownik.

Generał już miał na niego nawrzeszczeć za przerywanie rozmowy, ale zmienił zdanie. Też był tego ciekaw.

— Zastanawiał się pan kiedyś, sir, dlaczego Rosjanie robią pewne rzeczy, których nie rozumiemy?

— Chłopcze. — Szef wrócił za biurko, usiadł i uśmiechnął się szeroko. — Niejednokrotnie. W końcu moja praca polega głównie na tym, żeby próbować zrozumieć wroga. Doszedłem wprawdzie do pewnych wniosków, ale trudno je nazwać wyjaśnieniem. A ty?

— A ja znalazłem wytłumaczenie — odpowiedział z zadowoleniem kapitan.

— Słucham zatem. — Generał uśmiechnął się. Złość już mu przeszła.

— Bo są Rosjanami — odpowiedział z pełną powagą Sargens. — To jedyne rozsądne wyjaśnienie.

Pułkownik prychnął pogardliwie, ale generał zmrużył oczy.

— Rozszerzysz swoją myśl?

— Oczywiście, sir, jeśli pan sobie życzy. Zasadniczo Rosjanie działają w pełni logicznie i planują politykę zagraniczną tak, jak my, na jakieś pięćdziesiąt lat naprzód. Jednak często robią rzeczy, które trudno wyjaśnić. Chociażby ze względów ambicjonalnych. Pamięta pan na pewno, jak prezydent Reagan wykorzystał właśnie tę ich słabość, ogłaszając program wojen gwiazdnych. Praktycznie zrujnowali sobie gospodarkę, żeby nam dorównać, podczas kiedy Stany Zjednoczone wykonywały tylko ruchy pozorowane. Umieszczono na orbicie ledwie parę atrap wyrzutni raketowych za kilka milionów dolarów, podczas gdy oni angażowali miliardy...

— Pamiętam, pewnie, że pamiętam. — Generał pokiwał głową. — Uważasz więc, że pewne działania Rosjanie podejmują z pobudek, które ludziom kultury zachodniej mogą wydawać się obce?

— Właśnie.

Pułkownik znowu prychnął.

— To ciekawe, co mówisz, chłopcze — rzekł powoli dowódca. — Bo zgadza się z moimi własnymi przemyśleniami.

Ingles skrzywił się. Trafił swój na swego! On uważał, że ruscy potrafią pogrywać i robią sobie zwyczajnie jaja podejmując pewne działania.

— Opowiedz mi o tych zdjęciach z raportu, kapitanie — zażądał generał.

Sargens odchrząknął, jego szczupła twarz ściągnęła się w wyrazie skupienia.

— Rejon, o którym mowa jest fotografowany raz dziennie. Do dwudziestego czwartego czerwca nic się nie działo, zapisy pokazują ten obszar w takim samym stanie, jeśli oczywiście nie liczyć zmian pór roku. Jednak już dwudziestego piątego czerwca struktura uległa zmianie. Najpierw bardzo delikatnej, prawie niezauważalnej, nawet ja bym ją przeoczył. Wiem, że zaczęły się jakieś procesy, bo przeglądałem materiał wielokrotnie, nastawiony na obserwację anomalii. To nie było nic wielkiego. Zupełnie jakby las w tamtym miejscu nieco zgęstniał. Ale w następnych dniach widać już wyraźne różnice. Gdybym miał do czegoś to odnieść... — zawiesił głos, ale po chwili podjął, zachęcony gestem generała. — Mam wrażenie, że zwykły polski las zamieniał się w puszcę. Prastarą puszcę. A potem...

Kapitan przygryzł wargi, spojrzał na pułkownika, który zrobił minę „mnie to nie dotyczy i nie obchodzi”.

— A potem zaczęło się to rozszerzać. Bardzo powoli i regularnie, ale nie koncentrycznie. Przypomina to raczej niekształtna amebę. Tak naprawdę zwróciłem uwagę na zjawisko dopiero, kiedy zaczęło ogarniać dawną sowiecką infrastrukturę. Wygląda to tak, jakby ktoś starł właściwy obraz z fotografii i wstawił w to miejsce coś w rodzaju widoku satelitarnego na jakiś park narodowy.

— Co za bzdury! — nie wytrzymał pułkownik. — Widocznie urządzenia optyczne satelitów...

— Proszę nie pieprzyć — przerwał mu generał. — Tylko w tym jednym miejscu źle działają? Bo pozostałe odczyty nie budzą zastrzeżeń. — Zwrócił się do kapitana. — Uważa pan, że to Rosjanie?

— Nie, panie generale. Mimo wszystko, nawet ich szalone pomysły mają jakieś granice. Tym bardziej że niemożliwe są dokładniejsze analizy, zbliżenia detali. Zupełnie

jakby to były białe plamy. Czy raczej zielone. Jakaś struktura tam jest, można ją do czegoś odnieść, jak do tej prastarej puszczy, ale czy to odniesienie jest na pewno słuszne?

Generał odetchnął głęboko.

— Proszę zostawić mi zdjęcia, muszę to przemyśleć. Kapitanie Sargenrs, dziękuję za czujność.

Kiedy oficerowie opuszczali gabinet, generał powiedział jeszcze:

— Pułkowniku...

— Tak, sir? — Ingles odwrócił się natychmiast.

— Ta historia, jak to pomyliłem Pragę w Warszawie ze stolicą Czech... — Pułkownik poczuł, jak się czerwieni. — Robiłem sobie wtedy żarty. Nawet amerykański generał nie jest taki głupi. Prezydent tak, sekretarz stanu też. Ale nie generał. Tacy, jak ja, dobrze wiedzą, kto jest naszym sprzymierzeńcem i dlaczego. A Polacy mają pewne unikalne cechy, które czynią ich sojusznikami kłopotliwymi, lecz zarazem niezbędnymi. Na przykład rozumieją Rosjan, choć nie podzielają ich modelu funkcjonowania społecznego.

Pułkownik patrzył na przełożonego z lekko otwartymi ustami,

— Może pan odejść — powiedział generał, a potem pochylił się nad fotografiami satelitarnymi.

Rozdział 4

Wśród zabudowań panował bezruch, za to niósł się śpiew. Biegł główną uliczką, sięgał na boki w wąskie zaułki, wpełzał w niewielkie przestrzenie między grupami chat, zastygał tam na chwilę i wracał, żeby dołączyć do głównego nurtu. Niczym aksamitny grot, wypuszczony z boskiej włóczni pędził dalej w miejsce, gdzie stał prastary dąb. Na szorstkiej korze ów grot rozbijał się, lecz nie zamieniał w odłamki, tylko długie jedwabne nici. Te zaś splatały się znów w kształt strzały, która podążała z powrotem do źródła dźwięku.

Ludzkie oczy tego nie mogły dostrzec, ale dąb dobrze wiedział, że rozbite cząstki dźwięku spaja znów w jedno istota znacznie starsza od niego. Czuł ją i znał doskonale. To było psotne i zarazem groźne Echo. Potrafiło być pomocne zbłąkanym ludziom, ale gdy mu się narazili, wodziło ich na manowce. Dąb wiedział za sprawą braci i sióstr drzew, że nawet do śmierci umiało doprowadzić. Sam nie pozwalał na takie rzeczy w swojej dziedzinie, ale też nie potępiał Echa. Przypuszczał, że miało swoje powody, aby to czynić.

Lecz dziś daleko było pradawnej istocie do szkodzenia komukolwiek. Wraz ze świętującymi radowało się, mogąc uczestniczyć w śpiewach na cześć pana lasów, pól, łąk i jezior. Samo nie posiadało własnego głosu, lecz jego zręczne palce ubogaciły dźwięki pieśni w nowe tony, zanim odesłało je z powrotem.

A na placu, położonym pośrodku leśnej osady, na dużej polanie, ludzie cieszyli się kolejnym dniem wielkiego święta na cześć boga, którego posąg stał pod wysokim zadaszeniem, wspartym ośmioma kolumnami, kierującymi się na wszystkie zasadnicze i pośrednie strony świata. Sam posąg był niezbyt duży, nieco tylko wyższy od najwyższego w grodzisku mężczyzny. Rzeźbiarz ledwie zaznaczył jego ręce i nogi, twarz wyciosał jakby z grubsza, choć znać było wielki talent w każdym wykonanym ruchu, w każdym rycie. Głęboko osadzone oczy w świetle wiecznego ognia połyskiwały łagodną czerwienią naturalnych rubinów osadzonych prosto w drewnie, a przywiezionych jako wotum przez pielgrzymów spod Jeleniej Góry. To nie były oczywiście krystalicznie czyste kamienie, jakie można zobaczyć w klejnotach koronnych, ale o wiele od nich piękniejsze, nieco mętne minerały, naturalnie również mające swoją cenę. Nad tymi oczami wznosiło się strome czoło, zwieńczone kępą dzikich zbóż, przeplecionych makami. Pod nimi królował wydatny nos, długi i szpiczasty, nadający całej fizjonomii dobrotliwego wyrazu. Lecz najwięcej uwagi artysta poświęcił uśmiechowi. Lekki, wręcz nieśmiały, a zarazem radosny, nie pozwalał nikomu przejść obojętnie. Wydawał się żyć własnym życiem, zupełnie jakby twórca tchnął w dzieło własną duszę.

I zapewne tak było.

Lecz i inne wytłumaczenie zdawało się niewykluczone — a mianowicie, ów fenomen został posągowi dodany nie przez rzeźbiarza, lecz samo zainteresowane bóstwo.

Oprócz wiecznego ognia, przed figurą stała również kadź z piwem. Podobne zostały rozmieszczone również wśród zgromadzonych, którzy śpiewali z głębi serc hymn, jakiego nauczył ich kapłan Bożan, który w poprzednim życiu parał się nauczaniem muzyki. Słowa do niego stworzył z kolei Bożyn, posiadający usposobienie rybałta i chętnie wymyślający historie.

Władco jeziornych toni
Przyjm obiadę z wdzięcznych ci rąk
Czci ci przyda, nie zaś uroni.
Wdzięczni za dobroć wśród łask
Innych, co nam nie bronisz
Przyjmij dar serc naszych i blask
Dla ciebie śpiew nasz, nasze pokłony.

Po tych słowach obecni skłonili się przed posągami, unieśli w górę gliniane dzbanki, po czym każdy pociągnął solidny łyk piwa. A potem hymn biegł dalej.

Kto z nas nie poznał już dziś
Łask, co z ciebie wciąż płyną?
Z nami bądź i do nas dziś przyjdź
Panie nasz nad piękną dziedziną.
Przy ogniu z nami więc siądź
Wysłuchać chciej opowieści
Sobie rad i nam także bądź
Niech moc twoja przy nas się mieści

I znów dzbany powędrowały w górę, ludzie zgodnie wypili. Wówczas wystąpił żerca Bożan, stanął przed posągami, twarzami do zgromadzonych.

— Drodzy moi! — przemówił. — Gościun, pan lasów, pól, łąk i jezior przystąpił dziś wraz z nami do obiadu. Czy wiecie, jakiej ofiary się po was spodziewa? Wiecie to?

— Wiemy! — odparł chór głosów.

— Czy wiecie, co najbardziej raduje pana naszego? Wiecie to?

— Wiemy!

— Powiedzcie zatem, co to jest! Mówcie!

Uniósł rękę, aby dać znak, kiedy chór głosów ma wypowiedzieć owo magiczne słowo:

— Mówcie! — zawołał jeszcze raz, opuszczając dłoń.

— Piwo!!! — odpowiedział tłum. — Piwo i miód!!!

— Piwo i miód! — powtórzył żerca, wyciągnął rękę w bok. Wówczas z prawej strony podszedł koncelebrant Bożyn z okazałą krużką. Zanurzył ją w kadzi przed posągami i podał Bożanowi.

— Dobrze, żeś się pośpieszył — mruknął. — Tam już niewiele zostało. Ma spust nasz Gościun.

Bożan nie odpowiedział, przywarł tylko ustami do dzbana i zaczął go osuszać. Na ten widok zgromadzeni również przyssali się do swoich naczyń, a ci którzy opróżnili je już przedtem, pobiegli czym prędzej uzupełnić zawartość w kadziach.

— Sobie weź — powiedział kapłan do koncelebranta.

Tamten zajrzał do kadzi przed posągami i pokręcił głową.

— Nie ma. Wypił do dna — w jego głosie brzmiał podziw. — Wezmę sobie z którejś stamtąd. — Wskazał w stronę zgromadzonych.

Tymczasem ludzie napili się i ktoś zawołał:

— Opowieść! Opowieść!

— Opowieść! — podjęli inni, wokół niego, a po chwili wołali już wszyscy: — Opowieść, opowieść!

Bożan uniósł ręce i krzyk ucichł.

— Kto ma dzisiaj opowiadać? Radosław czy żerca Bożyn?

— Dąb niech opowie! — krzyknęła jakaś niewiasta.

— Bożyn! — odpowiedziała zaraz druga. — Radek opowiadał poprzednio! Kolej na kapłana!

Przez chwilą panował hałas, obecni przekrzykiwali się nawzajem i zdawało się, że nie dojdą do porozumienia. Wtedy rozległ się potężny plusk. Był tak głośny, że przykrył sobą zgiełk.

Zapadła cisza, a w niej zabrzmiał bulgoczący, niski głos wodnika.

— Kapłan niech mówi. Przyjdę posłuchać.

Nikt nie zaprotestował. Wodnik Rybomił był niezmiernie rzadkim gościem na obrzędowych biesiadach. Zresztą, i tak nie było o co kruszyć kopii.

— Zatem Bożyn — rzekł Bożan. — Rozpalcie migiem ognisko!

Lecz polecenie wydał poniewczasie, bo ktoś już to uczynił. Po chwili stos drewna płonął wysokim, równym ogniem.

— Chodźmy!

Wierni podążyli za kapłanem, otoczyli kilkoma kręgami otoczone kamieniami palenisko. Każdy miał w dłoni dzban z piwem.

Bożyn zasiadł wewnątrz, pociągnął z podanej mu kruży. Spojrzał na wodnika, którego zielona skora lśniła w blasku ognia i wydawała się wręcz złota.

— Skoro przybył do nas tak miły gość, przedstawię wam pewną historię, która poniekąd wiąże się z jego wodnym królestwem, choć zdarzyła się daleko stąd.

Odchrząknął, poczekał aż zapadnie zupełna cisza, a potem zaczął snuć opowieść.

Trzygław i Topielica

W ciemnozielonym gąszczu pochyłonych i poskręcanych pni, gdzie ciężkie konary zwieszały się ku ziemi stanowiąc wygodne pomosty w drodze do słońca dla powojów i bluszczy, w oparach nawilgłych zapachem zbutwiałych roślin, przemieszanych z lekkim posmakiem mułu, przeświecało nieśmiało nieduże, ale przepaściste jezioro. Dookoła otoczone zdradliwym bagnem, za wyjątkiem jednego jedyne miejsce, gdzie brzeg był kamienisty, jakby został wybrukowany wielkimi, równymi otoczakami. Nad samą wodą wiły się wszędzie gałęzie drzew, nurzały się w niej nagie korzenie pijąc życiodajne soki wprost z toni. Słoneczne światło nabierało tu barwy soczyście zielonej, panowała cisza, przerywana jedynie odległymi odgłosami leśnego życia i bliskim pluskiem fal.

W tym uroczysku, zapomniany przez wszystkich, pochyłony na podobieństwo otaczających jezioro drzew, zaplątany we wszędobyłski bluszcz, stał posąg mądrego boga Trzygława. Od czterech przeszło stuleci twarze jego patrzyły na okolicę. Tyle że dawniej nie przesłaniały trzygławowych oczu liście, a ludzie często przychodzili pod posąg i do pobliskiego chramu, żeby odprawiać nabożeństwa. Jednak prawie sto lat wcześniej okoliczne ziemie wyludniły się, osadnicy wyruszyli szukać nowych krain. Odtąd o wiele częściej dane było Trzygławowi widzieć jak leśne duchy pomykają gdzieś w swoich tajemniczych sprawach, pozostawiając za sobą jedynie lekkie zmętnienie powietrza, obserwować cicho i szybko przemykające stworzenia leśne, które zachowywały się tak, jakby nie chciały zakłócać spokoju uroczyska. Nawet rozbójnik i postrach miejscowego lasu, buńczuczny olbrzymi borsuk nie obawiający się nawet niedźwiedzia, zapuściwszy się w pobliże posągu cichł i przechodził ostrożnie, czyniąc jak najmniej hałasu.

Trzygław patrzył na wszystko życzliwie i milczał napawając się ciszą i nieziemskim spokojem głuszy.

Jednak pewnego dnia rozwrzeszczały się i umknęły okoliczne ptaki, a spłoszone łanie mignęły między drzewami niczym rudawe błyskawice. Od zachodniej strony zbliżały się ciężkie kroki — tak przykry odgłos potrafi wydać tylko jedna istota — człowiek. W zapadłej ciszy wyraźnie rozlegał się chrzęst wysuszonej ściółki i trzask łamanych drobnych gałązek. Mężczyzna szedł pewnie i znać było, że podąża ku jakiemuś ważnemu celowi. Przez plecy przerzucił łuk, w ręku dzierżył szeroki miecz, którym od czasu do czasu ścinał zagradzające drogę gałęzie, u pasa dyndał mu topór o niewielkim, ale jadowitym żelźcu.

Wszedłszy na uroczysko zatrzymał się i rozejrzał ciekawie. Uderzył go niezwykle spokój tego miejsca i niespodziewanie zapragnął tutaj odpocząć, mimo wczesnej jeszcze pory. Wiedział, że musiał pobłądzić, gdyż poszedł dawno nie używaną i prawie niewidoczną pod wybujalą roślinnością ścieżką, ale urok otoczenia podziałał tak, iż miał wrażenie, że pragnął dotrzeć właśnie tutaj.

Skierował się ku połyskującemu w gęstwinie rozlewisku. Jego krok był teraz cichy i ostrożny. Obszedł dookoła jeziorko, starając się stąpać po suchej w miarę, ledwie widocznej ścieżynie, biegnącej w bagnistym gruncie. Kiedy doszedł do kamienistej części brzegu, przystanął zaskoczony. Zawahał się, zanim wstąpił na krągłe kamienie. Miał wrażenie, jakby stąpał po czerepach ludzkich czaszek, tak były gładkie i białe. Po chwili stanął na samej wodzie. Płatanina korzeni i gałęzi tworzyła urzekającą mozaikę w złotosrebrnej wodzie. Przykucał i zajrzał ciekawie w toń, zdawałoby się niezmierną już u samego brzegu. Przykuwała ona wzrok, więziła spojrzenie, tak jak potrafi to uczynić bezdenna przepaść, gdy człowiek wpatruje się zbyt długo w bezmiar przestrzeni. Pomyślał przelotnie, że w takim tajemniczym miejscu powinna go spotkać jakaś niezwykła przygoda.

Zlustrował czujnym spojrzeniem przeciwległy brzeg, nie dostrzegł tam jednak nic ciekawego lub niepokojącego, powrócił więc do obserwowania głębi.

Nagle drgnął i krzyknął cicho. W wodzie, tuż pod stopami, tam gdzie jeszcze przed chwilą przemknęła pozłocista płoć, ujrzał twarz pięknej dziewczyny. Oczy miała zamknięte i wyglądała jakby była pogrążona w głębokim śnie. Smukłe ciało spowijała powłóczysta biała szata. Musiała wypłynąć z toni w chwili, kiedy patrzył na drugi brzeg. Uczyniło mu się żal tak młodo zakończonego życia. Postanowił sprawić jej chociaż godny pochówek. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu utrzymać się na gładkich kamieniach, kiedy będzie wydobywał z wody ciało. Nie zauważył nic takiego — najbliższe gałęzie były zbyt daleko, a nie chciał odchodzić, żeby dziewczyna nie pogrążyła się znów w odmętach. Trudno, najwyżej przyjdzie się zamoczyć. Wszystko to nie trwało dłużej niż mgnienie oka, ale kiedy znowu spojrzął w wodę, piękna postać zniknęła. Toń znowu była w tym miejscu przejrzysta, srebrząca się rybem drobiazgiem.

Odskoczył jak oparzony. Cóż to za zakłęte miejsce? Patrząc uważnie w wodę cofał się, ostrożnie macając wokół rękami, zupełnie jak szukający drogi ślepiec.

— Kim jesteś, mój panie? — dobiegł nagle dźwięczny głos zza pleców.

Pytanie zabrzmiało tak niespodziewanie, że znowu podskoczył, czując jakby serce miało za chwilę wyrwać się z piersi.

— Strachliwy jesteś, chociaż woj z ciebie tęgi... — Głos był przyjemny, dość niski. Brzmiało w nim coś z lekka chrypiącego, zmatowiałego, jak to bywa czasem po długim śnie.

Powoli, starając się nie tracić z widoku kamienistego brzegu, ostrożnie odwrócił się w stronę mówiącej. Po raz trzeci poczuł dreszcz przerażenia — to była ta sama dziewczyna, którą przed chwilą widział w wodzie. Głośno przełknął ślinę, nim powiedział.

— Kimże jesteś? Senną marą jeno czy upiorem, co przyszedł odebrać mi duszę? Przecie przed chwilą byłaś tam... — Wskazał jeziorko.

Roześmiała się perliście, a jemu uczyniło się nieco lepiej, gdyż w śmiechu tym dosłyszał nie tylko drwinę, ale i jakąś beztroską radość, w której nie było nic mrocznego ani groźnego.

— Tak byłeś zapatrzony w topiel, żeś nie zauważył, jak nad tobą stanęłam. Widziałam, że gdy dostrzegłeś moje odbicie w wodzie, zmartwiałeś cały. Dlatego wycofałam się cichcem, by cię bardziej nie nastraszyć.

— Kiedy niewiasta w wodzie oczy miała cały czas zamknięte, a poza tym wyraźnie widziałem ją pod wodą, nie zaś jako ulotne odbicie na falach.

— Oko lepsze bajędy wymyślić potrafi niżli stare babki nad kądziałą. — Dziewczyna machnęła lekceważąco ręką. — I mnie się czasem zda po ciemku, że człek jakowys kryje się za drzewem, a to cienie tak się układają. Powiedz mi lepiej, jak twoje miano.

Zastanowił się przez chwilę. Można zdradzać swoje imię tak dziwnej niewieście? A jeśli to podła wiedźma? Ech, skarcił sam siebie w duchu, masz na piersiach inkluz zawieszony od uroku, czarów bać się nie musisz.

— Gniewomir — odparł.

— Gniewko — uśmiechnęła się. W jej ustach zabrzmiało to jak pieszczota. Woja przeszedł dreszcz. — A ród twój?

— Rodum się odrzekł — odparł twardo. — I nie pytaj, dlaczego, bo nie odpowiem.

— Jak chcesz. A mogę choć wiedzieć, dokąd podążasz?

— Druh mój, Krzesz, w popadł na wyprawie niewolę u dzikich Jaćwingów. Wykupić go zamierzyłem i dlatego na wschód zmierzam...

— Do Jaćwieży daleki jeszcze kawał świata. Nie lepiej byłoby ci konno?

Dziewczyna miała w sobie coś takiego, że zapomniał o świeżo przeżytym strachu. Przyjrzał się jej uważnie. Była piękna, ale nie jakąś zwykłą urodą. Bił z niej majestat i ciepło zarazem. Była... nie potrafił odnaleźć właściwych słów, zakręciło mu się w głowie.

— Nie byłoby ci lepiej konno? — powtórzyła.

Wstrząsnął się.

— Koniam sprzedał, jako i cały majątek, by na wykup starczyło.

— Szlachetny z ciebie człek i dobry przyjaciel — rzekła z podziwem — żeś się potrafił dóbr dla drugiego wyrzec.

— Dobra zgromadzić można — odparł — jeno druha przepadłego nie odzyskasz.

— Prawda to!

Przez chwilę trwali w milczeniu, zanim Gniewomir odważył się zapytać:

— A ty, pani, kim jesteś?

— Nie domyślasz się, woju? Topielicą — roześmiała się beztrosko.

Gniewko uśmiechnął się niepewnie, nie bardzo jej dowierzając, jednak na wszelki wypadek złożył palce przeciw urokowi. Zauważyła to i zaczęła się śmiać jeszcze głośniej.

— Nie pomogą ci babskie gusła, mój miły. Gdybym pragnęła twej śmierci, dawno już byś nie żył.

— Czego więc ode mnie chcesz?

— To jest uroczysko — powiedziała cicho, zataczając krąg ręką. — Sam chyba musiałeś dostrzec. Dawniej przychodzili tu ludzie czcić dobrego boga Trzygława, ale odkąd wynieśli się gdzieś daleko, popadł Trzygław w zapomnienie. Ja się nim teraz zajmuję miast zmarłego piętnaście roków temu kapłana.

Gniewko na wojennych wyprawach stykał się ze starymi wierzeniami, nie przypuszczał jednak, by tak blisko księżęcej siedziby, o kilkanaście dni drogi ledwie, mógł się zachować tak stary chram. W dodatku doglądany przez prawdziwą Topielicę. Pewnie ona i czarować potrafi. Przeszedł go nagle zimny dreszcz przerażenia

— Nie bój się — powiedziała łagodnie, jakby odgadując jego myśli. — Nie zamierzam na tobie żadnych zaklęć ani innych sztuk próbować. Trzygław nakazuje pozostawić w pokoju człowieka, co w życiu swym ku wielkiemu celowi zmierza, jak ty. Wpierw jestem jego służką, a potem dopiero duchem wodnym.

Odetchnął z ulgą, a ona ciągnęła dalej:

— Moje imię musi dla ciebie pozostać ukryte, dlatego nie pytaj o nie, tak jak ja nie będę pytać, dlaczego wyrzekłeś się rodu. Chcę cię ugościć, byś wypoczął i posilił się. Łaskę mi okażesz, jeśli zechcesz z gościny skorzystać. Mam tu nieduży dom opodal. Nie jest w nim może za bogato, ale dla nas wystarczy. Radość mi sprawisz gościnię przyjmując, rzadko bowiem tak postawnego i pięknego męża przychodzi mi oglądać.

Gniewko zaczerwienił się mocno i bąknął pod nosem jakąś układną a nieporadną zarazem odpowiedź.

— Tymczasem tu, nad brzegiem jeziora spożyjmy jakiś posiłek.

Mądry bóg Trzygław z zaciekawieniem i troską spoglądał w kierunku jeziora. Wszystkie jego twarze pokryły się cieniem rzucanym przez okoliczne drzewa tak, że wyglądały jakby zmierzchły w przeczuciu nieszczęścia. Widział jak Topielica wyczarowała stół z jadłem i napitkiem, a potem zielony namiot, do którego wraz z wojem weszli po posiłku.

Zaiste słodka musiała być gościna u kapłanki Trzygława, skoro Gniewomir trzeci już tydzień w niej przebywał, wcale nie zbierając się do odejścia. Tym było mu ciężiej podjąć myśl o dalszej wyprawie, że Topielica każdego dnia namawiała go do pozostania najśłodszymi słowy. Co wieczór zaś znikwała w jeziornej toni, by wynurzyć się przed północą, ponętna i świeża, jakby jej lat ubywało w kąpieli. Dobrze było wojowi. Dobrze i słodko.

Pewnego dnia jednak długo siedział na nadbrzeżnych kamieniach ważąc coś w sobie. Twarz miał zaciętą i ponurą, ciężkie widać nawiedziły go myśli.

— Trza mi w drogę — rzekł w końcu do siebie — bo mi tam Krzesza na nic w niewoli zmarnują.

Z kamieniem w sercu poszedł oznajmić postanowienie Topielicy.

— Na bogów! — zawołała w rozpacz. — Samą chcesz mnie zostawić? Ledwom na powrót nauczyła się sprawniej słowem posługiwać, ledwom przywykła ludzką twarz każdego ranka oglądać, a ty chcesz już mnie porzucić? Wiedz, że gdy raz odjedziesz, nigdy więcej tego miejsca nie znajdziesz... A ja ciebie zdążyłam polubić, pokochać nawet może... Zostań choć kilka dni.

Łała łyzy tak długo, aż w Gniewku zmiękło serce i zgodził się zostać jeszcze niedługo

czas. Tym łatwiej mu to przyszło, że sam wbrew sobie zaczął Topielicę darzyć nieokreślonym jeszcze w pełni, ale bardzo ciepłym uczuciem.

Trzygław patrzył na to wszystko i żal mu się uczyniło człowieka, który miotał się między rodzącą się miłością a poczuciem obowiązku i wiernością dla przyjaciela. Codziennie wieczorem, kiedy Topielica znikła w odmętach jeziora w swoich tajemniczych sprawach, Gniewomir siadał na krągłych kamieniach i ponuro wpatrywał się w wodę. Chętnie by pomógł mądry bóg wojowi w jego rozterkach, nic jednak nie czynił, nauczony doświadczeniem, że człowiek jedynie wtedy żyje naprawdę, gdy sam o sobie decyduje i sam potrafi przezwyciężyć trudności, a wszelka pomoc od sił wyższych powoduje, że staje się słaby i bezwolny.

Siedząc tak na brzegu starał sobie wyobrazić sobie Gniewko, że owe krągłe kamienie to ludzkie głowy, a Topielica przedstawia demona, który nad nimi władzę sprawuje. Jakoś to jednak nie potrafiło mu obrzydzić ani dziewczyny ani piękna świętego lasu.

Kilka dni wydłużyło się w kilka tygodni, nim znów gotów był stawić czoła przeznaczeniu.

— Ruszam w drogę — oznajmił.

Jednak i tym razem łzy Topielicy i jej błagania złamały wolę woja, zatrzymały go na miejscu. Zły był na siebie, jednak nie potrafił się oprzeć jej dziewczęcemu czarowi.

— Cóż znaczy tych kilka dni? — rzekła. — Wszak mamy pełnię lata, a o ile wiem, Jaćwingowie o tej porze bawią na wyprawach. Z kim chcesz paktować o uwolnienie Krzesza? Z babami, wyrostkami i starcami pozostałymi w domu?

Musiał przyznać jej rację. Zmitrężył tyle czasu, że w istocie kilka dni więcej nie czyniło różnicy.

— Sama ci powiem, gdy przyjdzie czas — obiecała Topielica. — Na jesieni jaćwiescy zbóje powracają będą z wypraw, łatwiej ci będzie nawet utargować okup, gdy przybędą syci zbójcejskiej sławy, zwycięstw i nowych łupów.

Znowu przyznał jej słuszość. Mądra była. Mądrzejsza niż wielu mężów, których znał w życiu. Zbyt mądra może...

Nadeszła jesień pogodna i ciepła. Topielica zapomnieć musiała o danym słowie, bo nie napomknęła nawet, że na woja czas.

— Trza mi w drogę — oznajmił wreszcie Gniewko — bo druha koniec końców nie znajdę, jeśli go w niewolę gdzie na Ruś albo i dalej zaprowadzą.

W głębi duszy czekał jednak, żeby Topielica zaczęła go błagać, by został. Miał nadzieję, że jak zwykle znajdzie jakiś powód, aby go przekonać, iż nie ma po co wybierać się w drogę. Nie zawiodła go.

— Wiosną dopiero niewolników wyprzedawać będą — rzekła — gdy im bogactwa zrabowane rozejdą się i wyciekną, a do nowych wypraw jeszcze zostanie sporo czasu. Wtedy, jak myślę, najtaniej Krzesza z niewoli wykupisz, gdy pójdiesz do nich i prosto z wodzem targować się będziesz. Lepiej mu wszak na miejscu niewolnika sprzedać niżli gdzie do Kijowa albo i dalej go wieźć...

Uchwycił się Gniewko jej słów, choć wiedział, że nie do końca są prawdą, bo jeżeli się Jaćwieży tegoroczne wyprawy nie powiodły, jeńcy dawno już powędrowali na targ. Niemniej, gdyby w istocie przywieźli bogate łupy, będzie tak, jak Topielica powiedziała.

— Z wiosną ruszę — postanowił.

Długie jesienne, a potem zimowe wieczory zbliżyły go do dziewczyny jeszcze bardziej niż pogodne dni ciepłej pory. Zastanawiał się nieraz, jak puste było jego życie, zanim zawędrował do tej leśnej głuszy.

Nadeszła wreszcie wyczekiwana przez całą przyrodę wiosna, a on jakoś nie zbierał się w drogę.

— Trza ci ruszać — usłyszał niespodziewanie pewnego cieplejszego dnia.

Jej słowa podziały niczym dotknięcie płonącej żagwi. Był tak zdziwiony, że zrazu nie pojął, co Topielica do niego mówi. Potrzęsął głową i popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, niczym dziecko skarcone za rzecz, której nie uczyniło.

— W drogę ci trza — powtórzyła widząc, że woj nie rozumie — bo tam twego Krzesza już pewnie myślą jakiemuś Grekowi sprzedać.

Wtedy serce się w Gniewku rozdarło.

— Nie pójdę! — zakrzyknął. — Kąt swój w życiu i radość przy tobie znalazłem i nie porzucę tego tak łatwo! Gdybym choć mógł tutaj potem powrócić, ale sama powiedziałaś, że jeśli odejdę, uroczyska tego nigdy już nie odnajdę!

Patrzył badawczo w jej twarz, szukając zaprzeczenia, łudząc się, że tak wtedy rzekła tylko po to, by go zatrzymać, ale Topielica skinęła głową.

— Musisz pójść — odparła smutno — toż to druh twój najlepszy! Jakże go w biedzie zostawisz?

— Ale nie chcę też zostawić ciebie teraz, gdy stałaś się moją duszą, źrenicą moich oczu, gdym cię umiłował nad życie.

— Ale przyjaciel...

— Przecz mnie odganasz?! — zawołał wzburzony. — Nie miłujesz mnie już?

— Miłuję — odpowiedziała, a jej oczy zalśniły dziwnym blaskiem. — Jeno Krzesz...

— Co mi tam Krzesz! — przerwał jej. — Nic mu koniec końców winien nie jestem! Ma swój ród, niech ten się o niego upomni. Tylko z tobą pragnę zostać, a on... A on niech przepadnie, gdy mi stoi na drodze do szczęścia!

Sam przeraził się tymi słowami, tym bardziej, że gdy je wypowiedział, poczuł jakby w gardle stanął mu bolesny kamień. Szczęki zacisnęły się z przeraźliwym chrzęstem i nie mógł już ich rozewrzeć. Działo się z nim coś dziwnego, od nóg ku górze zaczął go ogarniać przenikliwy chłód. Wlepił wzrok w Topielicę, która powiedziała cicho:

— Teraz już jesteś mój, gołąbku — jej głos nabrał nagle groźnych, syczących tonów. — Teraz ku odmętom mogę cię pociągnąć i ciało twe na żer rakom a rybom zostawić, jakoś ty druha swego na żer wrogom umyślił porzucić! Gdy nie masz już zamiaru wziąć przed się szlachetnej sprawy, spadła z twej osoby ochrona boga Trzygława. Nie może on już zabronić mi ciebie utopić!

Nim woj zdołał cokolwiek zdołać uczynić, porwała go z niezwykłą siłą i cisnęła w odmęty. Zamknęła się nad nim zielona woda, a ciało ogarnęła niesamowita słabość. Jeszcze przez chwilę patrzył tęsknie na krążek słońca przebijający się ku jego oczom przez coraz głębszą zieleń wody. Chwilę potem nieszczęśnikowi zabrakło tchu i ogarnęła go zupełna ciemność.

A mądry bóg Trzygław duszę Gniewka, nim zdołała się dobrze z ciała uwolnić, prędko przychwycił i silnymi dłońmi uformował w kamień, by dołączyć go do tych, którymi wybrukowany był brzeg.

Bo kto ważny i szlachetny cel porzuca, ten umiera bardziej, niż gdyby go w drodze ku owemu celowi życia pozbawiono, a dusza jego opaść musi kamieniem na ziemię, miast unieść się do nieba.

Czekają też w uroczysku nad brzegiem jeziora dusze w kamienie zaklęte. Czekają na przybycie wyzwoliciela. Trwają tak cierpliwie, jak tylko trwać potrafi skała.

A uwolni je ten, kto oparłszy się pokusom, podejmie swój trud, miast spocząć. Kto na tyle będzie miał mocy, by przełamać zniewalający czar Topielicy.

Czeka mądry Trzygław na śmiałka, który dusze uwolni, a jemu samemu pozwoli zarazem odejść w zapomnienie, jak i samemu o wszystkim zapomnieć. Czeką po dziś dzień, a być może będzie czekał po wieki...

*

Wikary Gołąbka ocknął się w ciemnościach. Poruszył się i jęknął. Wszystko go bolało, każdy mięsień, każde włókno. A największe dolegliwości odczuwał w lędźwiach.

W lędźwiach wraz z szeroko rozumianymi przyległościami.

Jednak najmocniej bolała go urażona godność, świadomość, że na wiele godzin stał się zabawką tej okropnej południcy. Okropnej? To też sprawiało mu ból. Bo przecież nie mógł oszukiwać sam siebie, twierdząc, jakoby nie czerpał z tego przyjemności. Dzikiej, zwierzęcej wręcz, niepohamowanej przyjemności. Dlatego właśnie potłukł sobie nie tylko pewne części ciała, ale przede wszystkim sumienie.

Bo mało tego, że stał się zabawką ducha zaklętego w pięknym ciele, ale okazał się zabawką posłuszną, a zarazem pełną inicjatywy. Wszak złamany przemocą i wiedziony sprowokowaną umiejętnie męską żądzą nie tylko spełniał jej życzenia, ale sam miał parę własnych. A kiedy sobie przypominał niektóre z brewerii, jakie wyprawiali, przeraził się.

Teraz czekało go piekło.

Z całą pewnością.

Piekło, a w nim szatani, szydzący z księdza, którego żelazne zasady w starciu z pokusami świata pogan okazały się gumowe wręcz, bo nawet nie gliniane.

Ramię mu zdrętwiało zupełnie. Spojrzał na nie i zobaczył drzemiącą smacznie południcę, która złożyła na nim głowę. W skradzionym słońcu świetle księżycy wyglądała wciąż tak samo zniewalająco, jak kilka godzin wcześniej.

Spróbował ostrożnie oswobodzić rękę, żeby ją rozmasować, ale wtedy południca obudziła się. Spojrzała na niego szmaragdowymi oczami, które w mroku wprawdzie nie były szmaragdowe, tylko szare, ale wciąż miały w sobie tę niesłychaną głębię, zaprawioną jakby lekkim smutkiem.

Także się poruszyła, musnęła jego nagie biodro swoim, a wikary zniecka poczuł nowy przypływ męskich sił.

Nie — nie potrafił się już opanować!

Zapragnął zawładnąć południcą, przygarnąć ją, aby znów osiągnąć wspaniały szczyt, lecz ona go odepchnęła, lekko, choć stanowczo.

— Musisz ugodzić — szepnęła.

Drgnął. Do tej pory nie powiedziała ani słowa, młody ksiądz był przekonany, że ta istota po prostu nie potrafi mówić.

— Nie chcę od ciebie odchodzić — rzekł, a kiedy wypowiedział te słowa, zrozumiał, iż są najszczerzą prawdą.

— Musisz iść — odparła stanowczo, porzucając szept. Głos miała dość niski, lekko

chrapliwy, lecz to go nie raziło. Przeciwnie, nadawało cudownej postaci jeszcze więcej magnetyzmu. — Nie możesz tu zostać. Nim nastanie północ, powinieneś dotrzeć w pobliże grodziska. Inaczej biada ci!

— Dlaczego biada? — zdumiał się. — Przecież dookoła jest tylko nocny las. Przywykłem, nieraz siedziałem do świtu w ostępach, kiedy całkiem mi obrzydli ludzie, a szczególnie proboszcz...

Znów chciał wziąć ją w objęcia, ale znowu go odepchnęła.

— Uchodź! Gdy minie północ, ze swoich komyszy wyłonią się dziwożony!

— Dziwożony? — Wikary potrząsnął głową. — A to co znowu?

Coś tam mu się z dawnych lat przypominało, jakieś starodawne bajania. Nigdy nie przywiązywał do takich rzeczy uwagi, od najmłodszych pragnąc zostać duchownym.

— Duchy leśne, pokrewne mnie — powiedziała niecierpliwie południca. — Nienawidzą mnie i moich sióstr za to, że nie wstydzimy się pokazywać w pełni dnia. One w świetle słońca są bodaj jeszcze brzydsze niż przy Księżycu.

— I co mi mogą zrobić? — spytał niepewnie Sebastian Gołąbka. — To samo, co ty? — przeraził się na myśl, że zawładnie nim jakaś paskudna baba.

— O nie, mój drogi — odparła piękność. — One uwielbiają dawać ból, nie rozkosz. A jeśli wyczują, żeś miał ze mną sprawę, a wyczują na pewno, bo węch mają iście wilczy, zostaniesz pozbawiony tego, co dziś tak dzielnie się spisało...

Wikary natychmiast zerwał się z ziemi.

— Muszę zatem iść do grodziska? — spytał w trwodze. Nie planował dzisiaj wchodzić między pogan.

— Wystarczy jak dojdiesz w pobliże pierwszych chałup. Dziwożony nie podchodzą blisko ludzkich siedzib. No chyba że któraś chce podrzucić swoje szpetne dziecko położnicy, a zabrać ludzkie. Ale to o zmierzchu lub nad ranem. I wówczas nie zważają na mężczyzn.

Książd oblizwał wyschnięte wargi. Czuł na nich jeszcze słodycz miłosnych zmagania. „Boże, bądź miłościw mnie, grzesznemu” — pomyślał.

— Dojdę tą drogą? — spytał.

— Dojdiesz każdą. Wszystkie prowadzą do chramu pana lasów, pól, łąk i jezior.

Przełknął ślinę. Może nagrzeszył dziś nad miarę, może nawet powinien zostać ukarany, a raczej sam się ukarać nie odchodząc stąd i czekając na straszne duchy. Jednak na myśl, co może się z nim wtedy stać, sumienie wycofało się głęboko, budząc tym gwałtownym ruchem instynkt przetrwania.

Już miał się zerwać do biegu, ale jeszcze spojrzął na kochankę.

— Jak masz na imię? — zapytał.

— Po co ci to, człowieku? — Południca uśmiechnęła się łagodnie. — Już się nie spotkamy.

— Powiedz, błagam, jak brzmi twoje imię? — nalegał.

Po chwili namysłu pochyliła się i szepnęła mu coś na ucho.

— Ale nie próbuj mnie szukać — upomniała go surowo — bo niczym dobrym się do dla ciebie nie skończy.

— Przemiła masz na imię? — Wikary podrapał się w głowę. — Dziwne. Ale całkiem ładne. Przemiła... Bardzo ładne!

— Aleś ty głupi! — Południca zaśmiała się chrypliwie, zmysłowo, a potem

spowaźniała nagle, popatrzyła na księdza surowo.

— Uchodź! — napomniała go. — Ale już! Czuję, że dziwożony zaczynają się budzić. Północ niedaleko, a ty musisz dotrzeć do swoich. I nie szukaj mnie! — powtórzyła.

— A ty gdzie teraz pójdziesz?

— A to już nie twoja rzecz.

I południca rozplynęła się w powietrzu.

Ksiądz przetarł oczy, lecz nie było mu dane zastanawiać się nad tym fenomenem. Po lesie bowiem przeleciał nagle potępieńczy jęk. Nie wilcze wycie, nie pohukiwanie sowy, ale jęk — ludzki i nieludzki zarazem.

Duchowny odczuł całym sobą, że faktycznie nie zostało mu wiele czasu. Popędził przed siebie, ale kiedy potknął się o korzenie raz i drugi, a potem rozciągnął się tłukąc boleśnie i staczając na dodatek w pokrzywy na poboczu duktu, zwolnił. Lepiej truchtać, pokonując pewnie drogę, niż gnać na oślep i rozbić się, ułatwiając zadanie pogańskim demonom.

Po kilku minutach tego truchtu poczuł nagle, jakby ktoś ukłuł go między łopatki. Wiedział, co to jest, podobne uczucie towarzyszyło mu, kiedy wyświęcał nawiedzony podobno dom po śmierci starej Koziny. Co tam podobno! Na pewno był nawiedzony, tylko powód tego zjawiska okazał się zupełnie niejasny. W każdym razie wyświęcenie nie pomogło, za to wikary przez cały czas, kiedy odprawiał obrządek czuł na plecach takie właśnie kłujące spojrzenie. O Kozinie i jej matce powiadano, iż parały się jakąś ludową magią. Spadkobiercy chcieli zrównać chałupsko z ziemią i postawić coś sensownego, jednak żadna ekipa budowlana nie była w stanie dokończyć pracy. Nawet rozpocząć nie była w stanie, zresztą. Maszyny przestawały pracować, narzędzia jeśli się nie psuły, to ginęły bez śladu, a pracownicy zamiast na placu budowy siedzieli w miejscowym sklepie upijając się na umór i na dodatek twierdzili, że jakieś głosy każą im tak postępować.

Później, ilekroć przechodził obok tego niszczonego domu, porzuconego przez najwytrwalszych nawet spadkobierców, za każdym razem miał to samo uczucie. Tyle tylko, że na wsi mógł to lekceważyć, nikt mu nie kazał wchodzić do nawiedzonego miejsca. A tutaj...

Wbrew rozsądkowi poderwał się do biegu, a poczucie, że śledzą go nieprzyjazne oczy nie ustępowało.

— Boże mój... — chciał się modlić, ale nie był w stanie wymówić odpowiednich słów, nawet w myślach.

Ruch po prawej stronie raczej wyczuł, niż dostrzegł. Instynktownie skoczył w lewo, a w powietrzu coś kłapnęło. Przysięgłby, że przez ułamek sekundy obserwowały go wielkie, sowe oczy.

— Nie! — krzyknął. — Nie! Zgiń, przepadnij!

Lecz zjawa nie zamierzała odejść. Znow coś kłapnęło, zupełnie jakby zacisnęły się szczęki metalowej pułapki. W tej chwili przypomniał sobie, co mówiła południca o zwyczajach dziwożon względem mężczyzn i ich męskości, i poczuł przyływ nieopisanej paniki.

Wyrwał do przodu, nie bacząc już na nic. Wiedział, że demon nie odpuści, że zechce go dopaść, a przede wszystkim niebawem pojawią się inne. A wtedy się nie wywinie...

I kiedy już zaczął tracić nadzieję, między drzewami ujrzał coś jakby poblask albo łunę. A potem doleciały do niego głosy, śpiewające niby w kościele. Wtedy panika zaczęła

nieco odchodzić, a pewność, że ktoś go ściga zamieniła się tylko w mętne podejrzenie. Również klucie między łopatkami osłabło.

Co powiedziała południca? Że wystarczy, aby znalazł się blisko siedzib ludzkich. Wyglądało na to, że go nie oszukała, bo w miarę jak zbliżał się do osiedla, potykając się i czepiając pni drzew, znaki obecności demona bladły, aż wreszcie zostały znikły zupełnie tyłu.

Wikary podszedł jeszcze bliżej, nasłuchując. W grodzisku najwyraźniej coś świętowano, bo zobaczył między zabudowaniami wielkie ognisko, a śpiew nie milkł. Kiedy zaś wreszcie ucichł, zamienił się w gwar głosów, przez które przebijał się radosny śmiech.

„Pogańskie gusta, pogańskie obrzędy i pewnie dalej będą się zabawiać po pogańsku, urządzać wszeteczne gonitwy!” — pomyślał ze złością wikary. I wtedy dopadła go przykra refleksja, że zapewne najbardziej nawet jurny rodzimowierca nie przeskoczy go w tym względzie. To, co przeżył z południcą, przekraczało pojmovanie.

I nagle zatęsknił za nią całym sobą, nie tylko sercem, ale najdrobniejszą komórką rozbudzonego tego dnia ciała. Ostrożnie przekradł się jak najbliżej domostw, ale nie wszedł między nie, znalazł kępę krzaków i przycupnął w niej. Opanowała go senność, głowa sama zwisała na piersi, przechylił się w bok, legł wreszcie na mchu. Zanim pogrążył się w objęciach Morfeusza, zdążył jeszcze mruknąć do siebie:

— Jutro ją odnajdę... Mój Przemiału...

*

— Satelita zmienił orbitę, panie generale! — oznajmił Sargens. Wyglądał na zakłopotanego i zafascynowanego jednocześnie.

Millins spojrział na kapitana ze zmarszczonym czołem.

— O czym pan mówi, chłopcze? — spytał powoli. Każde słowo ociekało jadem i obietnicą najgorszych tortur. — Zostały podane nieprawidłowe koordynaty?

Kapitan potrząsnął głową. Stał w pozycji prawie na baczność. Prawie, bo przełożony nie dał „spocznij”, a z drugiej strony trudno rozmawiać o podobnych sprawach będąc regulaminowo wyprężonym.

— Wszystko było jak należy. Trajektoria przelotu została wyznaczona precyzyjnie, silniki zapracowały. I przez całe osiemdziesiąt dziewięć minut pięćdziesiąt osiem sekund satelita leciał jak należy.

— Cholera, dopiero nad tym obszarem coś się stało? — domyślił się generał.

To był pomysł kapitana. Satelity szpiegowskie od lat fotografowały ten teren pod pewnym kątem i niejako „przy okazji”. Sargens zasugerował, żeby dokonać choć paru przelotów dokładnie nad podejrzanym rejonem. Nie ryzykowali kolizji z innymi obiektami, bo Rosjanie już dawno pozmieniali koordynaty w swoich satelitach szpiegowskich tak, aby śledziły bardziej newralgiczne tereny i chociaż pilnie strzegli także okolic Drezdenka, nie widzieli potrzeby, aby latać dokładnie nad swoimi starymi bazami. To zresztą też mogło stanowić zasłonę dymną, bo gdyby tam coś się działo, takie ich zachowanie sugerowałoby, że nic o tym nie wiedzą. Wywiad i kontrwywiad przypominały strukturą działań sieć szalonego pajaka. Niby wszystko się ze sobą wiązało, ale poszczególne nici nierzadko wiodły donikąd, okazywały się tylko maskowaniem, mającą przekonać miotającą się muchę, iż nic złego się nie dzieje. Albo wręcz przeciwnie — pod maskowaniem rzeczywiście nie kryła się pułapka, za to została zastawiona tuż obok.

— Pan wie, ile kosztowało przeprogramowanie tej maszynki? — spytał generał przez zęby.

— To najmniejszy problem, panie generale. — Młodszy oficer potrząsnął głową. — Ta drobna zmiana kursu jest zastanawiająca. Nie miała prawa się zdarzyć...

— Jak widać, nie skorzystała cholera jedna z możliwości, aby siedzieć cicho! — warknął generał. — Czy ta zmiana kursu będzie miała istotny wpływ na funkcjonowanie satelity?

— Na szczęście nie... — Generał odetchnął z ulgą, a Sargens mówił dalej: — Od razu kazałem przywrócić poprzednie nastawy, paliwa w silnikach manewrowych było dość, ale trzeba je będzie przy okazji uzupełnić.

— To dobrze, chłopcze, bardzo dobrze. Bo gdyby coś się stało, nasz przyjaciel pułkownik Ingles skorzystałby natychmiast z możliwości, żeby urwać moje stare, leniwe dupsko. I twój jędrny, choć mało służbisty zadek też.

— I tak zaraz poleciał do sekretarza obrony z donosem w tej całej sprawie. — Sargens wzruszył ramionami. — Jeśli wyjdzie na jaw wydarzenie z satelitą, a wyjdzie na pewno, możemy się spodziewać konsekwencji.

— Czyli albo odznaczeń, jeśli właśnie demaskujemy jakiś numer ruskich — mruknął Millins — albo przeniesienia do zapyziałej bazy na Alasce, jeśli właśnie robimy z siebie idiotów.

Sargens roześmiał się, choć bez wesołości.

— Coś mi się wydaje, że dostaniemy po krzyżach w obu przypadkach. Już Ingles się o to postara.

— Masz cholerną rację — zgodził się generał. — To wprawdzie beztalencie wojskowe, zwykły głupi trep, który szkoliłby rekrutów w koszarach i nie wyszedł poza stopień podporucznika, gdyby nie koneksje, ale w jednym trzema mu przyznać niezwykłą sprawność...

Przerwał, otworzył dolną szufladę biurka, po chwili na stole pojawiła się irlandzka whiskey. Trzydziestoletnia.

— W tamtej szafeczce na drugiej półce od góry znajdziesz kieliszki. — Millins wskazał solidny sejf w kącie. — Nie musisz znać szyfru. To zwykły mebel, tylko pozornie wygląda jak izraelska merkava.

— Kolejna fałszywa nić w sieci szalonego pajaka? — spytał kapitan. — Dla zmylenia przeciwnika?

— Gdzie tam! — Starszy z oficerów machnął ręką. — Miałem kiedyś taki kaprys. Trzymam w niej koszule, mundur galowy, mundur polowy i jakieś drobiazgi. Między innymi fotografię żony. Ale na nią nie patrz, bo będziesz miał potem niespokojne sny.

— Jest taka piękna? — z miejsca zainteresował się kapitan.

— Wręcz przeciwnie.

Kapitan otworzył szafę. Nawet z tak bliska mógłby się nabrać nie wiedząc, że to drewniany przedmiot. Ale teraz, gdy wiedział, dostrzegał drobne szczegóły, które świadczyły o tym, że sprzęt nigdy nie widział się z fabryką pancernych mebli.

Wyjął kieliszki, zerknął na półkę niżej, gdzie rzeczywiście leżała fotografia jakiejś kobiety. Może generał przesadził z tymi niespokojnymi snami, ale naprawdę niewiele. Sargens przestał się dziwić, że stary praktycznie nie wychodzi z roboty.

— No dobra — powiedział Millins, szczerze nalewając złocistego trunku do

kieliszków. — Teraz się napijemy i pomyślimy, co też się mogło wydarzyć, że satelita zmienił delikatnie orbitę. I jaki to ma związek z tym dziwnym doprawdy terenem.

*

Biskup Wyzimek przechadzał się po gabinecie. Było już późno, dochodziła druga w nocy, ale nie mógł zasnąć. Dręczyły go złe przeczucia. Teraz, kiedy na świecie panowała ciemność, wysłanie wikarego Gołąbki nie wydawało mu się już tak doskonałym pomysłem, jak jeszcze wczoraj.

Tym bardziej że ksiądz się nie zgłaszał przez cały dzień, chociaż miał się meldować co dwie godziny, zanim dotrze do siedziby neopogan. Wtedy powinien ukryć telefon satelitarny oraz torbę z dewocjonaliami i zdawać relacje co dwa, trzy dni.

— Może nic się nie stało, może to tylko zbieg niesprzyjających okoliczności? — mruzczał biskup.

Ale sam siebie nie umiał przekonać. Jednego był pewien — kto jak kto, ale Sebastian Gołąbka z całą pewnością nie da się zbałamucić rodzimowierczej propagandzie, nie ugnie duszy, choć musi nagiąć karku. Hierarcha nie potrafił sobie wyobrazić siły, która mogłaby zwieść wikarego z obranej drogi.

Przystanął przed dużym krzyżem na biurku, spojrzał na postać Chrystusa.

— Jeśli on nie wróci, jeśli się nie odezwie, przysięgam, że sam się tam wybiorę i mieczem duchowym wypalę zło! Choćbym miał skończyć jako męczennik!

Zagryzł dolną wargę. Miał wrażenie, że Ukrzyżowany patrzy na niego z pewną dozą sceptycyzmu. A nawet bardzo krytycznie wręcz i bez krztyny wiary w swojego sługę.

— A żebyś wiedział! — prawie krzyknął biskup Wyzimek. — Jeśli coś się z nim stało lub stanie, sam tam pójde! Możesz nie wierzyć, wszak znasz mnie lepiej niż ja sam i wiesz o wszelkich moich sprawkach. Lecz tym razem cię zaskoczę!

Nie przypuszczał nawet, jak bardzo ojcowskie uczucia żywi w stosunku do Sebastiana aż do chwili, kiedy go wysłał na tę misję. Co innego zesłać krnąbrnego ulubieńca do odległej parafii, żeby nabrał pokory, a inna rzecz kazać mu się narażać na realne niebezpieczeństwo, puszczać go na hazard, przy którym mógł stracić nie tylko życie, ale i zagubić duszę.

Stało się jednak.

Biskup westchnął. Jak powiada stare przysłowie, nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Kto decyduje się na kapłaństwo, powinien być gotów na poświęcenia.

Gotów na poświęcenia...

To zdanie odezwało się przykrym zgrzytem w głowie biskupa. Znów spojrzał na krucyfik.

— Nic nie mów! — zawołał histerycznie. — Nic nie musisz mówić! Tak, już żałuję niedawnej deklaracji! Podobnie jak żołnierz, który ślubował bronić twierdzy do ostatka, kiedy spodziewał się, iż nie będzie musiał udowodnić sobie, swoim towarzyszom oraz wrogom, że nie rzucał słów na wiatr!

Chrystus milczał. Hierarcha miał wrażenie, że odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na wstyd swojego sługi.

A Stanisław Wyzimek, biskup pomocniczy Jego Eminencji Księdza Kardynała wcale Mu się nie dziwił. Sam by tak uczynił...

*

— Panie generale... — Major Wazulin stał z dłonią przyciśniętą do daszka czapki,

czekając aż dowódca skończy czytać jakiś dokument.

— Siadajcie, majorze — mruknął Zagorodny, wskazując oficerowi krzesło naprzeciw biurka. — Rozumiem — rzucił w słuchawkę. — Tak jest, towarzyszu marszałku. Niezwłocznie zlecę, aby wszczęto odpowiednie procedury. Dosłownie za minutę mam rozmowę z przedstawicielem wydziału obserwacji satelitarnej. Tak, rozumiem. Oczywiście. Podejmiemy.

Generał odłożył słuchawkę, a potem spojrzął na majora ciężkim wzrokiem.

— I co pan powie, Siergieju Adamowiczu?

Wazulin odetchnął głęboko.

— Nic więcej, niż sformułowałem w raporcie, panie generale.

— Dobrze... — Iwan Borysowicz Zagorodny zamilkł na chwilę. — A poza raportem? — zapytał. — Bo coś mi się zdaje, że nie umieścił pan tam wszystkiego.

Major patrzył uważnie na przełożonego. Zastanawiał się, ile może powiedzieć.

— Wszystko — rzekł nagle generał, jakby czytał w jego myślach. — Powinieneś, a nawet musisz powiedzieć wszystko. Choćby to, co masz do powiedzenia wydawało się skrajnie nieprawdopodobne.

Wazulin znów odetchnął. Spodziewał się, że ta rozmowa będzie trudna, ale nie przypuszczał, że aż tak. Obawiał się, że jego domysły nie spodobają się wierchuszce.

— Panie generale...

— Glebie Jakimowiczu — poprawił go łagodnie przełożony. — Nie jesteśmy w sztabie generalnym, a celebry wojskową kocham równie mocno, jak pan.

— Zmylił mnie ten „towarzysz marszałek”.

— Katanin lubi, żeby się tak do niego zwracać. To świetny żołnierz, ale wierny wyznawca chwały Związku Radzieckiego. Chyba jeszcze do niego nie dotarło, że od wielu lat mamy ustrój prezydencki. Chociaż, czy jest jakaś różnica?

Wazulin nie wiedział, czy przełożony jest szczerzy, czy też chce go tylko sprowokować i sprawdzić.

— Skoro zapytał pan o sprawę z raportu — wrócił do tematu — to chwilowa zmiana orbity amerykańskiego satelity nie da się racjonalnie wytłumaczyć.

Widząc uniesione brwi generała, uściślił:

— Takie zjawisko nie powinno nastąpić, nawet w rejonie anomalii grawitacyjnej.

— Chce mi pan powiedzieć, że w zapyziałej Polsce pojawił się nowy Trójkąt Bermudzki? Tyle że nad stałym lądem? Bo taki obraz wyłania się z raportu.

Major pokręcił głową.

— Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć, co to za zjawisko, a nie bardzo możemy w tym rejonie przeprowadzać własne badania. Wie pan, co by było gdyby Polacy się dowiedzieli.

— Wiem. — Generał uczynił nieokreślony gest. — Ale nie o to chodzi. Z nimi nie musimy się specjalnie liczyć. Oczywiście jeśli nie zamierzamy ich militarnie atakować — dodał. — Bo wtedy zaczęłaby się jazda na całego. Jednak przy drobnych prztyczkach z naszej strony zachowują coś w rodzaju pogodnej równowagi. Nie na darmo nazywano Polskę najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym. Byle ich za bardzo nie wnerwiać, zniosą wiele.

Zamyślił się i uśmiechnął lekko do swoich wspomnień.

— Coś pan planuje? — zainteresował się Wazulin.

— Z Polakami? Nie. Poślemy w rejon jakichś obserwatorów, ale bez ostentacji.

Śpiochów i nielegalów mamy tam pod dostatkiem. Musimy się porozumieć za to z Amerykańcami. Ta sprawa z plamą na zdjęciach bardzo mnie niepokoi.

— Ma pan na myśli formalne, oficjalne kontakty? Zespoły robocze i takie tam?

— Nie rób sobie jaj, kapitanie — fuknął Zagorodny. — Chcę się skontaktować z ich analitykami. Wedle protokołu wspólnego numer... jak mu tam? Trzy łamane przez jeden.

Wazulin chrząknął znacząco.

— Glebie Jakimowiczu, obawiam się, że trzy łamane przez jeden dotyczy organizacji rozmów na tematy inwestycji informatycznych.

Generał zachował kamienną twarz.

— Tak jest. Rozmowy o inwestycjach. Dla ciebie, mój drogi. Bo dla mnie i mojego odpowiednika w DIA to trochę co innego.

Kapitan spojrzał bystro prosto w oczy przełożonego.

— Jak to było w „Diunie” Franka Herberta? Finty w fintach?

— Nie inaczej, kapitanie. Tylko dodałbym tu jeszcze ze trzy poziomy maskowania. A do rozmów wyznaczymy z każdej strony po jednej osobie. Niepotrzebne nam jałowe dyskusje i dzielenie włosa na czworo.

Rozdział 5

Wikary Gołąbka znów wił się na ziemi, tym razem jednak nie z rozkoszy ani strachu, ale walcząc z mocnymi dłońmi, które usiłowały go przytrzymać. Usiłowały to właściwe słowo, bo wykręcał się niczym wąż, syczał, a i kasać próbował na podobieństwo gada. Lecz prześladowcy nie bardzo przejmowali się jego kłapnięciami. Po prostu nie chcieli mu robić krzywdy.

— Puszczajcie! Nic wam nie zrobiłem! Puszczajcie, mówię! — wrzeszczał ksiądz, ale nikt go nie słuchał.

Wierzył więc i kopał na oślep, aż wreszcie jakaś niesamowita siła uniosła go w powietrze. Znalazł się twarzą w twarz z wielkim mężczyzną o brodatym obliczu, z szeroką blizną nad lewym okiem.

— No już, robaczku — powiedział olbrzym głębokim basem. — Uspokój się, bo w łeb wreszcie dam.

Wikary zmartwiał.

— Puśćcie. — Tym razem wyjęczał to błagalnie. — Muszę ją znaleźć. Muszę, inaczej oszaleję!

— Kogo chcesz znaleźć? — rozległ się z tyłu męski głos, tylko o ton wyższy od głosu osiłka. — Kowalu, kogo tam trzymasz?

— To ten, co się plątał wokół osiedla i po lasach, źerco Bożynie. Musi być jakiś szaleniec, bo wrzeszczy tylko, żeby go puścić i że kogoś szuka. Baby jakiejś z tego, co wyrozumieliśmy.

Kowal odwrócił się w stronę przybyłego. Wikary zobaczył młodego jeszcze człowieka w białej szacie i zacisnął szczęki. To musiał być któryś z kapłanów. I nie tylko wygląd mu to podpowiedział, wyczuwał w nim całym sobą pogańską konkurencję.

— Baby? — Bożyn przyjrzał się uważnie schwytanemu. — A ja myślałem, że to kolejny księżulo. Myliłem się?

Zlustrował uważnym spojrzeniem człowieka w podartej koszuli i szarych od kurzu spodniach.

— Dajcie mi jego torbę.

Wikary już nie tyle zmartwiał, co skamieniał. Zaraz, ale czego się obawiał? W torbie miał jakieś kanapki, pewnie już spleśniałe, termos z herbatą zrobioną przed wyjazdem i cukierki. A reszta...

Lecz człowiek nazwany Bożynem okazał się niesłuchanie przenikliwy. Bo wcale nie zamierzał przeglądać zawartości sporego chlebaka. Pierwsze, co zrobił, to pomacał klapę i tył. A potem zdecydowanym gestem rozerwał materiał. Na trawę upadły fiołki z wodą święconą i krzyżmem, różańce i krzyżyki.

Kapłan rodzimowierców pozbierał to wszystko, wrzucił do środkowej komory torby.

— Zatem jednak ksiądz — skonstatował. — Kto cię przysłał?

Wikary otworzył usta, żeby ostro odpowiedzieć, ale z jego ust zamiast ciętej riposty popłynęło błaganie:

— Muszę ją znaleźć! Błagam, muszę!

Bożyn zmrużył oczy, popatrzył na wikarego uważnie, a potem dał znak kowalowi,

żeby opuścił jeńca. Osilek wykonał polecenie, ale położył na ramieniu wikarego ciężką dłoń.

— Kogo chcesz znaleźć? — spytał żerca.

— No ją, Przemiałą!

— Przemiałą? — zdziwił się żerca. — O kim mówisz?

— O Przemielej!

— To już wiem. Ale dlaczego ona jest taka przemiała?

— Tak ma na imię, muszę ją znaleźć!

Kapłan pogan popatrzył na zgromadzonych bezradnie.

— Ktoś ma pojęcie, o czym ten nieborak gada?

— U nas nie ma żadnej niewiasty o takim imieniu ani zawołaniu — oznajmił stanowczym tonem Lubomysł, miejscowy piękniś i ulubieniec kobiet. — Gdyby była, pierwszy bym o niej wiedział.

— Jak widzisz, księże — zwrócił się do Gołąbki żerca — nie znajdziesz jej u nas...

— Wiem! Bo jej tu nie ma! Poznałem ją kilka dni temu na drodze... Może nawet więcej niż tydzień temu. I muszę ją odszukać.

Bożyn gwizdnął przez zęby.

— Taka to sprawa. — Potem zwrócił się do jednego z chłopców, którzy z ciekawością obserwowali zajście. — Leć po Bożana. On lepiej się wyznaje w tych sprawach.

Znów przyjrzał się uważnie wikaremu, przekrzywił lekko głowę, jakby miał dokonać wyceny wartości niewolnika. A w każdym razie tak się to nieprzyjemnie księdzu skojarzyło.

— Grubsza sprawa — mruknął żerca. — Nie dość, że ksiądz, to jeszcze... — Machnął ręką.

Po chwili przyszedł drugi kapłan, również odziany w biel.

— Nowy nabytek? — spytał, taksując wikarego niezbyt przychylnym spojrzeniem. — Mikry jakiś, złachany okrutnie trzeba go będzie odkarmić.

— To ksiądz — rzucił krótko Bożyn. — Ale trochę nietypowy.

— Nie rozumiem... — Bożan spojrział zaskoczony najpierw na drugiego żercę, potem na kowala, a wreszcie znów na wikarego.

— Coś mi się zdaje, że miał okoliczność z południcą. Ale nie mam pojęcia, którą.

— No, parę ich jest — mruknął Bożan. — Nie zdradziła mu imienia?

— Chyba nie, bo nazywa ją po prostu przemiałą. I twierdzi, że to właśnie jej imię. Znasz taką?

Bożan zmarszczył brwi, zamyślił się.

— Przemiała... Nie, na pewno nie mamy takiej w okolicy. Czy ten chuderlak to właśnie ów człowiek, który ostatnimi czasy biegał po lesie?

— Szukałem jej! — Sebastian wyrwał się kowalowi, runął na kolana przed kapłanem. — Jeśli możesz, pomóż mi ją znaleźć!

— Tak... A ja z początku mniemałem, że to może jaki perepłut ugania się za południcą, jak to się zdarza. Tyle że taki demon nudzi się po dniu, góra dwóch, a tylko taki jak ten pochutliwiec potrafi być równie wytrwały. A na dodatek ksiądz.

— Pomóż! — wyjęczał wikary.

Prosił wbrew sobie, bo kiedy otwierał usta miał ochotę przekląć tych obrzydłych

pogan, a zamiast tego wydobywał z siebie żalowaną prośbę.

— Przemiała... — powiedział Bożan i potrząsnął głową. — Nic mi to nie mówi. Chyba że jakaś nowa się pojawiła, ale to by już któryś z leszych doniósł. Oni wszak za nie odpowiadają.

— Przemiała, Przemiała! Takie mi podała imię! — mówił gorączkowo wikary.

— Milcz! — warknął Bożan. — Daj pomyśleć.

W innych okolicznościach Sebastian byłby zdumiony, że ci rodzimowiercy zamiast go natychmiast zamknąć w jakiejś klatce, rozmawiają z nim nie jak z więźniem, lecz zwykłym, zbłąkanym wędrowcem, ale teraz w głowie miał tylko jedno — pragnął ujrzeć wybrankę.

— Miała ta twoja Przemiała jakieś znaki szczególne? — spytał cicho, podchodząc bliżej do Sebastiana. — Znamię, dziwne oczy, coś w tym guście? ...

Wikary zmarszczył czoło, a po chwili krzyknął:

— Tak! Miała takie niewielkie znamię pod lewą piersią.

— W kształcie truskawki?

— Nie inaczej!

— W takim razie już chyba wiem. — Widząc zdziwione spojrzenie Bożyna, mruknął: — Nawet nie pytaj. — A głośno kontynuował: — To będzie zapewne Wszemiła. Nie Przemiała, źle usłyszałeś.

— Wszemiła? — powtórzył wikary, smakując nowe brzmienie imienia. — Wszemiła... Jak pięknie. To dlatego, że wszyscy ją miłują?

— Niezupełnie. — Bożyn skrzywił się. — A właściwie zupełnie nie dlatego.

— Naprawdę? A dlaczego? Od czegoż tak cudne imię?

— Zrozumiesz od czego, jak się zaczniesz drapać tu i ówdzie — burknął żerca. — A wtedy nie będzie się już wydawało to miano takie piękne.

Ale wikary nie zwracał uwagi na jego słowa. Był szczęśliwy. Najwyraźniej ci dobrzy ludzie znali jego kochankę, a to znaczyło, że pomogą ją odnaleźć.

— Gdzie ona jest? — spytał. — Muszę wiedzieć!

Żerca obrzucił go zamyślonym spojrzeniem, a potem skinął na kowala.

— Mszczuju, weź naszego gościa do balwierza. Trzeba go wygolić dokładnie i wszędzie.

— Głowę też? — uściślił osiłek.

— Głowę też na wszelki wypadek — potwierdził Bożan. — A potem do beczki z dziegiem go na cztery hymny. Następnie opłukać w jeziornej wodzie i znów do beczki, tym razem na sześć hymnów. To powinno pomóc.

— Co? — zawył wikary. — Ja chcę do Wszemiły!

— To południca, nie zechce cię — próbował mu tłumaczyć Bożyn, ale ksiądz nie zamierzał słuchać.

— Do niej chcę! A kto mi stanie na drodze, tego ubiję.

Bożan pokręcił głową i dał znak kowalowi. Mszczuj krótkim ruchem, zupełnie bez zamachu puknął wikarego w czubek głowy.

Wołanie natychmiast umilkło, a kowal podniósł z ziemi nieprzytomnego nieszczęśnika. Ludzie rozeszli się do swoich spraw.

— No i co tak patrzysz? — zirytował się Bożan, widząc, że drugi kapłan nie odrywa od niego spojrzenia, a na jego ustach igra złośliwy uśmiezek. — Zdarzyło mi się, to zbrodnia? I to jeszcze zanim to wszystko tak się na dobre porobiło. — Ogarnął szerokim

gestem otoczenie. — Myślałem wtedy, że to zwyczajna kobieta, tylko że o takim dziwnym imieniu...

*

Minister spraw wewnętrznych przechadzał się szybkim krokiem po gabinecie. Szef Departamentu Porządku Publicznego siedział na brzeжку fotela i wodził okiem za przelozonym.

— Musimy coś z tym zrobić! — Minister zatrzymał się przed nim. — To, że władze episkopatu się skarżą, to jeszcze nic. Ale ostatnio nad tamtym terenem spadł helikopter, wysłany w celu obserwacji! Nawet nie wiemy, dlaczego tak się stało, w dodatku zawiodła łączność, a czarne skrzynki nie wysyłają sygnału!

— Nie ma wiadomości od ekipy poszukiwawczej? Śmigłowiec musiał spaść zaraz po przekroczeniu tej granicy, o której mówili ludzie z obserwacji lotniczej. Nie może być daleko, więc skoro znamy jego ostatnią pozycję...

Minister przerwał mu niecierpliwym gestem.

— Nie o to chodzi! Wrak tam leży, rzeczywiście niedaleko od tej granicy. Widziałem zdjęcia. Wygląda jakby spadł nie dwa dni temu, ale z pięćset najmarniej! Skorodowany, zarastający zielenią ... W dodatku brak załogi. Ani krwi, ani ciał. Nic. Tylko ślady, jakby dookoła maszyny kręciło się całkiem sporo ludzi. Wydeptana trawa, chociaż roślinność na maszynie wygląda jakby się do niej dobierała od lat. No i w głąb lasu odchodzi niewyraźna ścieżka. Grupa poszukiwawcza ruszyła nią, jednak w pewnym momencie dotarła do drogi w środku lasu, a kawałek dalej było rozwidlenie. Nie odważyli się iść dalej.

Szef departamentu westchnął.

— Trzeba by to dokładnie zbadać. To w końcu może się okazać sprawa bezpieczeństwa państwa.

— Czyli co, kontaktujemy się z ministerstwem obrony narodowej? — spytał dostojnik państwowy. — Tak pan radzi?

— Coś trzeba zrobić. Poza tym, proszę pamiętać, że kościół naciska. Podobno w tych lasach mieszka jakaś wspólnota pogańska. Jak to ich nazywają? Rodzimowiercy.

— No, to już chyba jakaś bzdura. Pewnie bawiła się tam jakaś grupa rekonstrukcyjna, a biskupi z miejsca na alarm biją. Nie wiadomo nawet, czy jacyś ludzie w ogóle tam są, skoro ośrodek wypoczynkowy już nie działa.

— Są, panie ministrze. I to nawet bardzo są. Podobno kuria wysyłała tam swoich przedstawicieli i żaden nie wrócił.

— Zamordowani?! — Minister zmarszczył brwi. — W takim razie trzeba...

Teraz to podwładny przerwał mu machnięciem ręki.

— Nie ma dowodów na jakąkolwiek przemoc po tamtej stronie. Jeden z egzorcystów, który stamtąd wrócił twierdził, że wszyscy zostali dobrowolnie. Co więcej, sam wpadł w depresję, ponieważ nie może udać się znów do tego dziwnego lasu.

Minister potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Może to jakiś ich agent...

— Wątpię, panie ministrze. Bardzo wątpię. Został stamtąd wyrzucony. Nie bardzo chciał mówić, za co, ale z analizy wypowiedzi wyciągnęliśmy wnioski, że miało to związek z nieobyczajnym zachowaniem.

— Egzorcysta i nieobyczajne zachowanie? — zdumiał się szef resortu. — Ja

rozumiem jakiś wikary, proboszcz, nawet biskup. Ale egzorzysta?! Przecież to ludzie o żelaznych zasadach.

— A jednak te żelazne zasady nie przeszkodziły im przyłączyć się do tej pogańskiej grupy — zauważył minister.

— I to mnie właśnie w tej sprawie najbardziej niepokoi. Nie helikopter, nie to, że w samolotach na czas przebywania nad tym obszarem głupieją przyrządy. To można by wytłumaczyć ruskimi sztuczkami. Nie takie już przeżyliśmy, a tam były przecież ich instalacje wojskowe. Z Rosjanami nigdy nic nie wiadomo, a znając ich niesamowitą dbałość o infrastrukturę, nie dziwiłbym się, gdyby to, co zostawili i zabetonowali samo zaczęło robić jakieś cuda. Ale tu jest kwestia tych egzorzystów! Chyba że to właśnie Rosjanie uczynili coś, co zmieniło w jakiś sposób strukturę przestrzeni w tym rejonie. Niczego nie możemy wykluczyć.

— Cholera, trzeba w takim razie uruchomić najlepszych ludzi z wywiadu i kontrwywiadu. Niech złączą prześwietlać Rosjan. To sprawa priorytetowa i wyjątkowo nie będziemy żałować na nią pieniędzy. Nie lubię takich tajemnic!

*

Ledwie wikary Gołąbka został wypuszczony z drugiej kąpieli w beczce z dziegiem, w osiedlu zapanowało zamieszanie. Może niezbyt wielkie, ale jak najbardziej zauważalne. Kilku mężczyzn biegło truchtem w stronę placu. Wikary chciał w pierwszej chwili udać się za nimi, ale w czas przypomniał sobie, że jest nagi, a w dodatku wygląda jak Murzyn po tych zabiegach higienicznych. Wciąż nie rozumiał, dlaczego go im poddano. Może chodziło o coś w rodzaju odkażania? Może wszyscy przybysze musieli przez to przejść? Najważniejsze, żeby pomogli mu odszukać tę cudowną południcę, dla takiej idei zniesie wszystko!

— Łowca! — usłyszał nagle wyraźny okrzyk od strony placu. — Łowca!

W tej chwili zaroilo się w obejściach. Ludzie zaczęli już gremialnie śpieszyć w stronę placu. Wikary zapomniał o tym, że powinien wejść do jeziora splukać dziegieć, rozejrzał się dookoła. Na pobliskim płotku suszył się kawałek białej materii wielkości dużego ręcznika. Porwał go i owinał wokół bioder.

Na polanie, w której centrum stała świątynia tutejszego bożka zobaczył czterech roślących pogan, którzy stali nad skulonym na ziemi człowiekiem. Ludzie gromadzili się, z każdą chwilą ich przybywało. Nadeszli też dwaj kapłani, a woda przy pobliskim brzegu zakotłowała się i wynurzył się wodnik. Wykrzywił usta, czując promienie słońca, ale tylko zsunął na kark obrośnięty muszelkami i pokryty wodorostami kapelusz.

— Łowca? — zbulgotał. — To jeszcze jakiś się odważył?

— Paści stawiał! — powiedział jeden z pilnujących człowieka, który skulił się na ziemi w pozycji embrionalnej. — I to jakie paskudne! Pętle miał głównie na łanie i drobnicę, ale nawet wielkie sidła ukrył w krzaczach na naszego misia!

— No! — ryknął wodnik, a leżący skulił się jeszcze mocniej, choć wydawało się to przed chwilą niemożliwe. — To sobie nagrabiłeś, ośle jeden!

Wikary wzdrygnął się. Miejscowi posługiwali się dziwaczną mieszaniną archaicznego języka i najzupełniej nowoczesnej mowy. Ksiądz uznał to za odrobinę niepokojące. Jednak jeśli miał dzięki tym tutaj odnaleźć Wszemiłę...

Kapłan Bożyn podszedł do schwytanego, trącił go czubkiem łapcia sporządzonego z łyka, drewna i grubej kory. Konstrukcja bardziej przypominała wojskowy but niż kojarzyła

się z dawnymi czasy. Ale kto wie? Może przodkowie również tak się nosili? Jeśli to wygodne...

— No i co, łowco? Zachciało się polowania? — Kiedy człowiek się nie odzywał, znów go trącił. — Gadaj, bo inaczej od razu rzucimy cię Rybomiłowi, a on już ci dosłodzi! — Wskazał wodnika, który na te słowa uśmiechnął się tak szeroko, że omszałe, zielonkawe zęby stały się widoczne w całej okazałości.

— A wezmę go do siebie, z przyjemnością wezmę! Do pilnowania skrzeku żabiego go zatrudnię. Niech sobie popatrzy, jak życie się rodzi, a nie jak się je odbiera!

— Wy też przecież polujecie! — jęknął łowca, dźwigając się niepewnie na nogi. Widać było, że ci, którzy go schwytali nie żalowali razów. Spojrzał żałośnie na wnyki i sidła, leżące na kupie przed schodami prowadzącymi do świątyni. — Myślicie, że nie wiem? Polujecie! — zawołał oskarżycielsko.

— A polujemy — przyznał Bożan. — Na złe jelenie, co psują jeno samice daremnie, na wilka, co się rozżarł zanadto, nawet niedźwiedzia jednego własną ręką ubiłem, bo raz posmakowawszy ludzkiego mięsa zamienił się w krwiożerczą bestię zwaną miasunem. I nawet upolowane sztuki zjadamy. Lecz nikt tego nie czyni dla korzyści, na sprzedaż, jak ty! Dlatego musisz ponieść karę! Wedle praw naszego pana pól, lasów, łąk i jezior!

Sebastian Gołąbka z przerażeniem pomyślał, do czego mogą być zdolni tacy dzicy ludzie, hołdujący dawnym obyczajom.

— A może i ja z głodu to czynię? — pisała łowca.

— Z głodu misia chciałeś złapać?! — warknął Bożyn i kopnął w zadek więźnia.

Ten syknął i chwycił się oburącz za spostonowaną część ciała.

— A teraz stul twarz i słuchaj, co ma do powiedzenia ten żerca — przykazał mu Bożyn.

— Biorę was wszystkich na świadków — powiedział uroczyście Bożan — iż tego tu człeka na licu przyłapano, gdy zastawiał sidła w znacznej liczbie, co przeczy temu, by czynił do z prawdziwej potrzeby i głodu. Zresztą, w świętym lesie boga Gościuna nie ma on prawa tego czynić, co wszelką dyskusję czyni bezprzedmiotową. — Spojrzał na schwytanego. — Dotarło, głąbie?

Tamten zrazu najwyraźniej chciał zaprotestować, ale surowy wzrok kapłana sprawił, że tylko przełknął ślinę i skinął głową.

— No! — powiedział z zadowoleniem Bożan. — Zmądrzałeś, widzę. A zatem, abyś zadośćuczynił temu, co nagrzeszyłeś względem lasu i jego mieszkańców, pójdiesz na miesiąc i dwa tygodnie do terminu!

Wodnik zatarł błoniaste ręce. Właśnie brakowało mu kogoś do pilnowania rzeczonoego skrzeku, więc ucieszyła go taka perspektywa.

— Lecz nie do ciebie, Rybomile — rozczarował go Bożan. — Do skrzeku możesz wziąć lada kogo, a choćby i którąś boginkę czy perepłuta. A ten tutaj musi naprawdę poznać wartość życia i nauczyć się obchodzić z leśnymi stworzeniami. Dlatego pójdzie na termin do Duszka Szuwar!

W tej chwili od strony zarośniętej części brzegu doszedł cichy, pełen wyrzutu jęk.

— Weźmiesz go bez gadania, Duszku! — zawołał Bożan. — U wodnika jeno się ten człek zbiesi i trzeba będzie go na zawsze zostawić w toni. A pewnie gdzieś tam zostawił jaką babę i dzieciska...

— Tak, tak! — zapewnił gorliwie łowca. — Mam trójkę dzieci!

Bożan spojrział prosząco na Bożyna, a ten drugi pacnął więźnia w potylicę. Pozornie nawet nie mocno, ale na uderzonym zrobiło to wielkie wrażenie.

— Już ci mówiono, żebyś trzymał pysk zawarty — napomniał drugi żerca. — Jeszcze raz się odezwiesz niepytany, a faktycznie Rybomił cię weźmie.

Łowca powiódł błagalnym wzrokiem po zgromadzonych, lecz napotykał tylko surowe spojrzenia. Kiedy jego oczy spoczęły na wikarym, aż podskoczył i cofnął się o krok, jakby chcąc się schować za tymi, którzy go złapali, ale oni wypchnęli go do przodu.

Dopiero po chwili do Gołąbki doszło, że jak nic został uznany za jakiegoś leśnego stwora ze skórą ciemną od dziegciu na całkiem bezwłosym teraz ciele.

— Zatem postanowione — rzekł Bożan. — Wieczorem staniesz przy największym gąszczu szuwar, łowco, a Duszek weźmie cię do siebie. Moi drodzy, możecie się rozejść! — zawołał do zgromadzonych.

— A może jakąś opowieść? — zawołał ktoś. — Skorośmy już się zgromadzili tutaj w takiej liczbie, szkoda tak się na pusto rozstawać!

— Tak, opowieść! — podjęli inni. — Ale taką, co i dzieci mogą posłuchać, niech i one przyjdą!

Kapłani spojrzeli na siebie, Bożyn wzruszył ramionami.

— Chyba twoja kolej, co? — mruknął cicho.

Bożan westchnął.

— Niech i tak będzie. Wołajcie dziatwę!

Patrzył z uśmiechem na ludzi. Jedni już rozsiadali się gdzie kto stał, inni pobiegli po pociechy. Wzrok żercy padł na wikarego, który stał z boku, niepewny.

— A ciebie by trzeba chyba wykapać, przyjacielu, co? Chociaż... — zastanowił się. — A pochodź tak jeszcze, nie zaszkodzi ci, potem się umyjesz. Hej! — zawołał. — A niech mu tam kto przyniesie jaką derę, jeno cienką, bo gorąco. Niechaj nie świeci przy dzieciach nagością! Podejdz no bliżej, bo może ci się spodobać moja opowieść, skoroś był księdzem.

Gołąbka zbliżył się posłusznie, a wtedy rozległ się nagle wściekły kobiecy głos.

— Och, ty huncwocie! Coś ty na siebie założył? Toż to moja zapaska poranna, com ją świeżo uprała!

Bożan spojrział z powątpiewaniem.

— Zaś tam wiesz, czy twoja, Pękosławko — rzekł. — Kawalek tkaniny i tyła.

— Moja, moja! — krzyknęła kobieta. — Poznaję! Poza tym, zawsze wyszywam gwiazdkę w rogu, o tutaj...

Niespodziewanie podbiegła, sięgnęła i zdarła z wikarego materiał.

— O, jest, sami zobaczcie, żerco...

Chciała podetknąć materiał przed oczy Bożanowi, ale ten odgonił się od niej jak od natrętej muchy.

— Co mi tutaj będziesz jego smrody pod nos wpychać.

Tymczasem zupełnie zaskoczony wikary stał przez chwilę bez ruchu, zanim osłonił się wreszcie dłońmi. Dookoła niego rozległ się śmiech.

— A to nam się nagus trafił, patrzajcie!

— Powiedzcie kumie, czy on z tym tam, co ma ninie pod palcami uganiał się za południcą? A to nie miała z niego wielkiej uciechy nieboraczka!

— Jak to się trzęsie, niby osika...

— Cisza! — huknął Bożyn. Siłą posadził więźnia na ziemi więźnia. — Pękawka, oddaj mu już tę zapaskę. Drugi raz sobie upierzesz, i tak ją miał już na tyłku. Widzisz? Dzieci się schodzą. O, Kruty, masz derę, okryj nią tego biedronia! I siadajcie już, bo do wieczora Bożan nie zacznie!

Powoli zapanował spokój, choć tu i ówdzie rozlegały się jeszcze śmiechy. Lecz i one ucichły, kiedy kapłan zaczął.

Myśliwy i Leszy

Świt skradał się cichaczem, na razie jeszcze nie płosząc znużonej długim czuwaniem zimowej nocy, ale już zaznaczając swoje nadejście lekką poświatą na wschodnim skłonie nieba. W tym pierwszym nieśmiałym poblasku srogi mróz stężał jeszcze bardziej, jakby chciał przytrzymać w lodowatych szponach błękitne światła gwiazd.

Przebywając w głębi lasu o tej przedrannej godzinie nikt by nie przypuszczał, że gdzieś tam na polach zaczyna szarzeć, a śnieg niebawem roziskrzą pierwsze promienie słońca. Jednak leśne zwierzęta wiedziały swoje — wiedziały, że już niebawem nastanie dzień.

O takiej właśnie porze, kiedy nocne drapieżniki szukają bezpiecznej komyszy, a wstające o poranku stworzenia nie otrząsnęły się jeszcze z ostatnich snów, rozległ się suchy trzask i przeciągły jęk bólu.

Zaniepokojona i zawsze ciekawska sowa spłynęła bezgłośnie nad ziemię, by przyjrzeć się z bliska temu, co zaszło. Jej oczom ukazał się widok przerażający. W zastawionej przez myśliwego pułapce szamotał się młody jelen, czterolatek z poroża sądząc. Noga nieszczęśnika uwięziona była w pętli, która zaciskała się tym mocniej, im usilniej zwierzę starało się uwolnić.

— Uhu! — odezwała się sowa. — Biedaku! Pomogłabym ci, gdybym miała ręce zamiast pierzastych skrzydeł. Uhu! Ale tobie już, mój miły, nikt nie może pomóc!

Spojrzały na nią wielkie, pełne bólu oczy. W narastającym z każdą chwilą bladym świetle poranka zaśniły łzy.

Gdzieś obok przemknął spłoszony dzik, zaraz za nim podążył ogromny wilk. Zatrzymał się, przyjrzał uważnie uwięzionemu w potrzasku nieborakowi.

— Ma rację sowa — warknął. — Już ci nikt nie zdoła pomóc. Tym bardziej, że słyszę ciężkie kroki i dolatuje mnie groźny zapach. To człowiek nadchodzi! Bywaj, jeleniu! Gdyby dano ci jeszcze pożyć, może kiedyś to ja właśnie bym na ciebie zapolował, może padłbyś ofiarą moją, a nie myśliwego. Ale przyszła dziś na ciebie bieda, więc bywaj! Szkoda mi ciebie...

Pomknął szybko jak strzała zostawiając za sobą w kopnym śniegu głęboki trop. Teraz i jelen dosłyszał kroki, o których mówił wilk. Szarpnął się po raz ostatni, próbując uwolnić nogę z pętli, a potem legł w miękkim puchu, przygotowując się na spotkanie z największym wrogiem leśnego stworzenia. Z myśliwym.

Jaworek szedł czujnie, rozglądając się uważnie na boki. Był człowiekiem odważnym, wiedział jednak, że nad ranem w lesie może czaić się niebezpieczeństwo znane i nieznanne. Nie było mu straszne dzicze stado czy nawet wilcza wataha, wiedział jak postępować w razie takiego zagrożenia. Bał się tylko dwóch rzeczy — leśnych duchów, nieprzychylnie

patrzących na uprawiających myśliwskie rzemiosło, oraz starego niedźwiedzia, który potrafił zacząć się gdzieś w krzakach czy pod śniegiem, by porwać nieostrożnego intruza, który ośmieli się nawiedzić jego dziedzinę. Cuda o nim opowiadali myśliwi. Jaworek nigdy go na własne oczy nie widział, ale też i nie pragnął zobaczyć. Jakoś nie miał ochoty przekonać się, na ile prawdziwe były opowieści.

Obszedł to tej pory większość zastawionych wnyków i był zadowolony z łupu. Sarna, kilka zajęcy i dwie piękne kuny to naprawdę sporo. A teraz serce zabiło mu mocniej. Już z dala dostrzegł, że w zastawione przy wilczym szlaku sidła musiało wpaść jakieś większe zwierzę. „Może łania, albo i jelonek”, pomyślał z nadzieją. Przydałaby się większa sztuka, bo to i chwała dla łowcy, i brzęcząca monetę można za skórę od kupca uzyskać.

Gdy ujrzał jelenia, klepnął się po bokach z radości. Widząc go, uwięzione zwierzę powstało na drżące z bólu i wysiłku nogi, a na Jaworka spojrzały pełne cierpienia i strachu oczy. Myśliwy mocniej ujął łuk. Nie zamierzał podchodzić bliżej. Jeleń potrafi być groźnym przeciwnikiem. Trzeba go powalić jednym strzałem w serce, tak żeby nie zepsuć skóry. Założył strzałę, dociągnął cięciwę do policzka, wymierzył dokładnie...

— Zaczekaj — rozległ się niespodziewanie jakiś głos. — Zanim strzelisz, zaczekaj.

Jaworek podskoczył przestraszony, powiódł gotowym do strzału łukiem dookoła. Nikogo nie dostrzegł.

— Nie wierć się tak i nie rozglądaj — powiedział znowu głos. — To ja mówię.

Myśliwy spojrzał z niedowierzaniem na jelenia. Zwierzę patrzyło na niego teraz już spokojnym, a nawet chłodnym wzrokiem.

— Tak, to ja. Ten, który tkwi w twoim potrzasku!

Jaworek w tej chwili najchętniej by uciekł, gdyby nie to, że w domu czekała na niego Pękawka, która będzie wściekła, jeżeli znowu jej powie, że nic nie będzie z upragnionych koralów, bo nie upolował lepszego zwierza. A za skórę i poroże tego byczka dostanie tyle, że kupi i korale, i trochę soli, i może nawet nowe żelaza na bobry... Nie zamierzał łatwo rezygnować z łupu. Namacał długi nóż przy boku.

— Nawet o tym nie myśl, Jaworek — głos nabrał nieprzyjemnych tonów.

— Skąd znasz moje imię? — zdumiał się myśliwy. — Czyżby było głośne wśród leśnych stworzeń?

— Nie bądź zarozumiały, człowieku. Ja po prostu ciebie znam! I to znam bardzo dobrze.

— Skąd? — Jaworek był tak zdziwiony, że zapomniał i o strachu, i o chęci zdjęcia skóry z jelenia. — Skąd ty mnie możesz znać, zwierzaku?

— Zwierzaku?! — oburzył się jeleń. — Zaraz ci pokażę, jaki ze mnie zwierzak!

Kształt jelenia zaczął się rozmywać w powietrzu. Jaworek, myśląc, że coś mu się dzieje z oczami, przetarł je mocno. Kiedy odjął dłonie od twarzy i spojrzał, o mało nie zemdlął z przerażenia. Na miejscu pięknego byczka stał ryś. Ale nie był to zwykły leśny drapieżnik, tylko wielki futrzany kłęb najeżony zębami, ze trzy razy większy od zwykłego rysia. Patrzył groźnymi, błyszczącymi oczami prosto w źrenice myśliwego. Pętla pułapki bezsilnie zwisała się wokół potężnej łapy, przegryziona jednym kłapnięciem mlecznobiałych kłów.

— Leszy... — wyszeptał przerażony Jaworek. — Leszy...

Miał ochotę rzucić się od ucieczki, lecz powstrzymała go przed tym świadomość, że leśny demon dogoni go w mgnieniu oka, a poza tym — uczciwie mówiąc — zmartwił z

przerażenia tak gruntownie, iż nie mógł poruszyć nawet małym palcem, a co dopiero uczynić kroku.

— A Leszy, Leszy — z gardła rysia dobył się niski pomruk. — Cóżes taki zdziwiony, Jaworek? Nie wiedziałeś, że Wodnika w wodzie, a Leszego w lesie można napotkać?

— Myślałem, że to babskie gadanie... Bajdy tylko.

— Teraz więc widzisz, że to prawda, mój drogi!

— Ale powiedz, skąd znasz moje imię?

— Z dawnych czasów, człowieku, z dawnych czasów...

Myśliwy poczuł, że mimo przenikliwego mrozu koszula lepi się pod kożuchem do ciała. Odczuwał coraz większy strach. Gadający jeleń to jedno — jaki by nie był, zawsze to tylko jeleń. Ale Leszy... O! To już poważna sprawa! I to leszy, który twierdzi, że go zna!

— Z jakich dawnych czasów? — wyszeptał pobladłymi wargami.

— A nie pamiętasz, z kim chodziłeś każdej zimy na bobry pod Osiek? A nie pamiętasz, kto robił najlepsze paści na wilka? A kto ci życie uratował gdyś jak kto głupi polazł z samym oszczepem na wściekłego odyńca, bo ci się w młodym wówczas łbie coś uroiło? Nie pamiętasz?

Jaworek potrząsnął głową, przyjrzał się uważnie wielkiemu rysiovi. Miał w wyrazie pyska coś dziwnie znajomego, jakby dobrze znany krzywy uśmieszek... Czy to możliwe?

— Tyś to, Mirku? Czy to możliwe?! W takiej postaci? Powiadali, że cię stary niedźwiedź poszarpał na śmierć i gdzieś w głuszę uniósł... Nie, to nie możesz być ty! To niemożliwe!

Leszy zamruczał przeciągle. Pomruk był bardzo niski i tak silny, że otrząsnęło się ze śniegu drzewo, pod którym spoczywała jego olbrzymia postać. Myśliwy zadrzał zupełnie jak przed chwilą gałęzie i poczuł nieprzyjemny chłód pełnący ku sercu. Mirek czy nie Mirek, ale stwór, który przed nim stał to był jednak Leszy. Straszliwy Leszy, o którym nawet we własnej chacie wspominać nie było bezpiecznie, a cóż dopiero napotkać go na swej drodze w środku lasu. A wielki ryś odpowiedział spokojnie:

— Wszystko jest możliwe, mój Jaworku. Nie mieli racji ci, którzy mówili, że mnie niedźwiedź porwał i zjadł. O nie, mój drogi, prawda jest zupełnie inna. Pamiętasz jak chętnie zastawiałem wnyki, sidła, a szczególnie żelaza na różnego zwierza? Pewnie, że pamiętasz. Potem, już w tej postaci, dowiedziałem się, że mam wśród leśnych stworzeń zawołanie Żniwiarz, gdyż tak wiele ich padało moją ofiarą jak kłosów zboża pod cięciami sierpa. Pamiętasz, ile potrafiłem skór i mięsa z jednego polowania przynieść?

Jaworek pokiwał głową. Pewnie, że pamiętał. Wszyscy zazdrościli Mirkowi biegłości i szczęścia łowieckiego. Raz na wiele lat rodzi się taki mistrz.

— A mnie wciąż było mało i mało — ciągnął Leszy. — Chciałem mieć wciąż więcej. Żelaza bez ustanku kładłem i wnyki pętlilem wszędzie, gdzie tylko dojrzałem trop jakiejś cenniejszej zwierzyny. Chciwy byłem. Nie tylko chciwy, ale i okrutny, co zresztą nader często idzie w parze... Może i nie bardziej się różniłem w tym od innych, tyle że los mi bardziej na łowach sprzyjał. Dość, że jednego dnia, gdym skórę zdejmowałem z dorodnego borsuka, napotkałem w lesie przedziwną postać. Ni to z drewna, ni to z mchu, a przysiągłbym, że i z mgły była ulepiona. Złakłem się wtedy bardziej jeszcze niż ty teraz, bo pomyślałem, że to sam Zły po mnie przyszedł.

Zamilkł, a Jaworek z otwartymi ustami czekał, co dawny przyjaciel powie dalej. Dopiero po dłuższej chwili Leszy podjął opowieść:

— Nie był to jednak Zły... Rzekłbym nawet, że przeciwnie. „Złe czynisz, powiada do mnie owa postać, tak źle, że gorzej trudno. Nie wystarczy ci, człowieku, że las cię żywi i ubiera? Dlaczego zabijasz w okrutny sposób więcej istot, niż potrzeba? Czy brakuje ci mięsa do jedzenia lub skór do przyodziania?”. Co byś mu odpowiedział, Jaworek, będąc na moim miejscu? No powiedz?

— Bo ja wiem? — Myśliwy wzruszył ramionami. — Przecież wszyscy tak robią. Każdy chce mieć jak najwięcej. Wcale to nie jest dziwne.

— Tak i ja odrzekłem. Głos mi się trząsał i dłonie latały, ale jakoś z siebie słowa wydobyłem. A wiesz, co on mi odpowiedział? „Ty, Mirosławie, rzekł, nie patrz na innych. Ty patrz na siebie, byś dobrze żył i krzywdy nikomu nie czynił!”. Tak mi powiedział... A we mnie jakby bies wstąpił. Śmiać się zacząłem z jego słów. On patrzył na mnie, a wzrok miał łagodny, bez śladu złości...

— Kto to był? — przerwał Leszemu Jaworek. — Kim był ten stwór?

— Nie domyślasz się? To był pan naszych lasów, pól, łąk i jezior, sam Gościun. Śmiałem się, bo kto to słyszał, żeby człowiek nie chciał mieć więcej niż ma. I to mu rzuciłem w oczy. A on tylko uśmiechnął się smutno i mówi „Widzę, że trzeba cię będzie sporo nauczyć i należycie ukarać, choć bardzo tego nie chcę”. Zaraz mi ochota przeszła do śmiechu. „W Leszego cię przemienię, oznajmił, i w tej postaci będziesz żył tak długo, aż pięciu przynajmniej ludzi nie zawrócisz na dobrą drogę. Gdy to się stanie, pozwolę ci wrócić do ludzkiej postaci”. I właśnie tak zostałem Leszym, mój Jaworku.

— Ale czego chcesz ode mnie? — Myśliwy potrząsnął głową, jakby chciał się przebudzić ze złego snu..

— Nie domyślasz się? Naprawdę? Dobrze, powiem ci. Wiem, że masz tam w torbie łup spory i wiem, że młodą sarenkę na skraju lasu ukryłeś pod gałęziami. Nie wystarczy to wszystko na jeden łów? Ale tobie było mało. Ty chciałeś ubić też i jelenia. Pięknego byczka, pełnego radości i życia, który mógłby jeszcze długo hasać po lasach, mieć wspaniałe potomstwo. Chciałeś go zabić, bo człowiek to istota, która zawsze pragnie mieć więcej niż potrzebuje. I tego chcę od ciebie — żebyś zrozumiał to, co ja zrozumiałem. Bierz tyle, ile ci potrzeba. Nikt ci polować przecież nie broni. Ale nie zastawiaj wnyków na każdej zwierzęcej ścieżce. Czy ty wiesz, jak boli, kiedy żelazo albo pętla zaciśnie się na łapie? Nie wiesz, bo i skąd. A ja ci powiadam, że ból jest okropny i trudno go z czymkolwiek porównać. Nie ma bowiem okrutniejszego łowcy, niż człowiek.

Jednak Jaworek od dłuższej chwili nie bardzo słuchał tego, co mówił do niego Leszy. Nurtowała go pewna myśl.

— A czy ty... — zaczął niepewnie. — Czy ty mnie zabijesz?

— Gdybym chciał to zrobić, już dawno byś nie żył. Słyszałeś przecież, zacznij myśleć, człowieku! Mam przynajmniej pięciu myśliwych przekonać, żeby nie zabijali bez potrzeby, z samej tylko chęci wzbogacenia się. Puszczę cię wolno, tym bardziej, że Gościun wyraźnie zabronił mi samemu wymierzać sprawiedliwość.

— A jeśli tego nie uczynię? Jeśli cię nie posłucham?

— Nie wiem, Jaworku. Może spotka cię kara od leśnych stworzeń lub duchów, a może nie... To już nie moja sprawa. Może być i tak, że do końca twoich dni będzie ci sprzyjać szczęście. Ale jeśli jesteś dobrym człowiekiem, zastanów się chociaż przez chwilę. Potrzebne ci te wszystkie zwierzęta, które upolujesz? Nie chcesz zbyt dużo? Nie zdarza ci się wyrzucać nadmiaru mięsiwa albo skór, które uznasz za lichsze?

— Ale wszyscy tak robią...

— Jaworek! — zagrzemiał Leszy. — Ty nie patrz, co robią inni! Ty patrz na siebie i siebie samego zapytaj!

Myśliwy zamyślił się. W ogóle nie czuł zimna, choć mróz chwycił jeszcze większy niż w nocy, zupełnie jakby błękit prześwitującego między gałęziami nieba był skrajem szaty samej władczyni zimy. Myślał długo i mruczał pod nosem. W końcu rzekł:

— Rozważę to, co powiedziałaś, Mirku... Leszy... sam nie wiem, jak cię nazywać... Nic nie mogę teraz obiecać, ale pomyślę.

— Pomyśl, Jaworku, pomyśl — zamruczał wielki ryś. — Idź w swoją stronę, wracaj do domu. I pamiętaj, aby posłuchać siebie samego, a nie patrzeć, jak robią inni. Inni wcale nie muszą czynić dobrze. Pomyśl o tym, mój przyjacielu.

— Obiecuję, Mirku. Szkoda mi ciebie, więc w imię naszej dawnej przyjaźni będę się starał wypełnić twoją prośbę, żeby Gościun zdjął z ciebie karę.

Wielki ryś pokręcił głową. Pędzelki na końcach uszu zafalowały przy tym ruchu zabawnie.

— Dla siebie to zrób — odezwał się. — Na mnie się nie oglądaj. Bo muszę uczciwie powiedzieć, że kiedy przyjdzie chwila, w której pan lasów, pól, łąk i jezior zechce mnie uwolnić z tego ciała, wcale nie wiem, czy będę chciał wrócić między ludzi. Zżyłem się z lasem i pokochałem go jeszcze mocniej niż wtedy, gdy byłem myśliwym.

Milczał przez chwilę, a potem dodał.

— Spróbuj, Jaworku, postępować jak na dobrego człowieka przystało. Zobaczysz, że to wielka radość. I powtarzam ci raz jeszcze, do znudzenia, nie oglądaj się na to, co robią inni. Patrz na siebie.

Jaworek wrócił do swojej chaty zamyślony, siadł przy ogniu i milczał. Ani spostrzegł, jak skończył się krótki grudniowy dzień. Nie widział też, że żona i dzieci spoglądają na niego z niepokojem. Myślał długo w noc nad tym, co mu się przytrafiło i nad słowami wielkiego rysia. A następnego dnia, ku zdumieniu Pękawki, nie poszedł na polowanie, nie zastawił wnyków.

— Dopóki w spiżarni pełno — oznajmił swojej rodzinie — i mamy się w co odziać, dopóty nie ma potrzeby lasu ze zwierząt łupić. I tak odtąd będziemy już robić.

Rozdział 6

Biskup pomocniczy Stanisław Wyzimek dotarł do miejsca, które w namiarze satelitarnym zapisane miał jako punkt graniczny. Wlokący się dwa kroki za nim sekretarz, który nad czymś się zamyślił, uderzył nosem w plecy dostojnika.

— Romanie! — upomniał go biskup. — Uważaj, nie jesteśmy na zwykłej przechadzce! Zaraz wchodzimy na teren wroga!

Sekretarz wzruszył tylko ramionami, spojrział przed siebie. Nie widział, żeby to miejsce było jakieś szczególne. Fakt, że przed nimi ściana drzew znacznie gęstniała, ale nie wyglądała wcale inaczej, niż na przykład taka Puszcza Białowieska. Może i stary las, ale to wszystko.

— Wiem, że nie dowierzasz — rzekł surowo biskup. — Uważasz to wszystko za jakieś fantasmagorie.

Ksiądz sekretarz nie odpowiedział. Nie musiał, przecież ten stary piernik zaraz i tak poleci dalej z tekstem. Nie pomylił się.

— Mała jest w tobie wiara, powiadam ci — ton biskupa stał się jeszcze bardziej surowy. — Zawsze taka była. Miałem nadzieję, w kurialnej służbie nabierzesz jej więcej, ale płonne jednakowoż były te moje nadzieje.

Roman powstrzymał tym razem wzruszenie ramion. Nie chciał drażnić przełożonego. Mylił się biskup, że wiara w nim była niewielka. Nawet nie wiedział, jak bardzo się mylił! Bo ksiądz sekretarz w ogóle żadnej wiary nie posiadał. Poszedł do seminarium, żeby zapewnić sobie wygodne życie. Pochodził z wielodzietnej rodziny, a w domu nigdy się nie przelewało. Kiedyś stryj, sam duchowny, szepnął mu na ucho, aby wybrał taką drogę życiową. „Nie idź tylko w mnichy — powiedział. — W zakonach mocniej człowieka pilnują. Pójdź do seminarium, tam dostaniesz wikt, opierunek, a na koniec wyślą cię na dobrą parafię, jeśli się zakręcisz”. Roman wzdragał się, bo zanadto lubił dziewczyny, żeby wyrzec się tak łatwo obcowania z nimi. Ale kiedy podzielił się wątpliwościami ze stryjem ten tylko zaśmiał się na całe gardło. „A to, drogi chłopcze, najmniejszy problem, możesz mi wierzyć! Jeśli zechcesz, będziesz miał ich pod dostatkiem, byłeś tylko za bardzo tym w oczy ludziom nie świecił!”.

Chyba właśnie w tamtej chwili przyszły ksiądz Roman stracił wszelkie złudzenia i stał się cynikiem. I to cynikiem tak doskonałym, że powinno się go zakonserwować na wieki i wystawić w Sèvres obok wzorca metra. Oczywiście nie można powiedzieć, żeby właśnie stryj takim go uczynił, bo mały Romek już przedtem wykazywał się cechami osobowości mało dla otoczenia przyjemnymi, w tym kostycznym, bezwzględnym poczuciem humoru. Lecz pamiętna rozmowa stała się katalizatorem, który doprowadził w duszy chłopaka zaszła do ostatecznej reakcji.

Więcej się nie wahał, kiedy już przyszła pora wyboru szkoły i po maturze złożył wniosek o przyjęcie do seminarium. Został przyjęty, chociaż podczas rozmowy kwalifikacyjnej jeden z księży profesorów przyglądał mu się bardzo podejrzliwie. Było coś w twarzy Romana, co ostrzegało przed nim bardziej wrażliwych na takie sprawy bliźnich.

Czyli w sumie niewiele.

Ludzie nie zwracają na siebie nawzajem uwagi. Gdyby to robili, uniknęliby co najmniej połowy kłopotów, jakie niesie ze sobą życie w stadzie.

— Czemu nic nie mówisz? — spytał coraz bardziej poirytowany biskup. — Język ci przysechł do podniebienia?

— A co mam mówić, Wasza Ekscelencjo? — Roman rozłożył ręce. — Skoro taki jestem niedobry, po co mnie ksiądz biskup ze sobą zabrał?

— Bo liczę na to, że twoja niewiara, twoja głęboko skrywana pogarda dla własnej religii może coś zdziałać w takim miejscu. Jeśli nie wierzysz w Boga w Trójcy Jedynej, to może nie uwierzysz też w te gusła i zaburzysz funkcjonowanie rodzimowiercom tak, jak zaburzasz je całemu swojemu otoczeniu. Nie obraź się, synu, ale kiedy stoję przy tobie, czuję taką pustkę, jakby nasz Pan naprawdę nie istniał.

Roman przełknął ślinę. Tego się nie spodziewał. Nie przypuszczał, że ktoś może odgadnąć, co drzemie w głębi jego umysłu. Bo w istnienie duszy też nie bardzo wierzył, przynajmniej od pewnego czasu.

— Uważa ksiądz biskup, że będzie jak w filmie *Eryk wiking*? Ponieważ tam misjonarz nie wierzył w bożków normańskich, to ich nie widział?

— A gdyby tak?

— A gdyby tak — powiedział z jadowitym uśmiechem Roman — to dziwię się, że luminarze kościoła mieliby ich widzieć. Coś nie tak z waszą wiarą może?

— Odpowiem ci cytatem z innego filmu, z *Robina z Sherwood*. Tam opat Hugo mówi w pewnym momencie „I nie lekceważ starych bogów, oni tak do końca nie umarli”. A poza tym, mnich z „Eryka wikinga” wprawdzie nie widział zjawisk dotyczących mitologii północnej, ale odczuwał ich działanie.

Sekretarza zatkało. Proszę, proszę! Jego Ekscelencja ogląda klasykę! Tego się nie spodziewał. Prawdę mówiąc, uważał Wyzimka za typa mocno ograniczonego. A ten znał nie tylko Monty Pythona, ale nawet leciwy już serial o Robin Hoodzie... I to z cytatami.

— Pomódlmy się — powiedział biskup. — A potem założę szaty pontyfikalne i wejdziemy w tę szatańską dziedzinę.

— Jeśli modlitwa pomoże księdzu biskupowi... — mruknął sekretarz. Odczuwał swego rodzaju ulgę, że karty zostały rzucone i nie musi się już kryć z tym, co w nim drzemie. Z tym, co go tak okropnie uwierało i wywoływało dyskomfort oraz dysonans poznawczy, kiedy obcował z innymi duchownymi.

— Mnie pomoże na pewno, a tobie być może. — Biskup wyjął różaniec, uklęknął. — Zmówimy koronkę do Miłosierdzia Bożego, a potem w drogę.

— Tylko jeszcze jedno pytanie, Wasza Ekscelencjo. Mogę?

— Jeśli musisz, to słucham.

— Oczywiście to, co ksiądz biskup mówił o tym, dlaczego mnie zabrał... to znaczy o tej mojej niewierze, która miałaby wpłynąć na pogańskie gusła to stek bzdur? Podpuścił mnie ksiądz?

— Oczywiście — Hierarcha wzruszył ramionami. — Chociaż, z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo. A teraz do modlitwy! Jeszcze przed wieczorem chcę dotrzeć do tych rodzimowierców! A ty masz ochotę nocować w lesie?

Sekretarz ukląkł czym prędzej.

*

Siedzieli we trzech przy małym ognisku, rozpalonym w miejscu nazwanym dawniej

przez nich Cyplem Samuraja, a obecnie Łukiem Strzyboga. Nie był to cypel precyzyjnie rzecz ujmując, ale raczej część brzegu, oddzielającego jezioro Solecko od jeziora stanowiącego niegdyś część rezerwatu ptaków. Pośrodku tego brzegu znajdował się płytki przesmyk, wykopany kiedyś przez rybaków i wzmocniony konstrukcją z drewnianych kołków.

Było to ulubione miejsce ich spotkań. Bożyn zatknął na patyki kawałki osolonego i przyprawionego leśnymi ziołami mięsa, i przypiekał je nad ogniem, Bożan krzątał się przy opale, a Rybomił tylko siedział, wpatrzony w trzaskające płomienie.

— Miło — powiedział. — W wodzie bywa cholernie zimno.

— Myślałem, że ci to pasuje — zauważył Bożan. — Zawsze wolałeś chłodniejszą aurę.

— W sumie tak. Ale czasem jak pójdzie lodowaty prąd... — Wskazał kciukiem za siebie. — Wiecie, że tutaj, całkiem niedaleko brzegu jest głębia na ponad siedemnaście metrów? Tam, gdzie spoczywa Serce Lasu i rezyduje Wielki Sum. Jak chodzę po dnie, to mi później topielice muszą stopy rozcierać.

— I on narzeka! — Bożyn chciał wznieść ręce do nieba, ale w porę sobie przypomniał, że trzyma w nich patyki z pieczystym. — Kobietki mu dogadzają, zielone, wstrętne stópki masują, a temu źle!

Wodnik machnął ręką, ziewnął szeroko.

— Na to akurat narzekać nie mogę...

— Na nic nie możesz narzekać, malkontencie! — zirytował się Bożyn. — Tak naprawdę jedyny twój obowiązek to Wielkiego Suma pilnować, no i Serca Lasu, którego z kolei on i tak bez niczyjej pomocy strzeże. A my tu wciąż coś nowego mamy. Ludzie w osiedlu dobrzy są, tyle że chwilami okropnie upierdliwi.

— Kiedy indziej sobie ponarzekać — usadził kompanów Bożan. Usiadł obok wodnika, wziął od Bożana patyk z przypieczonym już porządnie mięsem, pochuchał na nie, odgryzł kawałek. — Mieliśmy się wszyscy zastanowić, jak to się stało, że staliśmy się tym, kim teraz jesteśmy i dlaczego. Zastanawialiście się?

Bożyn wzruszył ramionami, podał drugi patyk wodnikowi.

— Cały czas się zastanawiam i mogę jedynie powtórzyć słowa Sokratesa. Wiem, że nic nie wiem.

— Bardzo jesteś pomocny — warknął Bożan. — Potrzebne nam teraz złote sentencje jak psu piąta noga. Doszedłeś do czegoś, czy nie? W końcu ty się interesowałeś zawsze nauką.

— Nauką tak, ale to dookoła niewiele się zdaje mieć z nią wspólnego — odparł Bożyn. — Wiecie, że już zapominam, jak miałem kiedyś na imię?

— Tak samo, jak ja — syknął drugi kapłan. — Ale to nie ma znaczenia! Rybomił jest teraz Rybomiłem, Bożan Bożanem, a Bożyn Bożynem. Nie o to chodzi, żeby się stąd koniecznie wyrwać, bo całkiem mi się takie życie podoba, bardziej niż stare, tylko żeby coś zrozumieć...

— A nad czym tu myśleć? — Wodnik wzruszył ramionami. — Gościun tak chciał i tak się stało...

— Człowieku! — krzyknął Bożan i zacukał się. — To znaczy, wodniku! Naprawdę w to wierzysz? Że Gościun tak chciał? Bo mnie się coś zdaje, że jego pojawienie się, jeśli można to tak nazwać, skoro nikt nie widział nigdy nic więcej od jego uśmiechu wiszącego

w powietrzu, jest skutkiem, a nie przyczyną jakichś wydarzeń.

— Myślisz? — Rybomił ugryzł mięso i skrzywił się. — Przywykłem już całkiem do ryb — mruknął.

— To oddaj, ja chętnie... — zaczął Bożyn, ale wodnik się zachnął i gwałtownie odsunął patyk.

— Zjem, skoro już zrobione — oznajmił. — A co do Gościuna, sam parę razy widziałem ten jego uśmiech. Wiecie przecież, że ten cały Duszek Szuwar grasuje głównie przy brzegu. Często widzę, jak wzywa pana lasów, pól, łąk i jezior, żeby ożywił jakąś drobnicę.

— No i piwo ciągnie Gościun jak smok — mruknął Bożan, przypominając sobie, z jaką szybkością bursztynowy nektar znika z kadzi przy posągu. — Że istnieje, nie ma wątpliwości. Pytanie jednak, dlaczego się w ogóle pojawił.

— Może mamy tutaj anomalie czasoprzestrzenną? — zaproponował hipotezę Bożyn.

— To znaczy co? — uściślił drugi żerca.

— Cholera wie. Anomalia to anomalia, nie? Dlatego się tak nazywa, że dzieją się w niej i przy niej dziwne rzeczy.

— Gadanie! — zniecierpliwził się Bożan. — Anomalie czasoprzestrzenną sobie teraz wymyśliłeś? No dobra. Tylko znajdź do tego jakiś pasujący algorytm zdarzeń.

Bożyn pokręcił głową i westchnął ciężko.

— Zawsze był czepliwy — powiedział do wodnika, wskazując ruchem brody drugiego żercę — ale odkąd został kapłanem, zrobił się całkiem nie do zniesienia. Czego ty chcesz? — burknął, rzucając niechętnie spojrzenie Bożanowi. — Żeby sformułować teorię wszystkiego? A może zmodyfikował jeszcze przy okazji teorię pola?

Bożan z ponurą miną żuł mięso.

— Jakiś purpurat wlaź w nasze granice — powiedział po chwili, zmieniając temat. — Wystrojony w szaty jak do ołtarza, w towarzystwie drugiego, mniej napuszonego.

— I co, chcesz na nich też nasłać południce? — zainteresował się Rybomił.

— Nie. Na takiego byle zjawa nie podziała. Pastorałem ją prześwięci i tyle, jeszcze nieszczęśnicy kości połamie. Niech przyjdzie, a skoro się nie kryje, może przybywa w pokoju?

— Tak, już to widzę, w pokoju — prychnął Bożyn. — Skoro nie południce, to mamuny niech mu chociaż przetną drogę. Albo leszy się z nimi zabawią.

— A nie jesteś ciekaw, co ma nam do powiedzenia? Chyba nie zacznie zniecka chlapać na wszystkie strony wodą i olejami, jak tamci egzorcyci. A jeśli zacznie, to i skończy jak tamci. Tylko nie wiem, czy taki biskup jest zdolny do nas przystać. Czy mu umysł pozwoli...

— Co masz na myśli? — spytał z uśmiechem Bożyn. — Czyżby mój ulubiony cytat z *Portretu Doriana Graya*?

— Tak jakby.

— Powiedz to jeszcze raz — poprosił Rybomił. — Zawsze mnie to bawiło i nadal bawi, chociaż nasz świat tak się zmienił.

— Niech będzie — Bożan przymknął oczy, przypominając sobie słowa. — „Spójrz tylko na ludzi pracujących z powodzeniem w jakimś uczonym zawodzie. Jacyż brzydcy! Oczywiście z wyjątkiem dygnitarzy kościelnych. Ale też w kościele wcale się nie myśli. Biskup osiemdziesięcioletni mówi zupełnie to samo, czego go nauczono, gdy miał lat

osiemnaście, i dlatego też zawsze wygląda zachwycająco.”^[1]

Wodnik roześmiał się, a Bożyn poszedł w pobliskie krzaki i przyniósł okazały gąsior.

— Przedni miód — zaznaczył. — Żona bednarza syciła, a ma do tego smykałkę.

— No i po rozważaniach o zasadniczych sprawach — burknął Bożan.

Ale kiedy dostał kubek wypełniony aromatycznym trunkiem, przyjął poczęstunek bez protestu.

Siedzieli jakiś w milczeniu, pogryzając pieczone i popijając miodem.

— Ja jednakowoż wolę piwo — mruknął w końcu Bożyn. — Albo jak do piwa doleje się takiego właśnie pitnego miodu.

— Jak dla mnie, marnujesz wtedy jedno i drugie — nie zgodził się z nim Rybomił.

— A co ty tam w swoim jeziorze możesz wiedzieć o świecie? Po rybach ani piwo, ani miód nie smakują jak należy. Dlatego zapija się je winem albo gorzałą.

Wodnik otworzył już usta do ostrej odpowiedzi, ale spojrzał na Bożana, który ledwie dostrzegalnie pokręcił głową, więc dał spokój. Bożyn zawsze miał niewyparzony jeźor, spieranie się z nim było z góry skazane na porażkę. Zawsze musiał mieć ostatnie słowo. Powstrzymywał się tylko przy ludziach, żeby nie podważać autorytetu Bożana, którego wierni mieli za pierwszego spośród nich. Rybomił musiał przyznać uczciwie, że właśnie ten człowiek nadawał się na przywódcę takiego stadka. Znając go dawniej, nie spodziewałby się takiej przemiany złośliwego niedowiarka w charyzmatycznego religijnego przywódcę.

— Co cię ugryzło? — spokojnie spytał Bożan, podając drugiemu żercy gąsior. — Czepiasz się wodnika, jakby coś ci zrobił. Ty wolisz piwo z miodem, a on czyste napoje. Każdy zostaje przy swoim i już.

Bożyn machnął ręką.

— Nic mnie nie ugryzło. Zakochałem się.

Spojrzeli na niego, zaskoczeni, chociaż umiarkowanie.

— Znowu? Ale chyba nie w południcy albo dziwożonie, co? — spytał ostrożnie Bożan. — Przecież wiesz, że od każdej można złapać coś paskudnego, albo przynajmniej mało przyjemnego. Same nie odczuwają dolegliwości, bo to zjawy, ale...

— Przestań! — warknął Bożyn. — W jakiej południcy? W jakiej dziwożonie? Może jeszcze mi zaczniesz wciskać cuchnącą bagnetką boginkę, co? W córce rymarza się zakochałem i to właśnie jest kłopot!

Bożan i Rybomił wymienili spojrzenia. Wodnik wzruszył lekko ramionami.

— Ale jaki kłopot? — spytał. — Mody jeszcze jesteś, niewiasty nie uciekają na twój widok, a i ważna z ciebie persona... Pochodź za nią, poczaruj...

— Przecież ona ma męża, ośle! — krzyknął zdesperowany Bożyn. — Jeśli uważasz, że to nie jest pewien problem, chyba dam ci po łbie.

— A, więc to tak... — Rybomił pokiwał głową. — To współczuję. Faktycznie kałabania. Bo nawet ci nie wypada schadzać się z nią potajemnie, jako żeś kapłan i musisz świecić przykładem, a nie gołym zadkiem po krzakach.

— No właśnie... — Bożyn nie zwrócił nawet uwagi na złośliwość przyjaciela, wychylił cały kubek miodu na raz. — Tylko się upić z desperacji, a potem...

— A potem poszukać sobie innego obiektu westchnień — dokończył za niego Bożan. — Zawsze byłeś kochliwy, poradzisz sobie.

— Ale na razie cierpię! — poskarżył się Bożyn. — Serce mi pęka na pół... Dusza

boli...

— To usiądź tyłkiem na mrowisku, z miejsca zapomnisz o sercowych i dusznych bólach.

Bożyn obrzucił towarzysza pełnym wyrzutu spojrzeniem.

— Wiesz, mógłbym ci coś odpowiedzieć, ale tym razem daruję sobie.

— Ależ proszę bardzo! — zachęcił go Bożan. — Nie musisz się obawiać, z twych ust malinowych zniosę wszystko.

— Cichajcie! — Wodnik przyłożył błoniastą łapę do szpiczastego ucha. — Ktoś tu lezie!

Bożan skrzywił się z niechęcią. Ludzie w osiedlu wiedzieli, że kapłani wraz z wodnikiem mają zwyczaj deliberować na osobności i nie lubią jak im wtedy przeszkadzać. Coś musiało się więc stać.

— Jeśli to jakaś bzdura — zaczął Bożyn, ale zamilkł, uciszony niecierpliwym gestem Rybomiła.

— Nie idą od strony grodziska, tylko stamtąd! — wskazał na północny zachód. — Ciekawe, kto?

— Zaraz się przekonamy — mruknął Bożyn.

Rozejrzał się, ujął w dłoń solidny kostur, z jakim chadzał do niektórych obrzędów na cześć Gościuna. Teraz i on usłyszał trzaskanie gałęzi i jakieś mamrotanie. Czy też może niezbyt głośny śpiew.

*

Major Wazulin obserwował uważnie rozmówcę. Ten amerykański kapitan wydawał się bystrym facetem, a na dodatek miał ewidentnie bardzo podobny do Rosjanina pogląd na wojskowy dryl. W rozpiętym mundurze wyglądał bardziej na podstarzałego już nieco studenta, niż ważnego oficera. Zdawał się nieco jakby znudzony, a może raczej rozkojarzony, ale uwadze Wazulina nie uszły bystre spojrzenia, jakie rzucał spod lekko przymrużonych powiek. Wszystko widział i wszystko analizował. Do wywiadu nader często dostają się ostatni idioci, szczególnie gdy rzecz idzie o znajomości, ale kapitan Sargens do takich nie należał z całą pewnością.

Zresztą, szefostwo resortu nie pozwoliłoby prowadzić tajnych rozmów byle kretynowi.

Chociaż z tym też różnie już bywało.

— Obejdziemy się bez tłumacza — rzucił major do podporucznika, który rozkładał się przy bocznym biurku z papierami, ołówkami i netbookiem. — Protokolant też jest nam najzupełniej zbędny. Poradzimy sobie sami, prawda, panie kapitanie? — Spojrzał na Sargensa.

Mówił po angielsku płynnie, jedynie z ledwie zauważalnym akcentem. A kapitan był przekonany, że gdyby zaszła taka potrzeba, ów akcent także by zniknął i nikt by nie podejrzewał, iż ten gość o miłej, szczerzej twarzy urodził się gdzie indziej, niż w Wielkim Jabłku. Zresztą, mógł też się nie wysilać i z taką wymową uchodzić za mieszkańca jakiegś zapyziałej wiochy w Kentucky...

— Oczywiście, że sobie poradzimy — odpowiedział Sargens. — To nie są oficjalne negocjacje, a jedynie rozmowa wstępna.

Major nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Oto otrzymał solidnego prztyczka w sam czubek nosa. Bo Amerykanin odpowiedział po rosyjsku, i to czyściutko, jeśli nie liczyć

odległego odgłosu obcych naleciałości. Jednak niektórzy mieszkańcy republik syberyjskich mówili dość podobnie.

— Ale pułkownik Ingles... — zaprotestował nieśmiało młodszy oficer.

— Pułkownik Ingles po prostu dowie się o wszystkim wprost ode mnie, podporuczniku — oznajmił Sangers. — Z raportu dla generała, a nie z pana donosu... Pardon, meldunku.

Podporucznik poczerwieniał i zaczął zbierać sprzęty.

A major popatrzył na kapitana z niekłamaną sympatią.

— Siergiej. — Wyciągnął rękę. — Nie będziemy sobie chyba panować.

— Jason. — Kapitan uściśnął dłoń Rosjanina. — Też nie widzę takiej potrzeby. Niech pan mi jednak... To znaczy, powiedz mi, Siergieju, jak udało się przekonać pułkownika Malinina, żeby nie uczestniczył w tym spotkaniu? Z naszych informacji wynika, że to bardzo ambitny oficer, choć jego ambicja znacznie przewyższa zdolności. To musiał być dla niego policzek.

— Mógłbym zapytać o to samo — zaśmiał się Rosjanin. — Pułkownik Ingles ma u nas podobną opinię.

— To akurat jest proste — odparł Sargens ze wzruszeniem ramion. — Generał na niego nawrzeszczał.

— Aha. — Wazulin uczynił nieokreślony gest dłonią. — Na Malinina też nawrzeszczał. Tylko że sam marszałek. Generał okazał się na niego za krótki.

— Może ten sam marszałek, który mu załatwił posadę w wywiadzie?

Major spojrział na rozmówcę z pewnym podziwem.

— Ma pan niezłe informacje.

— Taki zawód — roześmiał się Sargens.

— Tak, ten sam marszałek. Wie doskonale, ile jest wart jego krewniak, a spotkanie dwóch stron nastawionych do siebie wro... — urwał. — Powiedzmy, nie darzących się zaufaniem powinno się odbywać w odpowiednich warunkach i z udziałem odpowiednich ludzi.

Nagle zdał sobie sprawę, że rozmawiają z tym Amerykaninem zupełnie swobodnie, nie ukrywają nawet, kim są. A przecież oficjalnie to były negocjacje dotyczące spraw handlu i logistyki. Powinni przynajmniej na początku zachować jakieś pozory.

— Przejdźmy do rzeczy. — Amerykanin wskazał stolik, na którym rozmieszczono porcelanową zastawę. Była i świetnie pachnąca kawa, i wonna herbata, i jakieś ciastka, a nawet powidła, z barwy sądząc, wiśniowe. — Czego panu nalać?

— Kawy, jeśli można — odparł Wazulin. — Podobno Amerykanie piją najgorszą lurę na świecie, ale ta całkiem ładnie pachnie.

— To prawda, pijemy lurę — zaśmiał się kapitan. — Jednak nie wszyscy i nie wszędzie. W mojej firmie kawa bywa ważniejsza od komputerów.

— Znam to — odparł major z powagą.

Sargens rozlał gęstego naparu do niewielkich filiżanek, posłodził trzy łyżeczki.

— Cukier? — uśmiechnął się Rosjanin. — A ja myślałem, że wy już tylko na słodzikach jedzicie. Przecież to biała śmierć!

— Glukoza doskonale odżywia mózg. — Teraz to kapitan był zupełnie poważny. — A poza tym, gorzka kawa tak świetnego sortu? To by była profanacja.

Wazulin również szczerze sobie posłodził. Upił niewielki łyżeczek. Naprawdę, napój

był doskonały.

Ciekawe swoją drogą...

— A ta herbata? — Wskazał drugi imbryk. — Rosyjska?

— Rosyjska — potwierdził Amerykanin. — Osobiście bardzo taką lubię i cenię. Kawa pomaga się ożywić, ale wasza herbata stawia na nogi.

— Przewiduje pan, że aż tyle czasu tu posiedzimy?

Amerykanin milczał przez dłuższą chwilę, również odpił kawy i dopiero potem powiedział:

— Mam nadzieję, że w miarę szybko się porozumiemy. Oczywiście jeśli nie będziemy za bardzo udawać, że nic się nie dzieje.

— Ja nie mam zamiaru — oświadczył major. — Dzieje się, i to sporo. My wiemy, że wasz satelita zszedł minimalnie z kursu przelatując nad interesującym nas terenem, a wy wiecie, że nasze drony przepadły nad tym lasem. Z kolei Polacy stracili tam helikopter, nie mówiąc o kilkunastu zwiadowcach.

— Wy też macie na koncie trzech szperaczy. Albo czterech — uzupełnił kapitan.

— A wy nie? — prychnął Wazulin. — Przecież wysłaliście dwóch i wsiąkli.

Kapitan milczał przez kilkanaście sekund, wpatrując się uważnie w parującą zawartość filiżanki.

— Tak sobie czasem myślę — mruknął — po jaką cholere w to wszystko gramy. Przecież tak czy inaczej, prędzej czy później uzyskujemy komplet informacji o swoich działaniach. I to nawet prędzej niż później.

— To się nazywa wojna wywiadów — odparł Rosjanin. — Za każdym razem mamy nadzieję, że uda się utrzymać plany oraz informacje w tajemnicy na tyle długo, żeby zaskoczyć przeciwnika. Wy też. I dlatego nigdy to się nie skończy.

— No dobrze, ale w tej sprawie mam nadzieję grać w otwarte karty... — Kapitan zawiesił głos. — Przynajmniej do pewnego stopnia.

— Spróbujmy — westchnął major. — Tylko nie wiem, czy nam się tak od razu uda. Przecież jesteśmy przyzwyczajeni do tajemnic. No i każdy z nas oprócz dobrej woli ma też swoje instrukcje.

*

Wyszli wprost na trzech ludzi, siedzących przy ognisku. Ludzi? Dwóch, i owszem, wyglądało całkiem zwyczajnie, jeśli nie liczyć długich szat, ale trzeci... Trzeci miał łeb jak szaflik, zielony, od którego odstawały na boki ostro zakończone uszy. W dodatku wyglądał, jakby był nagi, jak go Pan Bóg... Jak go ktokolwiek stworzył. Na zielonkawej, dość długiej szyi po obu stronach widniały wyraźne kreski.

Tatuaż? Nie! Bo w pewnej chwili te kreski rozchyliły się, ukazując różowe wnętrza, a stwór natychmiast skropił je wodą z cebra stojącego obok.

Skrzela! Biskup Wyzimek omal nie zemdlął, kiedy to do niego dotarło. I wtedy dostrzegł błonę między palcami rąk dziwadła, trzymającego patyk z czymś nadzianym na końcu, niczym pieczona kiełbasa.

— Zgiń, przepadnij — wymamrotał. — Roman, też to widzisz?

Spojrzał na milczącego sekretarza, chcąc go skarcić za brak odpowiedzi, ale na widok jego wytrzeszczonych oczu zrezygnował. Nawet ten niedowiarek ujrzał to samo. Chyba że nie. Chyba że widział jednak co innego. Nigdy nie wiadomo.

— Widzisz tego zielonego?

— Widzę, widzę — burknął sekretarz. — Pewnie jakiś ich wodny potwór.

— Ja ci dam potwora! — Do wodnika dotarły słowa Romana. — Potwór, widzicie go! Masz jakieś lustro? To sam się przejrzyj. Takiego wrednego ryja to pod wodą ze świecą szukać!

— Spokojnie, Rybomile — powiedział jeden z ludzi w długich szatach. — Skoro już są na naszej ziemi, niechaj będą sobie radzi.

— Kim jesteście i jakie dobre bogi was sprowadzają? — spytał drugi.

— Jestem biskup Stanisław Wyzimek i przybyłem tutaj, aby zaprowadzić Boży ład i porządek.

— No to się trochę spocisz — mruknął pod nosem Bożyn, a głośno odpowiedział: — Ład u nas panuje należyty. Ludzie są szczęśliwi i zadowoleni. Czego chcieć więcej?

— Powrotu wiary prawdziwej! — krzyknął biskup, nie panując nad sobą. Spokój tych pogan drażnił go coraz bardziej z każdą chwilą. — Żądam oddania nam wziętych w niewolę duchownych oraz uwolnienia wszystkich innych od jarzma opętania!

Mężczyźni i wodnik popatrzyli na siebie z dziwnymi minami.

— A bierz ich sobie, jeśli zechcą z tobą pójść — powiedział Bożan. — Nikt tu nikogo nie trzyma na siłę. Kto ma taką wolę, w każdej chwili może odejść, dostanie jeszcze na drogę dobre słowo i prowiant.

— Tylko jakoś nikt nie chce — rzekł Rybomił. — Jednego musieliśmy na siłę wyrzucać i południcom oraz dziwożonom zapowiedzieć, by go nie wpuszczały.

— Tfu! — zawołał biskup. — Co za świństwa wygadujesz, potworze! Może jeszcze powiesz, że Sebastian Gołąbka również przebywa u was z własnej woli?!

Wodnik spojrział ze zmarszczonymi brwiami na towarzyszy.

— Sebastian? — powtórzył. — A który to?

— Ten od Wszemiły — podpowiedział mu Bożyn. — Ten, co za imię wziął sobie Czcisław, bo mu się z jego chrześcijańskim kojarzyło.

— A, diegciowy wikary! — przypomniał sobie Rybomił. — Obawiam się, że tego łatwo nie wyrwiecie. Nawet w osiedlu go nigdy nie ma.

— A gdzie jest?! — spytał ostrym tonem biskup.

— Ugania się za taką jedną południcą. Dogodziła mu dziewczucha, a teraz musi przed nim umykać, by jej na śmierć nie zamęczył!

— Zamilcz! — zażądał hierarcha. — Nie godzi mi się tego słuchać! I nie wierzę w takie opowieści! Na pewno czegoś mu zadaliście...

Bożan machnął ręką.

— Zapraszamy do naszego grodziska — przerwał biskupowi. — Sam sobie zobaczysz, jak żyjemy i czy trzeba na nas tak od razu wyklinać.

— Trzeba! — oznajmił twardo biskup. — Taki jest obowiązek duszpasterza.

— A ty co myślisz? — Bożyn zwrócił się do sekretarza. Postanowił uderzyć w słabsze ogniwo.

— A ja jeszcze nic nie myślę, bo niewiele widziałem — odparł śmiało Roman.

Kapłan przyglądał mu się przez chwilę.

— Niby mądre słowa, a przecież głupie — zauważył. — To jednakowoż kto ważne, kto wypowiada daną myśl. Gdyby to uczynił twój chlebobawca, uznałbym ją za wyraz szacunku i rozsądku. Jednak w twoich ustach takie zdanie brzmi niczym obelga. Dziwny z ciebie człek. Bogu swojemu służysz czy raczej czemuś innemu?

W tej chwili biskup drgnął wewnątrz. Ten pogański pomiot wypowiedział w kilku słowach myśl, którą on formułował miesiącami, jeśli nie latami, obserwując poczynania sekretarza. Zupełnie obcy człowiek przejrzał kanałą na wylot w ciągu sekund.

— Gdzie ten wasz gródek? — spytał biskup.

— Grodzisko — poprawił go Bożan. — Tam. Trzeba iść prosto, obok starego dębu skrócić w lewo i ścieżką wzdłuż wysokiego brzegu. Trudno nie trafić.

— A wy? — zdziwił się biskup. — Nie idziecie tam? Nie chcecie zapobiec rozbiciu waszej wspólnoty?

— A rozbijaj sobie na zdrowie — mruknął Bożyn. — My sobie jeszcze chwilę posiedzimy. Później dojdziemy.

Biskup spojrział z niedowierzaniem, ale widząc, że wszyscy trzej znów zasiedli przy ognisku, wzruszył ramionami, skinął na sekretarza.

— Idziemy, Romanie!

Ruszyli, a chwilę później do uszu żerców i wodnika doleciały słowa godzinek:

— „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć jej niepojętą...”

— Patrzcie, nie zapomniał słów — zauważył wodnik. — Musi być w nim wielka moc.

— Raczej wielka determinacja. — Bożyn ziewnął. — Może nawet uda mu się kogoś tam uwieść. Ale ten drugi, co twarz trzyma zamkniętą, nie podoba mi się. Naprawdę podłe nasienie z niego.

Żercy i wodnik patrzyli za odchodzącymi. Biskup w szatach liturgicznych wyglądał jak udzielny książę, może nawet król, a za nim dreptał sekretarz w skromnej sutannie.

— Roman ma na imię — powiedział leniwie Bożyn, wystawiając twarz na promienie zachodzącego już słońca. — Trudno mu będzie znaleźć coś, co je zastąpi. Przyjdzie wymyślać. Jak przy Adrianie, tym egzorcycie. Klaudiusz, to jest imię! Kulas by się człeka przezwało i z głowy.

— Dobrze już, dojedzmy, dopijmy i musimy wracać — rzekł Bożan. — Ciekaw jestem, jak ów biskup będzie nam ludzi nawracał.

— Ja wrócę jeziorem — mruknął Rybomił. — Po drodze muszę jeszcze zajrzeć do Wielkiego Suma. Topielica Damroka mówiła, że w pysku mu się zrobiła pleśniawka. Natrę ją szatwią.

— A przy okazji otrzesz się o tę Damrokę — zaśmiał się Bożyn.

— Nie twoja rzecz! — burknął Rybomił, po czym skierował się do jeziora.

Rozdział 7

— Tatko, opowiedz nam coś! Opowiedz!

— Utrapienie z wami! Nocka jeszcze nie zapadła, słońeczko chyli się nad jezioro, posąg pana lasów, pól, łąk i jezior jeszcze lśni w jego świetle, a wam trzeba już coś opowiadać...

— Tatko, to spać pójdziem dzisiaj bez baśni na dobranoc — oznajmił rezolutnie siedmioletni może chłopiec. — Jeno teraz tak nudno... Matusz przy grzybach z sąsiadkami, tyś dopiero skończył koło do wozu robić.

Kołodziej pokręcił głową.

— Baki zatracone — zafrasował się. — A co niby wam opowiedzieć?

Spojrzał na gromadkę dzieci, wpatrzonych w niego z nadzieją.

— Zawołać powinienem chyba Radka Dęba, on zawsze ma coś w zanadrzu.

— Ty nam opowiedz, tatko — poprosiła dziewczynka. — Może być coś, co znamy.

— Ale co byście chcieli? — Kołodziej podrapał się w głowę.

— A choćby o tym kmięciu, co z planetnikiem miał sprawę!

Kołodziej znów westchnął. Tak, opowiadał już działawie tę gadkę, którą sam zasłyszal kiedyś przy ognisku. Ale czy zdoła ją należycie powtórzyć?

— A niech wam będzie, żaby! — postanowił.

Odpowiedział mu radosny pisk.

Kmieć i Planetnik

— Czego chcesz, włóczęgo?

Zażywny gospodarz spoglądał wrogo na nędzną postać stojącą w pokornej postawie przy studni.

— Wody kubek chciałem prosić i, jeśli wasza łaska, to może co do zjedzenia, choćby kaszy bez omasty, albo i jaki osuch chleba....

Kmieć poczerwieniał tak, że mogło się wydawać, iż za chwilę z twarzy tryśnie mu krew.

— A wynoś się, darmożjadzie! — wrzasnął, aż zahuczało po kątach obejścia. — Wszyscy wyście jednacy, dziady proszalne! Tylko byście darmo cudzy chleb jedli!

Na progu domu ukazała się niewieścia postać, ciekawie wyglądając na podwórze, a w drzwiach obory pojawiła się rozczochrana głowa parobka.

— Spragniony i głodny jestem — odezwał się nieśmiało starzec. — Trzy dni nic w ustach nie miałem. Zlitujcie się, gospodarzu!

Kmieć porwał za gruby sznur wiszący przy wozie.

— A poszedł mi stąd, dziadzie, pókim dobry, bo powrozem po plecach przejadę! Patrzcie go, biedaczek! Spragniony jesteś to wody z rzeki albo rowu się napij, a głodnyś, to choćby trawę żryj! Nie sieje, nie orze, a jeść by chciał to, co inni w pocie czoła zdobywają!

Obrzucił wściekłym spojrzeniem niewiastę i parobka.

— A wy do roboty! Wielicha, obiad szykuj, a ty Leścik do krów wracaj, bo i wam się

może oberwać, jakim Doman!

Żona gospodarza natychmiast cofnęła się w głąb izby, a parobek szurnął z powrotem do obory. Nieraz już mieli okazję odczuć na własnej skórze skutki gniewu gospodarza.

Starzec patrzył na wszystko spokojnie, jakby wściekłość i groźby Domana nie robiły na nim wrażenia. To jeszcze bardziej rozsierdziło kmiecia.

— Taki hardy jesteś?! Wynos się!

Przyskoczył do żebraka i zamierzył się na niego. Jednak ręka nie dokończyła ruchu. Na Domana spojrzwały przenikliwe, groźne oczy. Było w nich coś zniewalającego, co budziło niepokój, a nawet strach.

— Wynos się! — powtórzył kmieć mniej pewnie. Opuścił rękę. — Idź stąd, stary. i nie zwracaj głowy porządnym ludziom!

— Rzeczywiście, porządny z ciebie człowiek — odezwał się z przekąsem starzec. — Taki jesteś porządny, że zasługujesz na nagrodę. I otrzymasz ją niebawem, możesz być pewien.

— Grozisz mi?! — Doman znowu uniósł się gniewem.

— Nie, nie grozę ci, gospodarzu — spokojnie odparł starzec. — Tylko mówię, co uważam. A ty rób, jak chcesz. — Odwrócił się i ruszył w swoją stronę. — Będę jeszcze czas jakiś w tej okolicy, gdybyś czegoś potrzebował — rzucił przez ramię. — Wezwij mnie wtedy, może przyjdę. A może nie... Zobaczę.

— A czegoż ja mogę chcieć od takiego nędzarza? — zdumiał się kmieć. — Czy głód ci rozum odebrał?

Ale starzec nic nie odpowiedział. Szedł ciężko, podpierając się kosturem i nucąc jakąś smętną piosenkę.

Doman wzruszył ramionami. Wyrzucił już z pamięci dziwny wyrazu oczu wygnanego żebraka, myśli wróciły do spraw codziennych. Trzeba pójść na pole sprawdzić, czy przypadkiem synowie i parobkowie nie pospali się tak, jak przedwczoraj. Dał im, co prawda porządnie po karku, ale tylko z nich spuścić oko... Wydziedziczyć przyjdzie z ziemi darmożjadów, albo co.

Doman siedział na ławie z twarzą ukrytą w dłoniach. Przed nim, nad kubkiem grzanego miodu, stary wróż Okrasa słuchał żalów gospodarza i jego rodziny.

— Rety, retyście — lamentowała Wielisława. — Takie nieszczęście, taka bieda...

Na dworze szumiał deszcz. Szumiał tak od przeszło miesiąca. Jediną odmianą pogody były nawałnice i codzienne prawie gradobicia.

— Wszystkie plony zmarnowane — mruknął Doman nie odrywając rąk od twarzy. Przekleństwo na nas spadło. Ziarna nie wiem czy zostało tyle, żeby było czym zasiać na następny rok...

Wielicha rozplakała się jeszcze głośniej.

— A najgorsze jest to — ciągnął Doman — że nikt już nie chce ze mną gadać.

Uniósł głowę. Czerwone z bezsenności oczy wpatrzyły się w mdły ogień na palenisku.

— Nikt się już mnie nawet widzieć nie chce! I nie dziwota. Poszedłem do Wilika, sąsiada mego, co za lasem mieszka, a ten drzwi przede mną zawarł i wynosić się każe. „Nieszczęście za tobą lezie, powiada, jak za wściekłym lisem. Mało mi wszystko zboże się nie zmarnowało, gdyś przyszedł ostatnio”. I nie tylko on, inni tak samo. Bo to trzeba wam wiedzieć, wróżu, że gdzie się nie ruszę, tam za mną ulewa i grad... Nad moimi polami bez

przerwy deszcz, a gdzie bym tylko poszedł, zaraz i tam zaczyna z nieba lać jakby z cebra ciekło, że wytrzymać nie idzie! Najpierw myślałem, że to tylko nad moją ziemię przekleństwo, że trzeba się przenieść gdzie w inne miejsce. Ale widzę doskonale, że to wisi nade mną samym. I, jak już rzekłem, gdzie bym się nie udał, tam zaraz i moja bieda mnie dogania. Już parobcy wszyscy z gospodarstwa uciekli. A i synowie patrzeć tylko jak za nimi wyruszą, bo na cóż im czekać przy takim nieszczęściu?

Okrasa zamyślił się głęboko, pociągnął miodu i mruczał coś do siebie przez chwilę.

— Hm — odchrząknął. Rzadko się odzywał do ludzi, bo i rzadko ich widywał. A nawet kiedy wzywali go czasem do chorego, kazał wszystkim precz wychodzić, bo w samotności lepiej mu było pracować. Dlatego mówienie przychodziło mu z niejakim trudem. — Hm. Zdaje mi się, kmieciu, żeście jakiegoś potężnego ducha rozgniewali... Tak mi się widzi, że to pomsta pana deszczowego, Płanetnika...

— Jak to? — zdumiał się gospodarz. — Jakże mogłem Płanetnika rozgniewać, gdym go nawet nigdy w życiu nie spotkał!

— A wiesz to, człowieku, kogo naprawdę spotykasz na swojej drodze? Ja bym ci radził lepiej przypomnieć sobie, kogo to w ostatnim czasie mogłeś skrzywdzić...

— Ja?! — zdumiał się znowu Doman. — A kogóż niby mogłem ukrzywdzić? Wszak dobry ze mnie człek! I spokojny.

W tej chwili Wielisława poruszyła się niespokojnie.

— Domanie — odezwała się nieśmiało. — A ten stary żebrak, którego przegnałeś? Od tamtej pory to nieszczęście...

Wróż ciekawie nadstawił uszu, ale już kmieć fuknął gniewnie.

— Milcz, głupia! Co też ci, Wielicha, o proszalnym dziadzie wspominać? Nie jego pierwszego pogałem i nie ostatniego! Nie będę karmił darmozjadów! Nawet gdyby to były moje własne dzieci! A obcych dopiero!

— Tak — chrząknął Okrasa. — Widzę, że w istocie dobry z ciebie człowiek, gospodarzu. I bardzo spokojny. Bardzo!

— Wy ze mnie kpicie. — Kmieć raczej to stwierdził niż zapytał.

— Skoro do własnej żony tak się odnosisz, a przy tym twierdzisz, żeś człek spokojny, to jak mam nie kpić?

— Będziecie mnie pouczać, czy coś poradzicie? — skrzywił się Doman. — Bo ja nie potrzebuję nauki, tylko rady, co zrobić, żeby nieszczęście od siebie oddalić.

Wróż pokiwał głową.

— Wiem chyba, kto was pokarał. I kim był ów żebrak. Ale skoro nauki wam nie trzeba... — zaczął się podnosić. — Dzięki za przedni miód, ale na mnie już czas.

— Mówcie — poprosiła Wielisława, chwytając starego z rękę. — Błagam was, mądry z was człowiek, poradzcie coś! A na mojego męża się nie gniewajcie. Nie jest zły, tylko naturę ma gwałtowną...

Okrasa usiadł z powrotem.

— No dobrze — mruknął z niechęcią. — Uczynię to tylko ze względu na ciebie, niewiasto. Posłuchajcie uważnie. Przypuszczam, a pewnie się nie mylę, że ten żebrak, którego przegonił Doman, to był Płanetnik właśnie. Często się zdarza, że chodzi w przebraniu proszalnego dziada i błaga o łaskę. A kto mu odmówi, na tego jest władny sprowadzić i deszcz, i wichurę, i burze z gradobiciem, a gdy zechce to i nawet suszę. A uparty jest Płanetnik i dla niepoczciwych ludzi srogi, że strach!

— O bogowie! — westchnęła Wielisława. — Czy nie ma dla nas ratunku?

— Ratunek pewnie by się znalazł.

— Jaki, mówcie? — zawołali razem Doman i jego żona.

— Wyjdź, gospodarzu, przed próg trzy dni z rzędu trzy razy, o świcie, o południu i zmierzchu i wezwij Płanetnika za każdym razem po trzykroć. Zwróć przy tym twarz tam, gdzie gęstwa chmur będzie największa, a gdy deszcz mocniej i boleśniej zasieczy, oczy tylko przymknij, a nie odwracaj się od niego. Jeśli zaś Płanetnik zechce się pojawić, błagaj go ze wszystkich sił o łaskę, choćby nawet na twarz upaść przyszło. I bacz tylko, żebyś go jakimś nieopatrzonym słowem jeszcze bardziej nie rozeźlił, bo wtedy dopiero mógłby ci dopiec! A jeśli nie przyjdzie...

Okrasa rozłożył ręce w bezradnym geście. Ze współczuciem zerknął na płaczącą żonę kmiecia.

— Jeżeli nie przyjdzie, nie da się przebłagać, to nic ci już, Domanie, nie pomoże. Deszcze wypłuczają twoją ziemię i żaden siew na niej nie wzejdzie.

Codziennie po trzykroć wychodził Doman na próg domu, by wystawić twarz na siekące strugi deszczu. Trudno było wytrzymać, bo czuł wtedy jakby nie woda, ale krople roztopionego żelaza spływały na policzki. I za każdym wyjściem trzy razy wołał, by Płanetnik do niego przyszedł. Przez zmrużone oczy patrzył z nadzieją w największe kłębowisko chmur. Drugiego dnia rano wydało mu się, że dostrzega tam coś jakby zarys surowej znajomej twarzy, ale gdy bardziej uchylił powieki, obraz zniknął. Trzeciego dnia w południe pewien był, że nad horyzontem dostrzega olbrzymią postać, której siwa rozwiana broda niczym ogromna chmura zdawała się obejmować całe niebo. Ale i to znikło, kiedy tylko otworzył szerzej oczy.

Przed ostatnim już wyjściem dnia trzeciego przechadzał się po izbie nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Żona i synowie wodzili za nim wzrokiem, nie mniej wcale od niego zaniepokojeni.

— Przyjdzie czy nie przyjdzie? — mruczał do siebie. — A jeśli nawet przyjdzie, czego zażąda?

Już poprzedniej nocy nie mógł zasnąć rozmyślając o spotkaniu z Płanetnikiem.

Gdy nadszedł czas, wyszedł przed próg, spojrzął w szarzejące deszczowym zmrokiem chmury i zawołał tak, jak go wróż wyuczył:

— Przybądź, Płanetniku tu do mnie, przybądź, panie chmur i deszczów, przybądź zaklinam cię po trzykroć! Przybądź do mnie, zaklinam się trzy razy po trzykroć!

Z nadzieją i obawą zerknął w skłębiony tuman nad głową, jednak nic się nie wydarzyło. Czekał moknąc; jeszcze dwa razy wezwał Płanetnika, ale na próżno. Wrócił do domu. Od razu było widać, że duch w nim upadł i nie ma już żadnej nadziei.

— Przyjdzie mi was opuścić, moi drodzy — usiadł ciężko na zydlu nie zdejmując nawet z pleców przemoczonej kapoty. — Mówił Okrasa, że Płanetnik przybędzie jeśli zechce, ale może też nie przyjsć, gdy mocno zagniewany... I nie przyszedł!

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Doman poderwał się z błyskiem w oczach. Może to pan deszczów namyślił się go odwiedzić? Może się jednak zlitował?

Jednak na progu nie było znajomego żebraka. Stała tam dziewczuszka, trzęsąca się z zimna i zupełnie przemoknięta.

— Dajcie się ugrzać, gospodarzu — powiedziała drżącym, słabym głosem. — Do

babki znającej po zioła idę, co tu gdzieś ma chatę, alem w tej ulewie pobłądziła i całkiem z sił opadłam...

Dawniej pewnie by ją Doman wyгнаł precz, albo rzucił jaki kawałek chleba na odczepne i kazał iść w swoją stronę. Dla niego była takim samym darmożjadem jak nierobotny. Ale teraz, sam prześladowany przez los, poczuł ukłucie koło serca i żal mu się uczyniło dziecka.

— Chodź, dziewczuszko — powiedział. — Nie mamy tutaj zbyt wiele, bo bieda na nas przyszła, ale podzielimy się z tobą, czym chata jeszcze bogata. Dla takiego skrzata wystarczy.

Zakrzętnęła się Wielisława koło dziewczynki, zdjęła z niej mokre łaszki, wytarła ją do sucha i owinęła w mięciutką chustę, którą sama zakładała tylko od święta. Po chwili mała siorbała cienką polewkę na razowym chlebie i z ciekawością słuchała, co mówi gospodarz.

— Opuścić mi was przyjdzie — powtórzył Doman. — Niech już to nieszczęście odejdzie wraz ze mną, gdy inaczej się nie da. Gdy mnie nie będzie, może Płanetnik od was biedę odwróci? Bo co wyście mu zawinili? Nic! Pójdę na kraj świata, zamieszkać gdzieś z dala od ludzi, żeby innym nie szkodzić. Kto wie, może się kiedyś los polepszy...

Westchnął ciężko, oparł głowę na dłoni.

— Jutro wyruszę. Żałuję tylko, że dla was bywałem niedobry. I nim odejdę, przeprosić was chcę za to... Za wszystko zło, które wam uczyniłem...

Wielisława rzuciła się do niego z płaczem, by nie odchodził. Przypadli do kmiecia i synowie, roniąc łzy, zupełnie jakby byli małymi dziećmi, a nie dorosłymi chłopami pod wąsem.

— Tak trzeba — powiedział twardo Doman. — Widać zasłużyłem sobie na to. Tyle jeszcze chciałbym, abyście ode mnie przeprosili wszystkich, co na sobie moje gniewy odczuli... Może parobkowie wrócą, gdy wraz z przeklętym deszczem się oddalę...

Znowu zamyślił się ponuro. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

— I pamiętajcie, moi mili. Nie odmawiajcie jałmużny potrzebującym. Nakarmcie głodnego, choćby wydawał wam się tylko prochem marnym. Każdy chce żyć i każdy ma prawo żyć tak, jak potrafi. Nikim pogardzać nie wolno... Żałuję, że tak późno to zrozumiałem. Zbyt późno...

Zerknął na patrzącą na niego wielkimi oczami dziewczynkę.

— Jedz, dziecino, jedz. — Wyciągnął dłoń i niezdarnie pogłaskał małą po włosach. — Tyle jeszcze dobrego chociaż zrobię, że cię nakarmię i ogrzeję, zanim przyjdzie mi iść na tułaczkę.

— Może nie będziesz musiał nigdzie iść, Domanie — rozległ się nagle mocny, niski głos.

Kmieć popatrzył z niedowierzaniem na siedzące przed nim dziecko. Nie miał wątpliwości, że to dziewczuszka porusza ustami. Jednak chrypiące, tubalne tony nijak nie mogły wrywać się z dziecięcej piersi! Lecz zanim zdążył cokolwiek uczynić, o cokolwiek zapytać, w chałupie błysnęło, kuknęło, w miejscu, gdzie siedziało dziecko pojawił się kłęb dymu, a kiedy się rozwiął, zdumiona rodzina ujrzała przygarbioną postać o długich siwych włosach i takiejże skłębionej brodzie.

— To ty... — Doman natychmiast poznał starca. — Płanetnik...

— A Płanetnik — roześmiał się żebrak. — Takim mnie ujrzałeś po raz pierwszy i

takim ci się ukazują dzisiaj. Przyszedłem zobaczyć, czy kołace się w tobie jakieś dobro, czy nie jesteś tylko pustą skorupą, wypełnioną złością.

Wielisława krzyknęła cicho i osunęła się zemdlona na ziemię. Natychmiast synowie chwycili ją, położyli na ławie i podali wody. Tymczasem starzec mówił:

— Przybyłem pod postacią dziewczynki, bo przecież spodziewałeś się ujrzeć proszalnego dziada. A wtedy zacząłbyś mnie błagać i obiecywać poprawę, choć twoje myśli mogłyby być zupełnie inne. Ja zaś chciałem się przekonać, czy naprawdę posiadasz serce. I zobaczyłem, że je masz. Że masz nadspodziewanie wiele serca. A że trzeba było nieszczęście na ciebie zesłać, by mogło wreszcie przemówić, to już tylko twoja wina.

Doman potrząsnął głową i przetarł oczy. Działo się coś, co wydawało się snem. Nie wiedział tylko jeszcze do końca, czy będzie to sen dobry, czy też koszmar. A starzec mówił dalej:

— Zdejmę z ciebie karę, gospodarzu i mam nadzieję, że gdy znowu słońce dla ciebie zaświeci, nie zapomnisz o tej nauczce. Jak sam powiedziałeś przed chwilą, nie wolno gardzić nikim, żadną ludzką istotą.

Starzec zamilkł, pochylił głowę. W domu panował cisza przerywana tylko suchym trzaskiem płonącego drewna. Po chwili Płanetnik podniósł na Domana oczy. Kmieć zauważył, że błyszczą one jak u młodego chłopca i nie pasują wcale do starej twarzy. Nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym spostrzeżeniem, bo gość powiedział bardzo dobitnie:

— I jeszcze jedno powiem, zanim odejdę. Jeśli masz serce, człowieku, to nie chowaj go pod korcem, jeno okazuj światu! Dawaj je innym. Nie bój się, nie ubędzie go od tego, to nie złoto w trzosie!

Dziwny czerwony poblask wdarł się przez okno. Doman spojrzał zdumiony. To nie blask był dziwny. To on się od niego odzwyczaił! Niewidziane od dawna słońce kryło się właśnie za pobliskim pagórkiem, śląc światu ostatnie pozdrowienie dnia. Na niebie nie było już ani jednej chmurki.

— Dzięki ci, Płanetniku — wyszeptał kmieć odwracając się z powrotem do starca.

Ale jego już nie było. Zniknął. Może poszedł spocząć na noc? Czy też udał się wypróbować dobroć kogo innego? A może miał jeszcze inne, bardziej tajemnicze sprawy?

Tego Doman nie wiedział. W uszach tylko huczały mu słowa „Dawaj swoje serce innym. Nie ubędzie go od tego”.

Trzeba o tym pamiętać — pomyślał kmieć. — Trzeba to zapamiętać do końca życia. I należy o tym mówić innym.

*

— Wuj Radko opowiadał to trochę inaczej — powiedziała dziewczynka bez zębka.

— Ale ja to opowiedziałem właśnie tak — uciął kołodziej. — A teraz, bąki uprzykrzone...

Przerwał, bo usłyszał nagle dochodzący z zewnątrz gwar, a potem jakiś pojedynczy głos zaczął coś wołać na wysokim tonie.

— Czekaście tutaj na matkę, pójdę zobaczyć, co się zaś dzieje — przykazał. — Dziezka, pilnuj drobnicy — zwrócił się do najstarszej, jedenastoletniej dziewczynki, która siedziała z boku i wyszywała purpurową nicią kwiat na kawałku materiału. Wychodził trochę krzywo, ale i tak o wiele lepiej, niż poprzedni, który skończył w palenisku, ciśnięty ze złością małą rączką.

— Dobrze, tatku — powiedziała Dziezka i spojrzała na rodzeństwo, które natychmiast ucichło.

„Będzie z niej przednia gospocha — pomyślał kołodziej, wychodząc. — Jeno nie zazdroścę jej mężowi, bo pewnie go sobie tak wyhoduje, jak jej będzie wygodnie”.

Szybkim krokiem poszedł na dużą polanę ze świątynią Gościuna. Wszystkie ważne rzeczy działy się właśnie tutaj i zwoływano tu wszelkie zgromadzenia. Gdy dotarł na miejsce, ujrzał stojącego na jakimś podwyższeniu człowieka odzianego w piękne szaty, z tiarą na głowie i pastorałem w dłoni. Przecisnął się nieco do przodu, ciekaw, czy ten ktoś rzeczywiście na czymś stoi, czy też jest aż tak wysoki. Z pewnym rozbawieniem zobaczył, iż podwyższenie to obrócony do góry dnem cebrzyk, który bednarz całkiem niedawno zrobił dla Pękosławy. Po prawicy tego pięknie odzianego człowieka, krok z tyłu, stał drugi, w czarnej sukni, rzucający na wszystkie strony niepewne i czujne zarazem spojrzenia. Po chwili z czeluści pamięci kołodziej wydobył potrzebne słowo, określające tego, który przemawiał. Biskup.

— Porzućcie fałszywą drogę! — wołał tymczasem tamten, unosząc pastorał i potrząsając nim jak włócznią. — Weszliście na nią zapewne nie z własnej woli, zwiedzeni pustymi obietnicami, lecz opuścić ją możecie świadomie, licząc na zasługę w niebie!

— Jaką zasługę? — zawołał ktoś.

— Wielką! — odparł biskup. — Kto bowiem zwalcza grzech śmiertelny i wyrywa się z jego szponów, wielkie zasługi wnosi!

W tej chwili nadeszli obaj kapłani. Przystanęli z boku, przysłuchując się przemowie.

— Kto zaś w grzechu tkwi, ten zostanie potępiony na wieki!

— A co jest grzechem, kaznodziejo? — padło następne pytanie.

— Och wy, ludzie małej wiary, którzyście opuścili łono kościoła! Grzech jest to świadome i dobrowolne łamanie przykazań Bożych lub kościelnych!

— My tu żadnych przykazań nie mamy — odpowiedział ten sam głos. — Mamy prawa, których przestrzegamy!

— A jakież to prawa, jeśli wolno spytać? — rzucił ironicznie duchowny.

Wtedy ten, kto z nim dyskutował, wyszedł przed ludzi, otaczających półkolem ceber, na którym stał biskup. Kołodziej rozpoznał skrybę Włodzisława. Ludzie podśmiechowali się z niego, że do roboty niezdatny, że słabowity, że rusalek nie potrafi nawet dogonić przez swą kulawą nogę, jednak szanowali go za rozum. Tego nikt nie mógł mu odmówić. Może tylko żerca Bożan mu umysłem dorównywał, a nawet przewyższał. No i Bożyn, ale ten bardziej się konstrukcjami różnymi parał, niż filozofią.

— Wolno spytać — powiedział Włodzisław. — Przestrzegamy praw mówiących „nie kradnij, nie cudzołóż, nie zabijaj bez potrzeby, szanuj starych, chroń słabszych, głodnych nakarm, czcuj pana lasów, pól, łąk i jezior jak nakazuje obyczaj”.

— Słowem macie jakieś tam prawa — prychnął biskup i zwrócił się do pomocnika. — Słyszałeś, Romanie? Mają prawa. A jak też nakazuje obyczaj czcić tego waszego bałwana? — Wskazał kciukiem za siebie chram, w którym Gościun uśmiechał się pogodnie, patrząc w plecy hierarchy.

— Słyszałem — mruknął sekretarz. — Biskupie, toż to wariaci jacyś. Po co nam się było narażać?

Ale przełożony go nie słuchał.

— No powiedz, jak też go czcicie? — powtórzył pytanie.

— W czas nakazany składamy mu obiatę z piwa i miodu, a sami weselimy się spożywając wspólną wieczerzę i opowiadając piękne historie — rzekł skryba. — Jeśli zaś ktoś ma ochotę, może częściej cześć Gościunowi oddawać. Byle nie za często, gdyż groziłoby to popadnięciem w pijaństwo. Pracujemy też na chwałę pana, nikt rąk nie szczędzi, również nasi kapłani pomagają w robocie, a nie patrzą jeno, by dziesięcinę dostać i kałduny napchać!

Spojrzał wymownie na białe, wypielęgowane dłonie biskupa.

— Bałwochwalstwo! — zakrzyknął biskup! — Przyznałeś się jawnie do bałwochwalstwa! A wiesz, że za to grozi ekskomunika i potępienie wieczne?

W tłumie zaczęły się groźne pomruki, sekretarz coś szeptał z tyłu ostrzegawczo, ale Stanisław Wyzimek zaczął wpadać w szal religijny, pokrewny szaleństwu berserkerskiemu. Nie widział przed sobą ludzi, lecz zgromadzenie wcielonych diabłów, opętańców, którym potrzebne są egzorcyzmy.

A właśnie! Ochłonał nieco na przypomnienie.

— Wasi kapłani — wskazał dłonią w stronę Bożana i Bożyna — obiecali mi, iż będę mógł zabrać z sobą zniewolonych przez was księży! Jeśli tu są, niechaj wystąpią! I egzorcyści z pomocnikami, i wikary Gołąbka...

— Oślepieś? — przerwał mu Włodzisław. — Nie poznajesz mnie?

Biskup dopiero teraz przyjrzał się uważniej kulejącemu mędrkowi w ciemnej, powłóczyściej szacie, dzierżącemu pod pachą zwój pergaminów, z gęsim piórem zatkniętym za ucho.

— Mój Boże — szepnęła, rozpoznając tego człowieka. — Ojciec Szczepan?! To ty?!

— Ninie już nie ojciec, chyba że coś mi się za rok urodzi, bo zamierzam niebawem pojąć małżonkę, gdy czas zrękowin się zakończy, a już na pewno nie Szczepan. Włodzisławem mnie wołają. Innych też mógłbyś rozpoznać, gdybyś się wysilił, a nie tylko zdzierał gardło po próżnicy. Po dawnych imionach ich przedstawię. Tam stoi Gracjan od jezuitów, a tam Jerzy od dominikanów. Gwidon został wygnany za nieobyczajność i kradzieże.

Biskup Wyzimek przełknął ślinę. Rzeczywiście, rozpoznawał znajome twarze, kiedy mu je już ukazano. „Jakże zmienia człowieka suknia zakonna — pomyślał. — W tych gieźlach i parcianych portkach nie wyglądają na poskromicielei zła...”

— A co z wikarym Gołąbką? — spytał jeszcze słabo. Miał nadzieję, że to, co usłyszał od wodnika nie było prawdą.

— A biega po lesie i wyje. — Włodzisław wzruszył ramionami. — Ugania się za taką jedną południcą, która go nawet znać nie chce. Znalazł zajęcie godne swej profesji — dorzucił zjadliwie. — Pamiętam, że chciałeś zeń niegdyś zrobić strażnika wiary, psa łańcuchowego kurii. No to teraz zachowuje się jak pies. Tyle że w rui.

— Tego bym się nie spodziewał — szepnął zdruzgotany biskup.

— Ja też nie — zgodził się były egzorcyista i wykrzywił wargi. — Szybko i łatwo poszła mu przemiana. Aż wstyd, jak łatwo. Widać miał zadatki na pochutliwego zwierza znacznie większe niż na kapłana.

— Tym bardziej trzeba wypalić to miejsce ogniem prawdziwej wiary! — Biskup poderwał głowę, znów wojowniczo potrząsnął pastorałem. Zaczął odzyskiwać formę, powtórnie poczuł napływ szału religijnego. — Jeśli się nie nawrócicie na prawdziwą wiarę, obłożę was klątwą! Miast dziećmi Bożymi staniecie się pomiotem Szatana!

— Pomiotłem to ja piec czyszczę! — krzyknęła żona piekarza. — Ale jak chcesz, mogę i tobie czeluść miotłą przejechać!

Rozległy się śmiechy, lecz nie mogły wytrącić biskupa ze świętego transu.

— Wy, którzy tu przede mną stoicie, przysięgam wam, że wszyscy pójdziecie do piekła!

Sekretarz przełknął ślinę. Nie poznawał chlebowdawcy. O ile na innych ludzi to miejsce naprawdę wywierało szczególne wrażenie, przyciągało ich, o tyle Wyzimek zdawał się reagować odwrotnie — ślełą wrogością.

A to nie mogło się dobrze skończyć. Sekretarzowi to wszystko było obojętne, opanowała go tylko jedna myśl i jedno pragnienie. Uciec stąd, zanim zrobi się gorąco.

Dlatego zaczął wycofywać się rakiem, zdążając ku najbliższym krzakom. Biskup wykrzykiwał swoje, tłumek to się obruszał, to wybuchał wesołością, a on kroczył za kroczeniem oddalał się od całego zamieszania.

I kiedy był już pewien, że się udało i wystarczy tylko błyskawicznie skoczyć w gęstwinę, nagle zatrzymało go coś twardego. Z początku myślał, że natknął się tylną częścią ciała o jakąś wystającą gałąź, lecz kiedy się obejrzał, zmartwił. To nie była gałąź. To była rohatyna, a trzymał ją tęgi osiłek, uśmiechając się zachęcająco.

— Jeszcze krok — powiedział — a obrócę ją grotem w twoją stronę. Na miejsce wracaj, ale już!

— Zlituj się, człeku dobry — jęknął sekretarz. — Ten katabas przywlókł mnie tu siłą prawie, nie chcę mieć nic wspólnego...

— O tym co z tobą będzie, postanowi wiec! — odparł twardo osiłek. — Brzydsko czynisz wypierając się swego chlebowdawcy! I wiedz, że gdyby nie twoja księżowska sukienka, już bym wraził żeleźce wraz z wąsami w twoje zadupie!

— Litości... — Teraz sekretarz już nie jęczał, lecz skomlał.

— Do swego pana! — warknął zbrojny. — I czekaj, co wiec postanowi! A ja już będę miał cię na oku.

Sekretarz zrozumiał, że na nic zda się opór i powlókł się ze spuszczoną głową, by stanąć przy biskupie. Gdy już tam był i uniósł wzrok, napotkał pełne potępienia spojrzenie jednego z kapłanów rodzimowierców.

Rodzimowierców? Tego już nie był pewien. To nie byli jacyś neopoganie, na to zachowywali się zbyt swobodnie i dziwnie lekko traktowali własną wiarę, pozwalając na przemówienia Wyzimka. A może nie tyle lekko, co właśnie z dużą dozą pewności? Neofici mają we zwyczaju rzucać się na każdego, kto spostponuje ich niedawno przyjętą religię. Ci tutaj postępowali tak, jakby się w niej wychowali, przejęli ją z dziada pradziada. To było naprawdę dziwne miejsce. Nawet powietrze zdawało się pachnieć inaczej, oszałamiało, jakby było w nim więcej tlenu, niż w tym, do którego nawykł...

Tymczasem biskup oparcie nawracał.

Uparcie i bezskutecznie. A nawet przeciwskutecznie.

Tłumek przekształcił się już w prawdziwy tłum, pojawiły się nawet wszędobylskie, ciekawskie dzieci.

A biskup zapalał się coraz bardziej. A to, co wygadywał mogło przyprawić o mdłości nawet doświadczoną szefową stołówki studenckiej.

— Kiedy nadejdzie Dzień Sądu znajdziecie się tam, gdzie wasze miejsce! Po stronie przegranych armii na polach Armagedonu! Zostaniecie zepchnięci do otchłani i nie

wyrzycie z niej po wieki. Jeśli się nie nawrócicie, wasze dusze porwą diabły i będą wiecznie je smażyć na piekielnym ogniu.

Ludzie słuchali kazania z coraz większym znudzeniem.

— Nie uważacie, kumie, że straszliwie się powtarza? — Kowalowa trąciła w łokieć rymarza.

— A żebyście wiedzieli, kumo, żebyście wiedzieli. Krąży jak kołowaty, albo i gówno w przerębli. Diabłem jeno straszy i tym swoim potępieniem. A co to ja jestem zbrodzień jaki, żeby tak do mnie gadać?

Biskup wzniósł głos wyżej.

— A kto nie usłucha wołania Pana Naszego, który przemawia moimi ustami, ten niechaj się litości nie spodziewa! — zapalał się coraz bardziej.

— Jak na mowę miłości i miłosierdzia to całkiem nieźle — mruknął Bożan.

— Prawdziwy misjonarz głoszący pokój — odparł Bożyn. — Co z nim zrobimy?

— Co ludzie postanowią. Jak zwykle. Na razie niech jeszcze sobie powrzeszczy, chociaż nie wiem, czy nie zaczyna przesadzać.

Stanisław Wyzimek patrzył na ludzi z wysokości cebra, ledwie o głowę nad nimi górując, ale zdawało mu się, jakby unosił się pod koronami drzew, jakby mógł ogarnąć ich wszystkich ramionami i przygarnąć do ojcowskiej piersi lub cisnąć piekielnym drapieżcom na pożarcie.

— Jesteście niczym! — zawołał wielkim głosem. — Mierzwą pod stopami Pana i mierzwą pod moimi stopami. Gdy zechcę wyniosę was ku niebiosom, gdy brew skrzywię, zepchnę was w bezdenną przepaść! Nic nie znaczący w obliczu Stwórcy i nic znaczyć nie będziecie! Proch z was jeno i gnój pozostanie!

Zamilkł nagle, bo napotkał wzrok jednego z żerców. Tego, który wydawał się przywódcą. I nie było to życzliwe spojrzenie.

— Czy on nas aby nie obraża? — spytał ktoś w ciżbie.

— Obraża! A jakże! — odpowiedział drugi.

I w tej chwili tłum ruszył. Zanim biskup zdążył cokolwiek zrobić, został otoczony ze wszystkich stron, porwały go liczne ręce.

— Zostawcie mnie, niewierni! — ryknął. — Nie wolno wam dotykać szat świętych, gniew Boży was dosięgnie...

Lecz ludzie nie zwracali uwagi na jego krzyki. Nieśli go w stronę jeziora.

— No to chyba wiec nie będzie potrzebny — mruknął Bożyn.

— Na to wygląda — zgodził się Bożan.

— Nie powinniśmy ich powstrzymać?

— Kto sieje wiatr, zbiera burzę — wzruszył ramionami Bożan. — Na wiecu i tak ustalą to samo.

— Puszczajcie! — wydierał się biskup. Próbował kopać, bił na oślep rękami, gryzł nawet. Bezskutecznie.

— Do jeziora z nim! — słychać było krzyki. — Rybomił go nauczy...

A opodal brzegu z wody sterczał już niepiękny łeb wodnika. Witął nowego ucznia z szerokim uśmiechem, szczerząc omszałe zęby.

— Dajcie mi go! — huknął na całe gardło. — Ja go nauczę! Pozna, co znaczy los podwodniczego i opiekuna Wielkiego Suma!

Władco jeziornych toni
Przyjm obiadę z wdzięcznych ci rąk
Czci ci przyda, nie zaś uroni.

Rozległ się śpiew, a potem śmiechy, kiedy kilku mężczyzn weszło z biskupem do jeziora i rzuciło go w stronę wodnika. Plusnął ciężko, rozbryzgując dookoła krople prawdziwym deszczem. W ciężkich szatach, które natychmiast nasiąkły wodą próbował brnąć do brzegu, lecz nim uczynił trzy kroki, już na jego karku wylądowała zimna łapa Rybomiła.

— Pójdź do mnie, gołąbeczku, a rybkę z ciebie uczynię — rzekł.

A potem skoczył do tyłu, ciągnąc dostojnika, błysnęły w słońcu brylanty grubych kropli, podążających łukiem za wodnikiem i strugi wody lejącej się z szat duchownego. Imponujący to był skok, zakończony bodaj pośrodku jeziora.

— Zabiliście go — wyszeptał pobladłymi wargami sekretarz.

Stał jak skamieniały. Pragnął uciec, lecz nie potrafił wykonać najmniejszego ruchu.

— Nic mu nie będzie — powiedział Bożyn, który usłyszał, co mówi Roman. — Rybomił surowy jest, ale sprawiedliwy. A jeśli biskup nie zechce zostać w jego służbie, kiedy minie przepisany na pokutę czas, pójdzie w swoją drogę.

— Mordercy! — wrzasnął sekretarz, nie słuchając, co ma do powiedzenia kapłan.

— Co z nim zrobimy? — spytał Bożyn, wskazując sekretarza. — Na razie chyba trzeba go zamknąć?

— Tak, do klatki z nim — zgodził się Bożan. — Jutro zwołamy wiec, kiedy już umysły ostygną i wtedy podejmiemy decyzję.

— Mordercy! — darł się ksiądz. — Zbrodniarze! Mnie też zabijecie?

Bożan podszedł do niego, uderzył go otwartą dłonią w twarz.

Nieprzyzwyczajony do takiego traktowania duchowny zamilkł.

— Jeśli będziesz tak piłował twarz — powiedział kapłan — rozważymy taką możliwość. A na razie zawrzyj pysk i do klatki. Nie podobasz mi się, człeku, lecz to nie powód, by cię od razu wieszać na pierwszej gałęzi. Chyba że mnie doprowadzisz do pasji.

Kiedy dwaj tędy pacholki odprowadzali sekretarza, Bożyn mruknął:

— Myślałby kto, że jesteś taki groźny. Wszyscy wiedzą, żeś łagodny bez mała jak Duszek Szuwar.

— Ale on o tym nie wie. — Bożan wskazał ruchem brody księdza. — Dlatego mam nadzieję, że będzie siedział cicho.

Rozdział 8

— Nie żartujesz, prawda? — spytał Sargens. — Naprawdę doszedłeś do takich wniosków?

— Nie żartuję. — Wazulin potrząsnął głową. — Może to karkołomne wytłumaczenie, ale wedle znanej ci zapewne doskonale zasady Sherlocka Holmesa, jeśli odrzucimy to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. A ty do jakich doszedłeś rozwiązań?

— Bardzo podobnych — mruknął kapitan. — Nie tylko ja, bo cały zespół. Wychodzi na to, że faktycznie mamy do czynienia z anomalią czasową...

— A nie czasoprzestrzenną? — uśmiechnął się krzywo Rosjanin. — Przecież to nie musi być ten sam obszar.

Sargens oblizał wargi, przez chwilę rozważał, czy powinien informować stronę przeciwną. Kiedy spotkali się po raz pierwszy tydzień wcześniej, zakończyli rozmowę właśnie w tym miejscu. Doszli do punktu, w którym nie mogli sami zdecydować, ile jeszcze wolno im powiedzieć. Teraz wciąż to było nieoczywiste, ale kapitan uznał, że trzeba chociaż trochę zaryzykować, nie latać ze wszystkim do przelozonych.

— To jest ten sam obszar — powiedział. — Wy możecie jeszcze nie mieć informacji, ale został stamtąd wyrzucony jeden z ludzi Episkopatu Polski. Wszystko się zgadza z danymi — i ukształtowanie terenu, i nazwa jeziora. To zaburzenie czasowe.

— Gdyby tak było — zaproponował major — powinno mieć strukturę kolistą. Punkt zaburzenia wywołuje fale wokół... Jak kręgi na wodzie.

Sargens potrząsnął głową.

— Wychodzisz z założenia, że czas ma stałą strukturę. A kto tak powiedział? Jakie są na to dowody? Tylko nasza ludzka intuicja. Obszar jest nieregularny i w taki właśnie sposób się zwiększał przez pewien czas, bo w ostatnich tygodniach uległo to zahamowaniu. Zupełnie jakby czynnik wywołujący zaburzenie ustabilizował oddziaływanie.

— Ale sam przyznasz, że to musi mieć konkretne, punktowe źródło! Na podstawie obliczeń zdołaliśmy ustalić...

— Myśmy też zdołali to ustalić — wpadł mu w słowo Amerykanin. — Środek geometryczny anomalii przypada dokładnie w tym punkcie.

Podszedł do dużej mapy terenu i stuknął palcem w jezioro. Nie w centrum akwenu, ale miejsce wysunięte na północny zachód.

— Sprawdziliśmy, że tutaj została zanotowana największa głębina tego zbiornika. Co najmniej siedemnaście metrów. Coś tam jest na dnie, albo pod dnem. Nic o tym nie wiecie? Na pewno?

Wazulin pokręcił przecząco głową, zachowując kamienną twarz, ale zdawał sobie sprawę, iż interlokutor mu nie wierzy.

— Majorze — powiedział łagodnie Amerykanin — my też eksperymentowaliśmy z czasem i przestrzenią. Jesteśmy na przykład pewni, że w trakcie jednego z eksperymentów wysłaliśmy cały okręt nie wiadomo dokąd. A raczej do nie wiadomo kiedy. I wcale nie w czasie prób z przenoszeniem się w czasie, lecz przy eksperymencie z teleportacją. Manipulując przestrzenią wpływa się na czas, choć w kierunku przeciwnym to

oddziaływanie wcale nie jest takie oczywiste. Dlatego sądzimy, że w interesującym nas obszarze mamy do czynienia z anomalią czasową, lecz z wyłączeniem przestrzeni. Gdyby zniekształceniu uległa czasoprzestrzeń, w tym miejscu znajdowałoby się zupełnie coś innego, niż się znajduje.

— Co niby? — spytał nieco zaczepnie Wazulin. Nie miał podstaw, aby podważyć rozumowanie kapitana, ale postanowił pociągnąć go jeszcze za język.

— Nie wiem. Nikt nie wie. Może nic by się nie zmieniło, a może powstałaby jakaś zona, jak wy to lubicie w Rosji nazywać. Ale tam jest ewidentnie łagodne przejście czasowe. Istnieje ściśle określona granica między naszą teraźniejszością a teraźniejszością tego terenu, ale jej przekroczenie nie wiąże się z żadnymi doznaniem. Tyle że z miejsca zawodzą nowoczesne urządzenia, głównie elektronika, bo rozwiązania mechaniczne działają, nawet zegarki ze zwykłym werkiem.

— Tak, wiem, również to sprawdziliśmy — odparł Rosjanin. — Nie będę owijał w bawełnę. Myślę, że masz sporo racji z tym, iż to anomalia czasowa. Lecz to nie wyjaśnia innych zjawisk. Takich jak działanie tam jakichś zjawisk, delikatnie rzecz ujmując, paranormalnych. Chyba nie wierzysz, że tysiąc czy więcej nawet lat temu zamieszkiwały w lasach południce, boginki, leszy, a w jeziorach i rzekach wodniki?

— I to jest problem — mruknął Amerykanin. — Bo jeśli nasi informatorzy nie zwariowali, to znaczy ci, którzy w ogóle wrócili, rzeczywiście trudno to wyjaśnić na gruncie twardej fizyki.

Wazulin milczał przez chwilę, widać było, że znów siłuje się ze sobą, czy może powiedzieć, co go dręczy.

— Mów! — Sargens widząc jego wahanie nie polał kawy ani herbaty. Podeszedł do szafy w przeciwległym rogu, wydobyl stamtąd butelkę „Stolicznej” i dwa duże kieliszki. — Jeśli słusznie się domyślam, co chcesz powiedzieć, muszę się napić, inaczej tego nie przełknę.

Major pokiwał głową.

— Na pewno wiecie, że pracowaliśmy nie tylko nad strukturą czasu — rzekł. — Jest taka książka Borysa i Arkadija Strugackich „Poniedziałek zaczyna się w sobotę”. I w niej można znaleźć motyw podróżowania nie tyle w samym czasie, co... — zamilkł, przełknął ślinę.

— Co w rzeczywistościach literackich, tak? — pomógł mu Amerykanin. — Czytałem. Bardzo smaczny opis funkcjonowania takiego wehikułu tam się znajduje. Ale to tylko fantastyka naukowa, i to z przymrużeniem oka! Chcesz powiedzieć, że badaliście tę sferę? Po co?

— Nie znam szczegółów, ale to jakoś samo wyszło. Z tym, że nie podejmowano prób z literaturą, bo to oczywiście wykluczone. Ale z mitologią...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Sargens wypił wódkę jednym haustem, wprawiając majora w mimowolny podziw.

— Mitologie tkwią głęboko w ludzkiej psychice — wyjaśnił major. — Na tyle głęboko, by w czasach, kiedy funkcjonują wpływać również na rzeczywistość. Wiesz, chodzi o takie zjawiska, jak cuda, niesamowite wydarzenia, lęki, którym się człowiek poddaje. W każdym czasie są inne, choć mają pewne punkty zbieżne...

— Czekaj, przerwa! — Sargens uniósł obie ręce, jakby w geście poddania. — Muszę to sobie najpierw dobrze przemyśleć, zanim przejdziemy do jakichś konkluzji.

— Znów przerwa na tydzień?

— Nie, najwyżej do jutra. — Amerykanin wskazał butelkę. — A teraz może się porządnie napijemy? Tak poza protokołem. I bez rozmów na tematy służbowe. Co najwyżej możemy obgadać przełożonych.

Wazulin roześmiał się.

— Doskonały pomysł! Ale jeśli chcesz mnie po prostu upić i wyciągnąć jakieś informacje...

— Daj spokój! — przerwał mu Sargens. — Amerykanin upijający Rosjanina? Zwariowałaś?

Obaj wybuchli śmiechem.

*

Wiec zebrał się przed wieczorem. Zjawili się tylko dorośli, dzieci zostały w domach, pod opieką starszego rodzeństwa, niemającego jeszcze głosu w radzie.

Sekretarz biskupa czuł w gardle rosnącą gulę, kiedy patrzył na milczących ludzi. Byli o wiele bardziej przerażający niż wczoraj, kiedy rzucili Jego Ekscelencję na żer wodnikowi. Wówczas to była żadna zemsta za obrazę tłuszczu, dziś surowe oblicza wyrażały skupienie. Wszyscy czekali na to, co powie ich przewodnik duchowy.

Ksiądz Roman drżał cały na myśl, co mogą z nim uczynić. Ten ich cały Bożan wydawał się typem nieprzystępnym i nieprzejednanym. Chyba by już wolał, żeby zgromadzeniu przewodniczył ten drugi, Bożyn. Wyglądał na mniej przejętego swoją funkcją.

Bożan wyszedł z gontyny, w której przygotowywał się do prowadzenia wiecu.

— Witajcie, mili! — zaczął. — Zgromadziliśmy się tutaj, aby zdecydować, co nam czynić wypada względem owego człeka, który przybył wraz z biskupem!

— A co tu długo się namyślać! — zawołał kowal. — Dajcie go też do wodnika, niech swojemu panu towarzystwa dotrzyma.

Bożan już miał odpowiedzieć, kiedy przy brzegu zabulgotało, woda spieniła się i wynurzył się Rybomił.

— Słyszałem! — oznajmił bulgocząc. Sekretarz przysięgłby, że poprzedniego dnia przy ognisku w lesie mówił normalnie. — Jezioro to nie śmietnik! Odchodów proszę mi nie wrzucać! Wyciągnąłem to i owo od nowego podwodniczego Stanisława, jeśli idzie o jego pomagiera i oświadczam, że go nie przyjmę!

Ksiądz Roman odetchnął z ulgą. Wody zawsze się bał i nigdy nie wchodził do jeziora, rzeki czy morza powyżej kolan. Gdyby ci poganie wiedzieli, jaka była by to dla niego kara znaleźć się w toni... Zaraz! On powiedział, że wiadomości uzyskał od Wyzimka?! Czy to znaczyło, że biskup żył?!

Zapatrzył się na wodnika, na jego zieloną skórę, włosy przypominające wodorosty, a przede wszystkim skrzela, które choć już się zamknęły, to zaraz po wynurzeniu błyskały różowo. No tak, skoro taki potwór zamieszkiwał to jezioro, wszystko było możliwe.

— Że wstrętny to człek, wiadomo od pierwszego rzutu oka — rzekł Bożan. — Lecz może ktoś go zechce wziąć na wychowanie? — Spojrzał po zgromadzonych. Odpowiedziało mu milczenie.

Pomocnik biskupa nikomu się nie spodobał. Od poprzedniego dnia do dzisiejszego popołudnia chyba wszyscy przyszli do dużej klatki z leszczynowych prętów, w której siedział, aby go obejrzyć. I każdy odchodził pełen niesmaku po spojrzeniu w cyniczne oczy

jeńca. Nawet strach nie był w stanie zamaskować tego, co się w nich kryło.

— Nikt? — spytał Bożan. — Co więc z nim zrobić?

— Wygnać! — zawołała jakaś kobieta. — Po co nam taki?

I znów żercy przerwało mu niespodziewane wydarzenie. Z tyłu świątyni zaszeleściły nagle krzewy, na polanę wypadła zwiewna niewieścia postać. Rozejrzała się, spłoszonym spojrzeniem obrzuciła wiec, po czym przebiegła kawałek, skręciła w prawo i zniknęła w gęstwinie.

A z kierunku, z którego przybiegła już doleciał ciężki tupot i głośnie sapanie. Za chramem ukazał się czarniawy zwierz, zgarbiony, lecz biegnący na dwóch nogach.

— Gołąbka — mruknął Bożyn.

Sekretarz biskupa wytrzeszczył oczy na stwora. Musiał włożyć sporo wysiłku, żeby rozpoznać rysy dawnego towarzysza seminaryjnych nauk w brudnej, zaślinionej twarzy. Ze zdumieniem i pewnym zgorszeniem skonstatował, że wikary jest całkiem nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, która w zasadzie i tak nic nie przykrywała, tak była postrzępiona.

Dyszący stwór zatrzymał się, spojrzał na ludzi.

— Gdzie pobiegła? — wydyszał chrypiącym barytonem.

— Tam! — Ludzie zgodnie wskazali w jego lewo.

Były wikary obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem przekrwionych oczu i pognął dokładnie w drugą stronę.

— Następnym razem trzeba mu wskazać prawidłowy kierunek — mruknął Bożan. — Wtedy może biedaczka zazna chociaż chwili spokoju.

Pod sekretarzem ugięły się kolana. Jeśli taki twardy katabas jak Gołąbka dał się złamać temu miejscu, zamieniając się w opętaną żądzą bestię, jaki los czekał jego?

— Co ze mną będzie, jeśli mnie wygnacie? — spytał cicho Bożyna.

Kapłan spojrzał na niego z odrazą.

— Możesz wówczas pójść, dokąd zechcesz, byleś zniknął nam z oczu.

— Odprowadzi mnie ktoś do granic tego obszaru? Żeby mnie jakiś stwór nie skrzywdził?

— Nie wiem. — Bożyn potrząsnął głową. — To zależy od wiecu.

A Bożan westchnął ciężko, uniósł ręce uciszając ludzi, których niezmiernie rozweselił widok wikarego ścigającego południcę.

— Mamy zdecydować, co uczynić z tym tutaj kapłanem, pomocnikiem obecnego podwodniczego Stanisława! Radźcie!

— A co ty byś zrobił, żercu? — spytał rymarz.

— Ja, Bogumile, chyba oddałbym go na cztery tygodnie leszym.

Sekretarz zmartwiał. Nie bardzo wiedział, o co może chodzić, ale sama nazwa tych istot brzmiała nieprzyjemnie. Kojarzyła się z lasem, a tego też nie lubił, choć może nie tak, jak wody.

— Leszym? A dlaczego właśnie im?

— Bo, jak sami wiecie, leszy są istotami bezwzględny, lecz zawsze postępują zgodnie z prawem ich natury. A ten tutaj jest również bezwzględny, o czym świadczy choćby to, że chciał wczoraj opuścić swego o wiele dzielniejszego towarzysza, lecz zachowuje się wbrew prawom, które sam powinien wyznawać. Może się od nich czegoś nauczyć?

— A co z nim potem będzie? — spytał ktoś z tyłu.

— To już będzie zależeć od niego. Jeśli zechce, odejdzie, a sami opiekunowie dostarczą go na granicę. Jeśli postanowi zostać, przyjmimy go za swojego. Jak wszystkich innych.

— Ja bym go rzucił do wody! — upierał się kowal.

— A ja bym od razu wyгнаła! — zawołała ta sama kobieta, co przedtem.

Lecz inni ich zakrzyczeli.

— Słusznie powiada kapłan, widać, że mądrość i dobroć Gościuna przez niego przemawia!

— Do leszych tego gałgana! Ci potrafią dopiec takim ciastochom!

— Jeno potem nie wypuszczać, bo po świecie zacnie łązić i buty nam szyć! — krzyknął ktoś zapobiegliwy.

Bożan znów uniósł ręce, a ludzie powoli się uciszyli.

— Głosujmy! — zawołał kapłan. — Kto jest za tym, aby go w wodę cisnąć, nawet wbrew woli Rybomiła?

Uniosła się jedna ręka. Oczywiście kowala.

— Kto chce, aby go wyгнаć bez zwłoki?

Tym razem podniosło się kilkoro rąk.

— A kto uważa, że najlepiej będzie go dać w termin leszym?

Tu zgoda była powszechna.

— Zatem postanowione!

Bożyn na znak pierwszego żercy przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i wydał długi, dziwaczny głos.

Przez chwilę nic się nie działo, ale potem w koronach drzew coś zaszleściło, a po pniach głowami w dół zeszły cztery postacie. Miały skórę barwy kory, skołtunione włosy i potargane brody. Wyglądali trochę jak ludzie, ale kojarzyli się też z dzikimi drapieżnikami w rodzaju rysia. No i mieli długie ręce, prawie sięgające ziemi, żyłaste i umięśnione.

Bożyn chrząkał coś do nich przez dłuższą chwilę, wskazując na sekretarza.

Ten był tak przerażony, że tylko się skulił i czekał. Cztery tygodnie wśród tych dzikusów? A może miał im posłużyć tylko za pokarm? Kto wie takich pogan?

Kiedy kapłan skończył, największy z leszych zawarczał, a jego towarzysze porwali z ziemi zwiniętego w kłębek księdza.

— Nie uczynią ci krzywdy, tylko ich nie rozsierdzaj! — zawołał jeszcze za nim Bożan, kiedy jęczącego unieśli między drzewa.

Bożyn rozejrzał się.

— Mrok już zapada — mruknął. — Wiele się od wczoraj zdarzyło. Może zarządzić dzisiaj świętowanie? Niech ludzie trochę się zapomną w zabawie.

Bożan spojrział w stronę świątyni. Gościun, oświetlany z dołu przez wieczny ogień uśmiechał się jak zwykle, lecz żerca wyraźnie dostrzegł, jak błysnęły mu oczy.

— Tak, urządzmy ucztę.

Zwrócił się do ludzi.

— Dziś pan lasów, pól, łąk i jezior chciałby, abyśmy się weselili. Pójdźcie więc do domów, przynieście co kto ma na wspólną wieczerzę.

— A opowieść będzie? — zapytał natychmiast bławatnik.

— Będzie! — odparł Bożan. — I dziś przedstawi ją Radosław! Słyszałeś, Dębie?

— Tak, źerco! — odkrzyknął zapytany. — A właśnie wczoraj nową wysnułem, kiedym patrzył, jak wodnik bierze w swe władztwo owego niefortunnego kaznodzieję!

Po chwili tłum się rozplynał, aby po upływie krótkiego czasu zebrać się z powrotem, tym razem już całymi rodzinami.

Zaś kiedy wszyscy już najedli się i napili, Radosław Dąb rozpoczął opowieść.

Wodnik i Dobromiła

— Hej, pójdz tu do mnie który!

Wodnik Rybomił usiadł na łożu z wodorostów. Poblask wschodzącego księżyca leniwie przesączał się przez zieloną toń. Wodnik ziewnął, skubnął brodę. Lubił nocą wyjść ze swej siedziby podwodnej na brzeg, by patrzeć na nocne niebo, szczególnie w październikowej porze, kiedy gwiazdy są urzekające jak nigdy.

— No jest tam kto?! Długo będę czekał?

W tej chwili przypłynął służebny podwodniczy.

— Jużem myślał, Miguła — mruknął Rybomił — że znowu cię poniosło gdzie w szuwały. Żeby dorosły podwodniczy nie miał nic lepszego do roboty jak wybierać kaczkom jajka... Wiem, wiem — machnął ręką — nie tłumacz się. Podaj lepiej odzienie. Wyjdę dziś na brzeg. Noc jaka?

— Chłodna i wilgotna, panie — Miguła z szacunkiem pochylił głowę.

— To tak, jak lubię — Wodnik uśmiechnął się zadowolony. — Chłodna i wilgotna — powtórzył mrużąc z lubością oczy. — W sam raz dla moich kości. Łamie mnie w nich ostatnimi czasy, bo lato długie było, zbyt suche i gorące. A teraz spokój taki. I ludzi żadnych nad wodą o tej porze.

— No właśnie — chrząknął niepewnie podwodniczy. — Co do tych ludzi... Obawiam się jednak, że właśnie...

— Co znowu? Miguła, czy ty zawsze musisz przynosić złe wieści? Ile razy masz służbę, tyle razy dzieje się coś niedobrego!

— Nie moja wina. — Służący rozłożył ręce w bezradnym geście. — Takie mam już pieskie szczęście. Zawsze tak było. Nawet wtedy, kiedy raczyliście mnie utopić, nie na moją przeciw osobę się zasadziliście przy pomocy! Pamiętacie, Wodniku?

— A tak. Zgadza się. Pechowy z ciebie pachołek jak rzadko. No dobrze, co tym razem?

— Niewiasta jakowaś stoi na brzegu i wzywa was... A właściwiej byłoby rzecz wyzywa, bo wyraża się o was najgorszymi słowy!

— Wiadomo choć, o co jej chodzi?

— O to, co zwykle. Utopiliście jej męża czy tam jakiegoś ukochanego.

Wodnik westchnął ciężko.

— Czy ci ludzie nigdy się nie nauczą?... Niech sobie wyzywa. Znudzi się i pójdzie, a ja wtedy sobie wyjdę na brzeg.

— Oj, nie wiem — odparł pachołek z powątpiewaniem. — Na wielce rozsierdzoną wygląda, ognia skrzesala i drew naznosiła. Widzi mi się, że tak prędko nie da spokoju.

Wodnik westchnął jeszcze ciężej.

— No to nie wyjdę dzisiaj. Trudno. Nie mam ochoty swarzyć się z babą. Chociaż z drugiej strony...

Rybomił mruczał coś do siebie przez chwilę, rozważał, w końcu odezwał się:
— Do biesa, gotowa mi tu co dzień przyłazić. Nie pozostaje nic innego, tylko...

Dobromiła dorzuciła drzewa do ogniska. Zachrypła już całkiem od krzyku, a Utopiec nie przybywał. Nawet bać się przestała, choć kiedy tu szła, zdało się jej, że dusza wrywa się z ciała niczym zając z sideł. Może i prawda, co mówią poniekąd, że nijakich wodnych duchów nie ma, a wszystko, co o nich powiadają to tylko głupie gadanie? Stała nad brzegiem, przez chwilę patrzyła w czarną toń. W świetle księżyca wyglądała jak bezdenne otchłań, prowadząca wprost do piekła... Wstrząsnęła się i przeżegnała tak, jak ją nauczył kapłan nowej wiary.

— Wynijdź tu do mnie, zmoro wodna! — krzyknęła. Echo poniosło się nad gładkim lustrem jeziora i powróciło po chwili wyraźnym pogłosem. — Boisz się słabej niewiasty, zielone straszdyło?! Wrócę ja do wsi i rozpowiem jako cię to strach obleciał przed babskim gniewem, ty... ty... czarci synu!

Echo powróciło, odbiło się kilka razy od brzegów i zamilkło. Ciszę mącił tylko szum wiatru w koronach drzew. Dobromiła pokręciła głową. Na nic czekanie...

W tej chwili opodal miejsca, w którym stała, woda zagotowała się, zapieniła i zniecka pojawiła się jakaś postać. Była wzrostu i wyglądu człowieka, tyle że dziwacznie odziana w zwiewną koszulę i wielki kapelusz.

— Teraz to już powiedziałaś za wiele! — dobiegł głęboki, nieco bulgocący głos. — Mnie, m n i e nazwać czarcim synem!

Postać szybko zbliżała się do zamarłej z przerażenia Dobromiły.

— Ktoś ty? — wyszeptała pobladłymi wargami.

— Kto? Najpierw mnie przez pół nocy wzywasz i wyzywasz, a teraz pytasz, kto jestem?

Kobieta cofnęła się w krąg światła rzucanego przez ognisko. Poczuli się tutaj nieco bezpieczniej. Utopiec powinien trzymać się od niego z daleka. Tymczasem przybysz bez cienia strachu podszedł, rozsiadł się i swobodnym gestem dorzucił gałąź do ognia.

— Siadajże — mruknął. — Pogwarzymy.

Pod Dobromiłą ugięły się nogi, ciężko klapnęła na ziemię. Spodziewała się ujrzeć jakiegoś potwora, podobnego do tych z opowieści starego Żegoty, który dawnymi czasy pływał z wikingami na łupież i wiele dziwadeł na morzu widział, a tymczasem miała przed sobą kogoś, kto różnił się od zwykłego człowieka tylko zielonkawym kolorem skóry i dziwnym przybraniem.

— Czego ode mnie chcesz, kobieto? — Rybomił cofnął nogę, bo jakaś iskierka upadła tuż obok jego stopy. — Po co mnie wołasz?

Dobromiła nabrała głęboko powietrza, przemogła lęk.

— Męża mi oddaj! — głos jej się załamał i zamiast groźnego rozkazu wyszło żalosne piśnięcie.

— Ach, tak! Męża, powiadasz? Słyszysz, Miguła? — Wodnik zwrócił się do kogoś, kogo kobieta nie widziała. — Oddamy jej męża?

— E — odezwał się z ciemności głos. — Nie po to najpierw topimy, żeby potem zaraz oddawać!

— Racja, Miguła. I ty nawet raz w roku powiesz co mądrego. Słyszałaś, niewiasto?

— Oddaj mi męża, Utopcu! — tym razem ton głosu był bardziej zdecydowany.

— Utopcu? — Rybomił skrzywił się niechętnie. — Wiem, że lud i tak o mnie mówi. Jednak ja nie lubię tej nazwy. Jest taka jakaś... nieprzyjemna. Jakbym tylko wciąganiem w wodę się parał. Wodnikiem jestem! Topienie to tylko jedno z moich zajęć, a i to nie najważniejsze. Miguła, podejdź tutaj.

W kręgu światła pojawił się człowiek... Człowiek? Dobromiła przetarła oczy. Był jeszcze bardziej zielony niż Wodnik, a między palcami u rąk miał... tak — błonę zupełnie jak kaczką.

— Co mamy z nią zrobić? Jak radzisz, Miguła?

Przybyły zamyślił się, poskrobał po głowie.

— A może... — uśmiechnął się przebiegle. — Może by tak ją utopić i spokój?

— Czyś ty oszalał, Miguła? — Rybomił pozieleniał ze złości. — Dałby mi Gościun! Toż do następnej pełni nie wolno nam więcej niewiast brać! A i chłopów nie więcej niż dwóch! I to ledwo wyblagałem, bo w ogóle chciał na jesieni wszelkiego topienia zakazać! Z takimi radami to ty możesz sobie iść do głupich, nie do mnie!

— A bo wtrąca się wam ten Gościun bez ustanku — mruknął Miguła. — Wasza dziedzina w jeziorze i nic mu do niej!

— Ty uważaj, co mówisz, marny robaku — Wodnik, o ile to możliwe, pozieleniał jeszcze bardziej. — Wie Gościun, co robi i nie tobie go sądzić! A będę miał do niego żal, z Trzygławem albo i Światowitem samym o tym pogadam, a nie z byle pacholem, co ledwo dwa roki temu jeszcze po ziemi chodził i ziemię orał! I bacz, żebym cię za takie słowa w zwykłą rybę nie zamienił! Mądrała się znalazł!

Podwodniczy skulił się ze strachu i spod opuszczonych powiek spoglądał na rozgniewanego władcę toni.

— Wychodzi na to, że spokojnie do domu pójdziesz — Rybomił zwrócił się do niewiasty. — A nad jezioro więcej nie przyłaż, bym cię przy pierwszej okazji nie wciągnął..

— Nigdzie nie pójdę! Męża chcę z powrotem!

— Posłuchaj — w głosie Wodnika zabrzmiało zniecierpliwienie. — Utopić cię dzisiaj nie mogę, to prawda, ale mam możliwość przemienić cię na pewien czas, nawet na rok czy dwa, w jakiegoś wodnego stwora. Tego byś chyba nie chciała?

— Wszystko mi jedno — Dobromiła przymknęła oczy. — Zamieniaj w co chcesz, ale zwróć męża. Ważniejsze mi, by wrócił, a zemną niech się dzieje, co chce!

— Tak mówisz? — Rybomił zapatrzył się w ogień. — Tak mówisz... — powtórzył ciszej po chwili. — A gdyby ci przyszło służyć u mnie zamiast twego męża? I to po kres dni? Jeśli go uwolnię, muszę znaleźć kogoś w jego miejsce. Takie są nasze prawa.

Dobromiła uniosła dumnie głowę.

— Może i tak być, byłem go uratowała!

Rybomił długo patrzył na niewiastę.

— Młoda jeszcze jesteś i urodna, życie przed tobą, a ty chcesz je poświęcić... Musisz go mocno kochać — mruknął. — Ale nie wiesz, co to służba u mnie. I jaka może być ciężka. Zastanów się jeszcze, bo gdy cię wezmę w toń, nie będzie odwrotu.

— Trudno. — Kobieta zacięła usta w wąską kreskę. — Bierz mnie, a zwolnij Bogudara!

— Dobrze! — zdecydował Wodnik. — Wiedz tyle, że służyć będziesz przy legowisku Wielkiego Suma, który strzeże w głębinie Serca Lasu! To ciężka praca, a i Wielki Sum

potrafi życie porządnie obrzydzić!

Dobromiła skłoniła pokornie głowę.

— Dzięki wam, panie wodniku za tę łaskę — powiedziała cicho.

— Nie łaska to żadna — rzekł niecierpliwie Rybomił — o czym sama się niebawem przekonasz. Zrobimy jednak na początek nieco inaczej. Na próbę tylko cię wezmę. Jeśli w ciągu miesiąca od jutrzejszego dnia licząc nie zmienisz zdania pracując przy Wielkim Sumie, twój Bogudara uwolnię, a ty przy strażniku Serca Lasu po kres dni w służbie pozostaniesz. Jeśli zaś się rozmyślisz, odejdiesz wolno, a małżonek u mnie ostanie.

— Dzięki wam...

— I przestań dziękować! — zirytował się Wodnik. — Tym ciężiej ci będzie, że daję wybór! Sama zobaczysz! Miguła, zaprowadź Dobromiłę do topielic, niech ją przygotowują i pouczą jak obsługiwać ma Wielkiemu Sumowi.

Wielki Sum zajmował swym cielskiem bez mała piątą część dna w najgłębszej otchłani wód jeziora. Spoczywał na Sercu Lasu, tajemniczym i cudownym kamieniu, którego nikt poza Wodnikiem i samym Gościunem oglądać nie mógł. Nie spał nigdy i nie ruszał się ze swego legowiska, a usługujące mu istoty wodne musiały dbać, by zawsze był syty, a jego lśniąca skóra wyczyszczona i wypielęgnowana. Huk też roboty służba miała do wykonania każdego dnia i każdej nocy oka nie mogąc zmrużyć nawet na moment, aby się na gniew strażnika Serca Lasu czy samego Wodnika nie narazić.

— Jak chcesz, Rybomile — zamruczał głębokim basem Wielki Sum. — Dopiekę tej niewieście najbardziej jak umiem, a sam wiesz, że potrafię być złośliwy. Choć szkoda mi jej, prawdę rzekłszy, bo wielkie musi być w niej serce, gdy się za męża poświęciła...

— O tym właśnie chcę się przekonać, Wielki Sumie — odparł Rybomił. — Jestem pewien, że niebawem Dobromiła poprosi o uwolnienie. Byleś tylko dojadł jej jak potrafisz najlepiej.

— Jak chcesz, mój przyjacielu — Wielki Sum leniwie poruszył ogromnymi wąsami. — Jak chcesz...

— No i jak tam nasza nowa topielica, Leszczyk? — spytał tydzień później Rybomił usługującego mu w tym dniu podwodniczego — Nie chciała rozmawiać ze mną?

— Na oczy ledwo patrzy, panie — odparł Leszczyk. — Daje jej roboty Wielki Sum nad siły, a ona spełnia wszystko bez szemrania. A i Miguła dokłada jej od siebie jak może. Ona zaś nic. Twarda jest...

— Do czasu — mruknął Wodnik. — Miesiąca nawet nie strzyma.

Minął jednak następny tydzień i jeszcze jeden, a Dobromiła nie przyszła prosić o zwolnienie ze służby. Wezwał ją wreszcie Rybomił. Zmizerniała bardzo, a z jej oczu przebijało ogromne znużenie.

— Niewiasto — powiedział Wodnik — niebawem minie czas twojej próby i na wieki pozostaniesz w głębinie, w mojej mocy. Chcesz takiego losu dla siebie po kres swoich dni?

Dobromiła podniosła na niego wpadnięte ze zmęczenia oczy i odparła cicho:

— Nie jest tak źle, panie.

— Nie jest źle?! — wykrzyknął zdumiony. — Co ty opowiadasz, kobieto? Czyżbyś postradała rozum? Wiem ja dobrze, jak potworna jest służba u Wielkiego Suma!

— Wytrzymam — szepnęła. — Dla mojego Bogudara wytrzymam.

Rybomił pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Nie wiem, czy twój mąż gotów byłby wzajem dla ciebie na takie poświęcenie...

— To nieważne. Ja jestem...

— No cóż. Masz na zastanowienie jeszcze tydzień i cztery dni. Przyjdę wtedy do ciebie i zapytam. A teraz idź się przespać — powiedział, zdjęty nagłym współczuciem. — Bo z nóg lecisz.

W tej chwili poniósł się w wodzie głuchy głos.

— Nie czas mi na to. Wielki Sum wzywa.

— Spać idź — rozkazał Wodnik. — Kto inny do niego pójdzie.

— Nie czas mi spać — powtórzyła z uporem. — Na mnie kolej jedzenie mu podać...

— Jak sobie chcesz, niewiasto...

Trzy dni potem do komnaty Wodnika wpadł Miguła.

— Panie mój — zawołał od progu — stała się rzecz straszna!

Rybomił poderwał się od stołu.

— Co, mów zaraz!

— Wielki Sum przegnał mnie i zakazał dokuczać owej niewieście, coście ją mu na próbę dali! Groził, że w żabę mnie przemieni lubo w raka, jeśli jej spokoju nie dam! A ją na spoczynek odesłał i zakazał przychodzić, nim dobrze wypocznie!

Pognał zaraz Wodnik ku legowisku Wielkiego Suma.

— Co robisz, przyjacielu? — zapytał zdumiony. — Dlaczego Dobromiłę od siebie oddaliłeś?

Wielki Sum machnął ze złością ogonem. Od tego ruchu wzburzyły się wody w jeziorze i na brzegi wystąpiła wielka fala.

— Dość już mam męczenia tej nieszczęsnicy! Nie złamię jej, choćbym nie wiem co czynił. A na tego twojego Migułę wprost patrzeć nie mogę. Kazałeś mu ją prześladować, ale to, co on czynił to już...

— Nie kazałem mu — przerwał Wodnik. — Sam to robił, z własnej woli. Niedobry z niego pachol — skrzywił się. — Alem mu i nie przeszkadzałem, by ją tym bardziej zniechęcić. Nie przypuszczałem jednak, że jej upór przełamie nawet i ciebie...

Wielki Sum przymknął oczy.

— A jednak. Sam się tego nie spodziewałem.

— Wychodzi na to, że trzeba będzie jej męża uwolnić, a ona zostanie...

Wielki Sum westchnął.

— Sprawna z niej niewiasta i nikt tak jak ona nie potrafi stawy przyrządzić czy o skórę moją zadbać. Chętnie bym ją przy sobie zatrzymał... Ale mam do ciebie prośbę, Rybomile. I myślę, że mi jej nie odmówisz. Taka wytrwałość i miłość zasługuje chyba na jakąś nagrodę.

— Najpierw niech odbędzie próbę. A ty czyn, jak było umówione. Nie mogę rządzić swą dziedziną według serca. Mamy swoje prawa i muszę się ich trzymać!

Próba Dobromiły dobiegła końca. Ostatniego dnia Rybomił wezwał ją przed swoje oblicze.

— Namysliłaś się? — spytał surowo. — Wiedz, że jeśli nadal będziesz się upierać przy uwolnieniu twojego męża, czeka cię tak podły los, jakiego zastałaś przy Wielkim Sumie! A może i gorszy, bo znajdzie się zawsze w toni praca, przed którą wszyscy

uciekają.

Kobieta spojrzała hardo w oczy Wodnika.

— Dzięki wam, panie, żeście okazali się wielkoduszni i daliście mi wybór, jednak swego zdania nie zmienię!

Rybomił pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Dobrze, niewiasto. Widzę, że rozumu ci nie przybyło przez ten czas. Dam ci jeszcze tydzień do namysłu...

— Nie chcę — przerwała mu gwałtownie. — Czy dacie mi tydzień czy rok, odpowiedź zawsze będzie ta sama!

— Jak sobie życzysz — powiedział obojętnie Wodnik. — W takim razie jutro po raz ostatni w życiu wyjdiesz na brzeg. Potem twój mąż odejdzie, aby wieść szczęśliwe życie, a ty zostaniesz u mnie, pamiętaj o tym!

— Pamiętam.

Dobromiła stała sama na brzegu, rozglądając się po bożym świecie. Przez miesiąc, który spędziła w dziedzinie Wodnika, drzewa zupełnie straciły liście, a pierwsze mrozy zmieniły ziemię w twardą grudę. Jednak w porównaniu z monotonną zielenią wód, nawet ten zubożały jesienny las wydał się piękny. Łzy stanęły jej w oczach na myśl, że resztę życia spędzi uwięziona w jeziornej toni.

— Gdzie zaś cudom wodnym do prawdziwego świata — westchnęła.

— I ja tak mówię — odezwał się za nią znienacka znajomy głos. — I dlatego tak chętnie wychodzę na brzeg...

Obejrzała się. Wodnik patrzył na nią nieruchomym, nieodgadnionym spojrzeniem.

— Naprawdę chcesz wrócić do jeziora? — spytał.

Milczała dłuższą chwilę. To była najcięższa próba — nie mordercza praca w toni, ale rozstanie z otoczeniem, do którego kobieta przez całe życie przywykła. Wodnik o tym doskonale wiedział.

— Tak naprawdę to nie chcę — szepnęła Dobromiła.

— No widzisz — ucieszył się Rybomił. — Nareszcie poszłaś po rozum do głowy! Możesz się jeszcze cofnąć. Uczynię to dla ciebie i odmienię twój los. Chcesz?

— A gdzie Bogudar? — spytała zamiast odpowiedzieć.

— Czeka, Dobromiło. Ale jeśli teraz zrezygnujesz, sprawię, by zapomniał o wszystkim. Nie będzie miał do ciebie żalu o płonną nadzieję, bo nic nie będzie pamiętał...

— Kusisz mnie, Wodniku — powiedziała ze smutnym uśmiechem.

— Kuszę — przyznał. — Bo nie lubię zmieniać swoich postanowień. A postanowiłem, że on zostanie, a ty odejdiesz!

— Chcesz złamać umowę? — zmarszczyła gniewnie brwi.

— Nie, nie złamię jej. Ale mam nadzieję, że ty wreszcie zmądrzejesz...

— Nie! — krzyknęła. — Nie ma nawet mowy! Uwolnij mojego męża, a mnie zabierz!

— Spędzisz życie w zimnej wodzie...

— Wiem o tym!

— Jako zwykła posługaczka...

— I to wiem!

— Zawsze będziesz dostawać najcięższą pracę...

— Wiem!

Wodnik westchnął ciężko.

— Jak chcesz... Czy masz jakieś życzenie zanim cię porwę w tonię?

— Chcę zobaczyć męża... ten ostatni raz.

— Nie mogę odmówić twej prośbie — Rybomił klasnął w rękę.

Woda zapieniała się i ukazało się dwóch podwodniczych ciągnących opierającego się z całych sił mężczyznę.

— Nie chcę! — krzyczał. — Nigdzie nie pójdę!

Nagle zobaczył Dobromiłę, rzucił się ku niej.

— No i po co to zrobiłaś, kobieto?! — zawołał. — Utopił mnie Wodnik to i utopił! Wolałem to, niż gdyby ciebie miał wziąć!

— Bogudar — szepnęła, a w jej głosie było tyle uczucia, że Wodnik poczuł, jakby go ktoś dłonią ścisnął za serce. — Mój kochany...

Tymczasem mężczyzna szarpał się z podwodniczymi.

— Zostawcie mnie! Z powrotem chcę! A ona ma odejść wolno!

— Puścić go! — rozkazał Rybomił.

Bogudar i Dobromiła rzucili się sobie w objęcia. Z oczu kobiety popłynęły łzy.

— Pożegnajcie się — powiedział Wodnik. — Widzicie się ostatni raz. Ona pójdzie zaraz pod wodę, a ty zostaniesz na brzegu... Tak być musi.

— Dlaczego? — szepnęła Dobromiła.

— Dlaczego? — szepnął w tym samym momencie Bogudar. — Dlaczego tak być musi? Jeśli już chcesz, weź nas oboje pod wodę. Toż to jakbyś mi zabrał nie życie, ale duszę, jeśli mamy żyć z dala od siebie.

Rybomił skrzywił się i podrapał po głowie.

— Nie mam serca — mruknął niewyraźnie. — Jak mi woda miła, nie mam serca...

Spojrzał przeciągle na Bogudara, potem przeniósł wzrok na Dobromiłę.

— Niech będzie — zdecydował nagle.

— Weźmiesz do siebie i mnie? — podskoczył Bogudar z radości. — Dzięki ci!

— Nie — odparł Wodnik. — Nie wezmę cię do jeziora!

Bogudar opuścił głowę.

— Ale jej też tam nie zabiorę — dokończył Rybomił.

— Jak to?! — wykrzyknęli oboje.

— Tak to — odparł Wodnik z uśmiechem. — Taka miłość jak wasza zasługuje na nagrodę. Idźcie w pokój.

— Dzięki ci, panie — kobieta przypadła do ręki władcy toni.

— Ależ daj spokój! — Rybomił uścisnął ją za ramiona, podniósł z klęczek. — To miło wiedzieć, że ktoś potrafi tak kochać... Mam tylko jedną prośbę. Zajrzyjcie tu czasem nad jezioro. Nie obawiajcie się, żadne z moich stworzeń nie uczyni wam krzywdy. A ja chętnie z głębin popatrzę na wasze szczęście.

*

Bożan, kiedy skończył, zamyślił się. Ludzie także milczeli, wzruszeni opowieścią, ta i owa niewiasta otarła łzę z kącika oka.

A Bożan westchnął i rzekł:

— Jeśli kiedyś nasz świat się zawali i trzeba będzie odejść, unieście w sercach wspomnienie tych wszystkich baśni, tego, czego się tutaj nauczyliście. Unieście na wszystkie strony świata, by ludziom nieść radość.

— O czym mówicie, źerco? — spytała z przestrachem Pękosława. — Dlaczego mielibyśmy odchodzić? Czemu świat nasz miałby runąć? Jest tu dobrze, nikogo nie prześladowujemy, nikomu nie czynimy krzywdy, nikomu nie wadzimy...

— Wszystko jest prawdą, Pękawko, poza tym ostatnim. Bo wadzimy, i to bardzo. Ci dwaj, którzy wczoraj przybyli dowodnie mnie o tym przekonują. Nasyłają na nas coraz więcej swoich. A jest tak, że za misjonarzami nader często podąża miecz prawdziwie żelazny, a nie ukuty tylko ze słów. Różnie być może...

Spojrzał po posmutniałych twarzach i powstał.

— Lecz teraz się nie turbujmy! Teraz się weselmy! I wypijmy więcej jeszcze piwa na chwałę Gościuna, pana lasów, pól, łąk i jezior! A co ma być, to będzie!

I jako pierwszy wzniosł w górę pokaźną krużę, wypełnioną bursztynowym nektarem.

Epilog

Minister spraw wewnętrznych i minister obrony siedzieli przy okrągłym stoliku. Zasadniczo nie cierpieli się koszmarnie, lecz wzajemne niechęci musiały zostać odłożone na bok.

— Powiada pan zatem, drogi panie Pawle, że mamy problem ... — mruknął minister obrony.

— Tak, drogi panie Dariuszu — odparł minister spraw wewnętrznych. — Spotkali się wprawdzie w zupełnej tajemnicy, ale od czegoż mamy doskonały wywiad...

— Do rzeczy. Akurat to moi ludzie dowiedzieli się o tym spotkaniu, panie Pawle.

— A moi, panie Dariuszu, zorganizowali akcję przechwytywania informacji. Nieważne zresztą. — Zamachał rękami, uprzedzając ripostę rozmówcy. — Najważniejsze jest, co ustalili. Chociaż zajęło to parę miesięcy...

— Słucham.

— To brzmi jak jakaś fantastyka, ale uważają, że mamy do czynienia ze zjawiskiem zaburzenia czasu. To znaczy, Amerykanie stawiają na zaburzenia czasu w przestrzeni realnej, a Rosjanie na zaburzenia czasu połączone z uniwersum mitologicznym.

Minister obrony patrzył na kolegę nieruchomym spojrzeniem.

— Ale wie pan, że to jest jakaś piramidalna bzdura? O ile jeszcze z trudem mogę się pogodzić z koncepcją zaburzenia czasowego czy nawet czasoprzestrzennego, o tyle mieszanie w to mitologii...

— Problem polega na tym, że w tamtym rejonie dzieją się rzeczy, które trudno inaczej wytłumaczyć. Rosjanie uważają, że każda kultura wytwarza pewnego rodzaju pole psychiczne, które oddziałuje na rzeczywistość. Im większa wiara, a może raczej im prostsze umysły ją wyznają i formują pole, tym większa sposobność do ujawniania się zjawisk, które nazywamy paranormalnymi, albo wręcz fantastycznymi. Mówiąc o prostych umysłach nie mam na myśli prostackich. Trzeba mieć wszak potężną wyobraźnię, żeby tworzyć podobne wizje.

Minister obrony zamyślił się. Mógł zaprzeczać oczywistościom, ale wysłani w rejon jeziora Solecko agenci potwierdzali, że dzieją się tam rzeczy co najmniej dziwne. To znaczy ci, którzy wrócili, a nie przyłączyli się do rodzimowierców.

— Ale dlaczego? Z tego, co już wiem, Rosjanie wypierają się, żeby tam cokolwiek robili! Amerykanie tym bardziej.

— Hm... — chrząknął minister spraw wewnętrznych. — Kazałem sprawdzić naszym naukowcom wszystko, czego można się dowiedzieć o tym terenie. I, jak by to powiedzieć,

coś im się udało ustalić... — Spojrzał na uniesione pytająco w górę brwi rozmówcy i kontynuował: — I nie ma to bezpośredniego związku z sowieckimi instalacjami. Tam znajduje się punkt energetyczny Ziemi. Coś w rodzaju czakramu.

— No nie! — zawołał minister obrony. — Przecież to już jakaś aberracja! Czakram? Jak na Wawelu? To są bzdury wprost...

— Nie, nie jak na Wawelu — przerwał mu minister spraw wewnętrznych. — To mniejszy węzeł, ale dość silny. A co więcej, znajduje się dokładnie pośrodku tego obszaru, który został objęty anomalią, w najgłębszym miejscu jeziora, przy którym rodzimowiercy zbudowali grodzisko...

— Bzdury! — powtórzył minister obrony. — Dał się pan omamić agenturalnym fałszywkom...

— Rosjanie nie wykluczają, że pobudzenie energii tego miejsca może mieć jakiś związek z tym, co zostało po Sowietach. Wprawdzie nie prowadzili tam badań nad formowaniem i modyfikowaniem czasoprzestrzeni, ale coś się mogło po prostu wylać, trafić do wód gruntowych i do jeziora... Czy w ogóle jezior. W każdym razie nastąpiło wzbudzenie punktu węzłowego...

— Pan siebie słyszy? — zirytował się minister obrony. — Zaraz się dowiem, jakoby pole kulturowe sprawiało, że wampiry naprawdę istnieją! Bo ludzie teraz bardziej wierzą w nie niż w anioły i diabły! I że część morderstw, w jakich policja prowadzi śledztwa to ich sprawka!

Minister spraw wewnętrznych patrzył interlokutorowi prosto w oczy przez długą chwilę, zanim się odezwał:

— Żeby się pan nie zdziwił...

Szefa obrony zatkało.

— Pan to mówi poważnie — raczej skonstatował, niż zapytał.

— Zupełnie poważnie. I uważam, że musimy za wszelką cenę zdusić to, co tam się dzieje, dopóki jeszcze można.

— I z tym się akurat zgodzę — powiedział minister obrony. — Mała pacyfikacja nie zaszkodzi. Tylko jeżeli nie można tam używać nowoczesnych środków... — zawiesił głos.

— To trzeba się posłużyć takimi, których można użyć — dokończył za niego minister spraw zagranicznych. — Poczyłem już pewne przygotowania, mam przeszkolonych odpowiednich ludzi. Od armii potrzebuję tylko zabezpieczenia logistycznego i może oddziału komandosów. Oni potrafią przecież działać w każdych warunkach.

Minister obrony pokiwał głową.

*

Zabezpieczyli ciche osiedle pośrodku lasu szczelnym kordonem, formując półkole sięgające od brzegu po południowej stronie grodziska do punktu po stronie północnej. Zasypane pierwszym śnieżnym puchem chaty i dach świątyni wyglądałyby urokliwie, gdyby nie to, że przed policjantami i oddziałem wydzielonym dywizji powietrzno-desantowej postawiono konkretne zadanie.

— Coś za cicho — szepnął do majora sierżant komandosów, który wrócił z patrolu. — Zupełnie jakby nikogo nie było.

Poprawił krótki miecz, wiszący u pasa. Uważał, że ta broń jest zupełnie zbędna, bo zdołałby pokonać dowolnego przeciwnika gołymi rękami, ale dowódca kazał się zabezpieczyć. „Tam mogą być ludzie z bractw rekonstrukcyjnych — powiedział na

odprawie. — A oni bywają naprawdę niezłe wyszkoleni w walce bronią białą. Poza tym, nie wolno nigdy nie doceniać wroga”.

— Za cicho, mówisz? — mruknął major. — Pewnie już wiedzą, że idziemy, więc przygotowali zasadzkę. Najpewniej siedzą w zabudowaniach i czekają aż wejdziemy do środka, żeby nas opasać ze wszystkich stron.

Sierżant skrzywił się z powątpiewaniem, ale nie dyskutował. Major był doświadczonym żołnierzem, dlatego to właśnie on kierował całą akcją, a nie starszy od niego stopniem policjant.

— Grupa uderzeniowa — powiedział półgłosem oficer. — Do przodu. Powtarzam plan ogólny. Zepchniemy ich wojowników do jeziora, wtedy wejdzie oddział zabezpieczenia. Dwa odwodowe plutony cały czas z tyłu, czekają na głos gwizdka. Jeden oznacza, że wchodzi grupa pierwsza, drugi, że druga, a trzy gwizdki to znak, że ruszają obie. I wiedzą, że wtedy mają nie żałować pałek i mieczy, bo to będzie znaczyło, że jesteśmy w niezłych opałach.

Pluton mający stanować grot włóczy, jaką major postanowił wrazić w samo serce siedziby rodzimowierców, podkraść się do zabudowań. Na znak dowódcy, komandosi ruszyli z krzykiem, wpadli między chałupy, lecz nie napotkali tam najmniejszego oporu. Zatrzymali się dopiero na przestronnym placu ze świątynią pośrodku.

Major patrzył z niedowierzaniem. Przecież szperacze jeszcze dwa dni temu meldowali, że osiedle tętni życiem. Zostali wycofani, żeby nie zdradzić, iż osiedle jest obserwowane i to był chyba błąd. Lecz jak ci poganie zdążyli się tak szybko zwinąć? Dopiero teraz zwrócił uwagę, że nad chałupami nie unosi się dym, a cisza jest wręcz dojmująca. Wczesnozimowy las nie rozbrzmiewa wielu odgłosami, ale tutaj przecież hodowano zwierzę domową. Ta zawsze robi jakiś hałas.

— Cholera, nikogo nie ma! — stwierdził, zaglądając do kilku domów stojących najbliżej placu. — Uciekli! Ulotnili się! Paleniska zimne.

— Ale gdzie? — spytał młodszy inspektor, dowodzący siłami policyjnymi, który widząc, że nic się nie dzieje, przyszedł zorientować się w sytuacji u źródła. — Może znajdziemy jakieś ślady?

Major machnął ręką.

— Wszystko przysypał śnieg, możemy sobie szukać. Wyślę tropicieli dla spokoju ducha, ale nic sobie nie obiecuję.

Spojrzał na pogańską świątynię. W środku stał niezbyt okazałych rozmiarów posąg.

— Trzeba to będzie rozwalić — zauważył. — Zaczynam się czuć jak jakiś misjonarz z czasów chrztu Polski...

— Jak trzeba to trzeba. — Policjant wszedł do gontyny, stanął przed posągiem. — Aż żal. Niech pan spojrzy, majorze, jaka sympatyczna gęba.

Oficer komandosów wszedł z ociąganiem, spojrzął na posąg i drgnął.

— Racja — mruknął. — I ma dziwnie ujmujący uśmiech.

Dowódcy spojrzeli na siebie.

— Azaliż godzi się niszczyć tak zacny obiekt? — odezwał się nagle młodszy inspektor.

Major otworzył usta, żeby powiedzieć „Co pan wygaduje?”, ale z jego ust wydobyły się słowa:

— Słusznie prawicie, wojewodo, trza tu porządki poczynić, ogień w kącinie rozpalić,

służbę chramową wyznaczyć, a przede wszystkim obaczyć po chatach, cóżpo tamtych ostało...

— I baby jakie sprowadzić będzie nie od rzeczy — dodał policjant. Minę miał początkowo nietęgą, ale w miarę jak mówił, pojawiał się na niej wyraz zdecydowania. — Niechaj zadbają o domowe ogniska naszych ludzi. My zaś zabierzmy się niezwłocznie do pracy, by wojom naszym należyty przykład dać!

Wyszli przed świątynię. Na placu zgromadzili się już policjanci i komandosi, czekając a dalsze rozkazy. Któryś zaczął nucić pod nosem melodię o rytmie powolnym, lecz chwytnym i zapadającą w serce. Inni ją podjęli.

Słów jeszcze nie znali, lecz już rodziły się w umysłach.

*

— To był pana pomysł, żeby wysłać tam policję i wojsko? — Premier zacisnął zęby tak mocno, że wyskoczyły mu mięśnie na policzkach.

Minister spraw wewnętrznych tylko pokiwał głową.

— A pan też brał w tym udział? — Szef rządu przeniósł wzrok na ministra obrony.

Ten również nie mógł zaprzeczyć.

— Zdajecie sobie sprawę, że dopiero teraz mamy przechlapane? I nie liczcie, że przyjmę wasze dymisje! Narobiliście bałaganu, to teraz sprzątajcie! Macie to jakoś załatwić!

— Ale co robić, panie premierze, co robić? — spytał bezradnie minister spraw wewnętrznych.

— Myśleć! Dużo myśleć! Było to robić przedtem, a skoro wówczas wam rozumu nie wystarczyło, myślcie usilnie dalej! Bo jak się nam ta zaraza rozleje po kraju, będziecie się mogli pożegnać z ciepłymi stołkami już na zawsze!

*

Minister Bjørn Anders Skjørsen przeglądał dokumenty. Gabinet objął niedawno, a ponieważ chciał się wykazać jako sprawny szef resortu, od przeszło tygodnia zostawał w pracy do północy i dłużej. Dwa razy zdarzyło mu się nawet zanocować w przylegającym do biura pokoju socjalnym. Nie zmuszał współpracowników, by zostawali wraz z nim. Nie było takiej potrzeby, sam musiał przekopać się przez bałagan, który zostawił poprzednik. Na drugie imię miał chyba Partacz.

Właśnie studiował wyciąg rachunków za uzupełnienie wyposażenia stołecznych oddziałów policji i nic mu się nie zgadzało.

Dlatego nawet z pewną ulgą przyjął pukanie do drzwi. Przynajmniej miał pretekst, żeby się od tego oderwać. Spojrzał na piękny, dziewiętnastowieczny zegar, stojący na zupełnie nowym regale z Jyska albo co gorsza Ikea. Gustu poprzednik też nie miał za grosz.

Było już po dwudziestej trzeciej. Ktoś jeszcze pracował?

— Proszę! — zawołał.

Do gabinetu wśliznął się nieznany mu jeszcze urzędnik. Wyglądał jak wzór przygarbionego biurokraty, ale kiedy się odezwał, okazało się, że ma zaskakujący, mocny głos.

— Panie ministrze, jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Byłem ostatnio na wyjeździe. Jestem Morten Moen, szef kontrwywiadu.

— Moen? — Minister wstał, podszedł do mężczyzny, podał mu rękę. — Jest pan może krewnym tego narciarza Frode Moena?

— To tylko zbieżność nazwisk.
— Proszę siadać. — Minister wskazał stolik w rogu, przy którym stały dwa fotele.
— Dziękuję, panie ministrze.
— Herbaty... — Skjørsen urwał i zaśmiał się. — Przepraszam, sekretarka już wyszła.
W takim razie może wody, soku, albo czegoś mocniejszego?
— Nie trzeba, dziękuję bardzo.
— W takim razie proszę powiedzieć, co pana sprowadza?
SzeF kontrwywiadu skrzywił się, przełknął ślinę.
— Młot Thora.
— Słucham?! — Minister spojrzał na podwładnego z niedowierzaniem.
— Młot Thora — powtórzył kontrwywiadowca. — Tak nazywamy obszar, na którym dwa miesiące temu pojawili się wikingowie.
— Kto?! — Skjørsen czuł się zupełnie zdezorientowany.
— Wikingowie. Normanowie.
— Ach, jakaś grupa rekonstrukcyjna! — zawołał z ulgą minister.
— Niezupełnie, panie ministrze. — Moen potrzęsął głową. — To prawdziwi wojownicy. Pański poprzednik nie poleciał za niegospodarność ani swoje konkursowe lenistwo, tylko właśnie w związku z tą sprawą...
Minister poczuł, jakby nagle obudził się w innym świecie.
I poniekąd chyba tak było.

*

Kiedy sekretarz departamentu wtargnął do gabinetu ministra Eduarda Poggia, ten właśnie pracowicie rozpinął drobne guziczki przy bluzeczce asystentki. Spojrzał z niezadowolaniem na intruza.

— Zjeżdżaj!
— Kiedy to szalenie ważna sprawa, dottore Eduardo... — pisnął przerażony sekretarz.
— Nie ma spraw ważniejszych, niż kobiety — odparł pouczająco dygnitarz. — Zapamiętaj to sobie i zostaw nas!

— Ta może się jednak okazać ważniejsza... — rzekł urzędnik i wyrzucił jednym tchem, nie pozwalając przełożonemu na kolejną reprimendę: — Na Sycylii dzieje się coś bardzo niedobrego!

— Na Sycylii zawsze dzieje się coś bardzo niedobrego. — Minister nie porzucił mentorskiego tonu, ale klepnął lekko w pośladek dziewczynę, dając jej znak, żeby zeszła mu z kolan. — To naprawdę nie może poczekać?

— Sam pan to oceni. — Sekretarz zagryzł wargi prawie do krwi na myśl, co ma do przekazania.

— No mów — westchnął Poggio. — Co tam znowu wymyślili na tej Sycylii? Odkąd skubańcy wynaleźli mafię, wszystkiego można się po nich spodziewać. Ale chyba nic gorszego nie wymyślili...

— Obawiam się, że może być coś gorszego — przerwał mu sekretarz. — I to nie jest kolejny przestępczy wynalazek miejscowych. Nadeszła pilna informacja, że na Sycylii dziś rano pojawili się Ostrogoci!

KONIEC

Przypisy:

[1]

Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya* w przekładzie Marii Feldmanowej. [przypis autorski]

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Przedmowa — krótka, bo i książka nie za długa.](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Przypisy](#)